

ARCYDZIELA EUROPEJSKIEJ
POEZJI DRAMATYCZNEJ

TOM I.

ARCYDZIEŁA EUROPEJSKIEJ POEZJI DRAMATYCZNEJ W PRZEKŁADZIE JANA KASPROWICZA

TOM I.

MAURYCY MAETERLINCK: SIOSTRA BEATRYKS ~ GABRIELE
D'ANNUNZIO: FRANCZESKA Z RIMINI ~ KRZYSZTOF MAR-
LOWE: TRAGICZNE DZIEJE DOKTORA FAUSTA ~ PERCY B.
SHELLEY: OEDIPUS TYRANNUS



LWÓW ~ MCMXII
NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO
WARSZAWA ~ E. WENDE I SPÓŁKA

39810.1

Dr. Bernacki Lwów 1939

Jan.



SIOSTRA BEATRYKS

OSOBY.

DZIEWICA

SIOSTRA BEATRYKS

KSIEŃ

SIOSTRA EGLANTYNA

SIOSTRA KLEMENCYA

SIOSTRA FELICYTAS

SIOSTRA BALBINA

SIOSTRA REGINA

KAPELAN

KRÓLEWICZ BELLIDOR

MAŁA ALLETTA

ŻEBRACY, PIELGRZYMİ, CHORZY, DZIECI Z CHÓRU itd.

Rzecz dzieje się w wieku XIV w jednym z klasztorów w okolicy Lowanium.

AKT PIERWSZY

AKT PIERWSZY.

Długi sklepiony krużganek. W środku zamknięte wielkie wrota klasztorne. Po prawej, w murze, drzwiczki, prowadzące do kaplicy, do której wchodzi się po kilku stopniach. W kącie, pomiędzy drzwiczkami, a murem krużganku, stoi, w wgłębieniu jak gdyby jakiejś wnęki, na otoczonym schodami postumencie, naturalnej wielkości posąg Dziewicy. Obyczajem hiszpańskim posąg ten ubrany jest w kosztowne jedwabie i brokаты, nadając jej wygląd Królowej niebios. Biodra opasane szerokim drogocennej roboty pasem, złoty, drogimi kamieniami wysadzany dyadem ujmując spadające na ramiona włosy. — Na lewo od furty, przez drzwi półotwarte, widać wnętrze celi Beatryksy. Cella ta żadnych nie posiada sprzętów, prócz uboższego łóżka, stołu i krzesła. Noc. Lampka wieczna pali się przed posągiem; u stóp jego leży siostra Beatryks krzyżem na ziemi.

BEATRYKS. Ulituj się nademną, o Pani, albowiem w śmiertelny zapadam grzech. Wróci tego jeszcze wieczora, a ja jestem sam! Cóż ja mu powiem, coż mam uczynić?... Spogląda na mnie i ręce mu drżą i nie wiem, czego żąda odemnie. Kiedym w ten święty weszła przybytek — cztery lata będzie temu w końcu lipca —, byłam jeszcze dzieckiem i nic nie wiedziałam; i dzisiaj nic nie wiem; nie mam odwagi zapytać ksieni i mówić z kimkolwiek o szczęściu czy nieszczęściu, torturującym me serce. Mówią, że wolno kochać mężczyznę poślubionego... On mi obiecał, że z chwilą, gdy te klasztorne opuszczę mury, połączy

nas pewien pustelnik, którego on zna, a który jest cudotwórcą. Mówią nam nieraz o obieży zła i o sidłach, które zastawia mężczyzna; ale on — Ty o tem wiesz — nie jest taki, jak inni. Gdym jeszcze małym byłam dzieckiem, zachodził niedziela do ogrodu mego ojca i bawił się ze mną. Wyszedł mi z pamięci, ale przypomiinałam go sobie nieraz w modlitwach, albo gdy smutek był ze mną. Rozumny jest i mądry, a oczy jego łagodniejsze od źrenic dziecka, padającego na kolana... Wczorajszego wieczora klęczał pod tą lampą; widziałas go Pani? Podobny był do Twego syna... Tak się poważnie uśmiecha, jak gdyby rozmawiał z Bogiem, tak się uśmiecha nawet wówczas, gdy mówi ze mną, ze mną, która rozumieć go nie może, ze mną, która nic nie posiada... Widzisz, mówię Ci wszystko; wielce jestem nieszczęśliwą, jakkolwiek od trzech dni wcale już płakać nie mogę... Poprzysiągł, że zginie, jeśli go odtrącę od siebie. Pewnego dnia mówił mi o Paolu i Franczesce... Nie wiem, czy to prawda; świat pełen jest niepokoju, a nam nic o tem nie mówią... Oświeć mnie, Pani! nie wiem, co czynić potrzeba; a któż odgadnie, czy ręce te, które z drżeniem ku Twemu świętemu wznoszę wizerunkowi, nie będą jutro jako dwie piekielne pochodnie!...

(Słychać szelest zbliżających się kroków).

Cicho... Słyszałaś?... Kilka koni... Stanęli... Zbliża się do progu. Puka do drzwi... O matko moja! cóż mam uczynić?... Nie pójde, jeśli Ty mi zakazesz!...

(Wstaje i biegnie ku furcie).

Bellidor?

BELLIDOR (za furką).

Beatryks! To ja! Otwieraj co tchu!...

BEATRYKS.

Otwieram... otwieram...

(Otwiera wielką furtę. W progu zjawia się królewicz BELLIDOR w pan-cerzu i długim niebieskim płaszczu. Przy jego boku pacholę, kosztowne dźwigające szaty i lśniące klejnoty. Tuż pod furtą, pod drzewem, dwa wspaniałe rumaki, w rzędach, kapiących od złota i drogich kamieni, za cugle trzymane przez jakiegoś starca. W głębi niebo gwiazdziste, a pod sklepieniem krajobraz, tonący w świetle księżyca).

BEATRYKS (podchodzi bliżej).

Samiście, panie? Któż to tam pod drzewem?...

BELLIDOR.

Bliżej... chodź bliżej... nie bój się niczego.

(Kłęka w progu i przybliża do ust kraj sukni Beatryksy).

O jakże piękną jesteś, Beatryks, zbliżająca się ku gwiazdom, które z drżeniem oczekują cię u progu. Wiedzą już teraz, że narodziło się wielkie szczęście, i jako pył ten złocisty, w milczeniu sypany pod nogi królowej, mżami światła zraszają rozległe drogi błękitne, które przebyć mamy!.. Co czynisz?... Drżą już kroki twoje?... Odwracasz głowę?... Ramiona moje zamknęły cię w uścisku, w obliczu nieba w wiecznym zamknęły cię uścisku! Nie pójdziesz odemnie, a miłość, zakuwająca cię w swoje kajdany, staje się twoją wyswobodzicielką... Chodź! chodź! Porzuć ten blady obrzask lampy, w którym drzemała twa miłość... Zobaczyła światło, którego przedtem nigdy nie dostrzegła; a każdy płomień zlewa jej tryumf, stapia nasze dusze młode i utrwala nasze losy. O Beatryks! Beatryks! Widzę ciebie! Dosięgam ciebie! Dotykam się ciebie! Obejmuję ciebie! Całuję ciebie po raz pierwszy...

(Przy słowach tych nagle się zrywa, obejmuje ją w pól i na ustach składa pocałunek).

BEATRYKS cofa się i odpycha go bezwładnie.

Nie! Nie! Nie całuj mię, Panie! Wszakżeś mi przyobiecał...

BELLIDOR całuje jeszcze namiętniej.

Ach! nie była to przyobietnica miłości!... Miłość nie może powiedzieć, że nie chce już uwielbiać, i, miłujący, przyobietnicy żadnej dać nie możemy. Obietnica się kończy, kiedyśmy dali już wszystko... Miłość oddaje co chwila wszystko, czego tylko pożąda, a przyobiecawszy, iż żadnego nie da pocałunku, albo iż długo czekać nań każe, musi całunków dać krocie, aby naprawić krzywdę, wyrządzoną swym ustom!...

(Obejmuje ją jeszcze goręcej i chce ją uprowadzić).

Chodź! Chodź! Noc dobiega do kresu; świt już idzie od wschodu i konie me zaczynają się niepokoić... Jeszcze krok tylko jeden, jeszcze jeden tylko stopień, a droga milcząca uniesie nasze dwa serca...

(Spostrzega nagle, że Beatryks omdlewa w jego objęciach).

Nie odpowiadasz?... Nie słyszę już twego oddechu... Kolana twe drżą... Chodź!... chodź!... Nie czekać nam, aż zazdrosna zorza poranna zastawi złociste siǳła swoje na drodze, wiodącej nas ku szczęściu.

BEATRYKS prawie bezprzytomnie.

Nie! nie! nie mogę! nie mogę!..

BELLIDOR.

Beatryks! Bledniesz, a pocałunki me gasną na licach twych, jako te iskry, do zimnej rzucone wody!... Podnieś-że czoło, te słodkie podaj mi usta, nie skłonne już do uśmiechu. Al te ciężkie welony zasznurowały ci gardło i serce ci gniotą. Śmierci one służą, nie życiu!...

(Podczas gdy Beatryks jeszcze nieprzytomna, on wolno i ostrożnie zdejmuje zasłonę, okalającą jej skronie. — Niebawem pojawiają się pierwsze pukle włosów. Z pod ostatnich fałdów wytryskają naraz jak wyswobodzone płomienie i spływają na lica budzącej się Beatryks).

BELLIDOR, w zachwycie.

A!

BEATRYKS, jakby się budząc ze snu, szeptem.

Cóżś uczynił, Bellidorze? Czegoż to się dotykają me ręce? Jakież to dziwy urocze otulają me skronie?

BELLIDOR całując rozwiany jej włos.

Patrz! patrz! twoje to budzą się żagwie! Twoja własna oblewa cię piękność! Twoje własne wieńczą cię promienie! Ach! tyś nie wiedziała i jam nie wiedział, iżś tak piękna! Zdawało mi się, iżem cię widział, i zdało mi się, jakobym cię kochał. Przez chwilę byłaś mi najpiękniejsza w snach mego dzieciństwa, a oto teraz najpiękniejsza jesteś pomiędzy piękniemi w mych oczach, ze snu zbudzonych, w mych rękach, które się dotykają ciebie, w sercu mojem, które znalazło ciebie!... Poczekaj! Poczekaj! Musisz być cała podobna obliczu twemu! Musisz być cała wyzwołaną i wolną! Musisz być cała Królową!...

(Szybkim ruchem zrywa z niej płaszcz, tak, że widać jej białą, wełnianą suknię. Podczas, gdy na znak Bellidora, przybyłe z nim pachole zbliża się z kosztownemi szatami, złotym szalem i perłowym naszyjnikiem, Beatryks pada przed posągiem, i z twarzą ukrytą w fałdach płaszcza i zakonnego welonu długo, płacząc, leży na ziemi).

BEATRYKS.

Nie... nie... Nie chcę!...

(Czołga się na kolanach do stóp posągu).

O Matko! Ty widzisz!... Nie mam sił do walki, jeżeli Ty

mnie nie wesprzesz... Nie zdołam się modlić, jeżeli Ty mnie opuścisz...

BELLIDOR śpieszy ku Beatryks i naodziewa ją kosztowną szatą, wziętą z ręki pacholęcia.

Beatryks!... Czas!... Oto szaty twego rozpoczynającego się żywota!... Nie jako niewolnicę uprowadzam cię dla pana twego, jako księżniczkę zwracam cię szczęściu...

BEATRYKS wciąż jeszcze klęcząc i kurczowo trzymając się kraty.

Usłysz mnie, Pani! Nie umiem się modlić, słów mi już braknie. Łkanie mi tylko zostało i nie było mi wiadomem, iżem go tak ukochała; i nie było mi wiadomem, iż tak ukochałam Ciebie!... Usłysz mnie, spojrzyl! Dzieckiem-li jestem, które nic nie wie... Mówiono mi nieraz, iż wypełniasz wszystko, o co Cię prosimy, że dobrą jesteś i że jest miłosierdzie w Tobie...

BELLIDOR stara się ją podnieść i łagodnie odsunąć od kraty.

Tak, jest miłosierdzie w niej; Królową jest nieba, która stworzyła miłość... Otwórzże drobne twe ręce, które zmroziło żelazo... Popatrz w Jej oblicze — nie gniewne, lecz uśmiechnięte, promieniejące... Oczy Jej spotkały się z modłami twych oczu, tak zdaje się, jakby łyły twoje odzwierciedlały miłość Jej uśmiechu... Żali to Ona modli się do ciebie? Żali ty jesteś tą, która przebacza? Żrenice moje nie odróżniają jednej od drugiej i zdaje mi się, jakbym widział dwie siostry, których ręce błogosławią się wzajemnie w chwale miłości!..

BEATRYKS podnosi głowę i przygląda się Dziewicy.

Tak, mówiono mi nieraz, iżem podobna do niej.

BELLIDOR.

Patrz na Jej włosy poprzez twoje włosy, gdy dłonie moje rozdzierają na nich drżącą zasłonę... Snać to promienie tego samego światła, tych samych odblask rozkoszy!...

(Podczas gdy on jeszcze mówi, zegar klasztorny wybija godzinę trzecią).

BEATRYKS nagle się zrywa,
Słuchaj!..

BELLIDOR.

Godzina trzecia!...

BEATRYKS.

Czas jutrzni, na którą ja miałam dzwonić...

BELLIDOR.

Chodź... chodź... Swita... Okna zaczynają niebiescieć.

BEATRYKS.

Tak, to okna, które pootwierałam przed świtem, ażeby siostry moje, gdy się przebudzą, miały na powitanie światło i świeży oddech poranku i ptasząt świergoty. — A tu oto sznur sygnałturki, wzywającej do wstania i obwieszczającej koniec nocy... Tu oto wrota kościelne, których ręce moje otwierać nie będą, iżby do wnętrza wpuściły poranek..., a tam te świece na ołtarzu, które już inna zapalać będzie... a tutaj ten złoty dzban, i kosz z jałmużną, i szaty dla biednych. — Zjawią się w sam czas, wołać mnie będą po imieniu i nie zobaczą nikogo...

BELLIDOR.

Chodź! światło rośnie; siostry twoje się zbudzą... zdaje mi się, jakgdybym słyszał ich kroki...

BEATRYKS.

Idą tu siostry moje, które mnie tak miłowały, które widziały świętą we mnie... Znajdą to, co pozostanie z biednej Beatryks... jej welon i płaszcz, walający się po ziemi...

(Podnosi nagle zasłone i płaszcz i kładzie je na kracie u stóp posągu).

Lecz nie!.. Nie chcę, aby która z nich sądzić mogła, iżem podeptała nogami te szaty niewinności, które mi one dały...

O matko! Ty im to powiesz, jeżeli kiedyś tu powrócę...

(Porządkuje suknie i starannie je układa).

Najmniejszy nie zbrudzi ich pyłek... O Matko, Tobie je poświęcam i Ty strzedz ich będziesz... W ręce Twoje składam wszystko, co tylko mam, co w tych czterech otrzymałam latach... Oto różaniec mój z srebrnym krzyżykiem, oto moja dyscyplina, oto ciężkie trzy klucze, które nosiłam u pasa... Ten tu jest od ogrodu, ten od furty, a ten od kościoła... Nie zobaczę już zieleni ogrodu, nie zobaczę już ołtarnego obrusa, który drżał w naszych rękach, jak strumień mleka, w zapachu kadzideł... Żali napisano tam w górze, że niema przebaczenia? że miłość jest przeklęta? że odpokutować jej nie można?... Mów-że, mów!... Nie będę stracona, jeżeli Ty nie zechcesz... Nie požądam nie-możliwego cudu... Wystarczy znak mi jeden, jeden jedyny znak, tak mały, że nikt go nie spostrzeże... Jeśli cień lampy, drze-miący na czole Twojem, poruszy się choć na włossek, nie pójdę!... Spojrz na mnie, o Matko; patrzę i patrzę i czekam i czekam...

(Patrzy długą chwilę w oblicze Dziewicy; milczenie i cisza...)

BELLIDOR obejmuje ją i głęboki składa pocałunek.

Chodź!..

BEATRYKS po raz pierwszy nawzajem go całując.

Idę!...

(Wychodzą w uścisku. — Dzień... Przez otwartą furtę widać rozjaśniające się pola. Za chwilę słychać tentent galopujących koni, ginący w dali. — Kurtyna opada powoli; krótko potem klasztorny odzywa się dzwon i głośnym dźwiękiem obwieszcza poranek).

AKT DRUGI

AKT DRUGI.

Dekoracya ta sama. Wielka furta klasztorna znowu zamknięta, natomiast otwarte są wszystkie okna krużganku, przez które wpadają pierwsze promienie światła. Podczas uwertury słychać ostatnie dźwięki dzwonu, wzywające na jutrznię... Zaledwie podniesiono kurtynę, widać, jak się ożywia posąg, jak Dziewica, niby z długich, bożych snów zbudzona, zstępuje powoli z piedestału, zbliża się ku kracie i na promienistą swą szatę i jaśniejące włosy, zarzuca płaszcz i welon, które zostawiła Beatryks. — Następnie zwraca się ku stronie prawej, wyciąga rękę, a na gięst jej otwierają się wrótnie kaplicy; widać w niej ołtarz, a świece na nim zapalają się jedna po drugiej, jakby na czarodziejskie zaklęcie. — Potem podkręca lampkę, bierze z pod stopni posągu koszyk, zawierający ubrania, przeznaczone dla biednych, i z śpiewem na ustach zwraca się ku wrótniom klasztoru.

DZIEWICA śpiewa.

Wszelakiej duszy, co płacze,
Wszelkiej skruszonej winie
Z rąk moich promienistych
Łaska przebaczeń płynie.

Z modlitwą Miłości przy boku
Wstałeś, człowieku, z bezprawia —
Nie zmarłaś, biedna duszo,
Miłość cię łąz swoją zbawi.

A Miłość, gdy błądzić pocznie ~
Po tej padolnej ziemi,
Ja ją wywiodę z matni
Płaczącą łzami rzewnemi.

(Podczas ostatnich wyrazów tej pieśni jakaś ręka puka trwożnie do bramy klasztornej. Dziewica otwiera oba skrzydła, na progu staje małe, bose dziewczę, nadzwyczaj nędzne i zaniedbane. Dziewczę chowa się do połowy za obramienie wrót i z przerażeniem patrzy na Dziewicę).

DZIEWICA.

Dzień dobry, Aletto...

ALET'TA zbliża się ku niej, żegnając się z przestrachem i jakby w ekstazie.
Siostró Beatryks, piękniejsza jesteś od Niej ~

DZIEWICA.

Oto jest dzień Pana i wielce jestem szczęśliwa.

ALET'TA.

Dlaczego masz tę światłość na sukni?

DZIEWICA.

Światłość jest wszędzie, gdy słońce wstaje.

ALET'TA.

Dlaczego gwiazdy masz w oczach?

DZIEWICA.

Często one błyszczą w głębinach ocz rozmodlonych.

ALET'TA.

Dlaczego promienie masz na rękach?

DZIEWICA.

Zawsze je mają ręce, rozdzielające jałmużnę.

ALETTA.

Przybyłam tutaj samiutka.

DZIEWICA.

Gdzież są nasi bracia ubodzy?

ALETTA.

Nie ważyli się przyjść z powodu zgorszenia.

DZIEWICA.

Jakiego zgorszenia?

ALETTA.

Widzieli Beatryks na koniu królewicza.

DZIEWICA.

Żali nie jestem podobna do pokornej Beatryks?

ALETTA.

Opowiadają, że ją widzieli i że mówiła z nimi.

DZIEWICA.

Ale Bóg tego nie widział i nic nie słyszał.

(Podnosi małą na ramiona i całuje ją w czoło).

O biedna moja Aletto!... Ciebie jedną mogę dzisiaj uścisnąć...

Niewinność uczuła obecność Boga, ale to jej spokoju nie zakłóci.

(Patrzy Aletcie w oczy).

O jakżeż czystą jest dusza ludzka, gdy ją się taką widzi...

Aniołowie piękniejsi, tylko, że nie mają łez. Chodź, chodź moje

biedne dziecię, widzę, jak twoje płyną w głębinie przyszłości,
i ty poznasz, ile było tych łez.

(Sadza Alettę na progu).

Gdzież są nasi bracia ubodzy?... Idź i powiedz im, że miłość
pełna jest niecierpliwości, idź, powiedz im, aby się śpieszyli...

ALETTA odwraca głowę i spogląda przez bramę klasztoru.

Idą, siostro Beatryks.

(Istotnie ubodzy, starcy, słabi, chorzy, kobiety z małemi dziećmi na rękach,
zbliżają się bojaźliwie i sądząc, że rozpoznają Beatryks, podchodzą niepe-
wnym krokiem, wahający się i zdumieni, ku progom, stają przed bramą,
patrzą i czekają).

DZIEWICA nachyla się nad koszem z odzieniem.

Na co czekacie, bracia moi, i co się wydarzyło?... Śpieszcie
się! śpieszcie! Słońce już wschodzi, godzina modłów i siostry
moje zaraz tu się zjawią; brama się zawrze i chwila jałmużny
minęła. — Chodźcie tu wszyscy, bo czas już, śpieszcie się, chodź-
cie tu wszyscy...

UBOGI STARZEC, zbliżając się.

Siostro, widzieliśmy tej nocy dwie mary. —

DZIEWICA daje mu płaszcz, który, gdy wyciąga z kosza, oblewa się
jasnością.

Nie trzeba już myśleć o marach nocy...

KALEKA zbliża się również, wsparty na kulach.

Siostro, mieliśmy złe myśli...

DZIEWICA wyciąga z kosza inne odzienie, które jak gdyby pokryło się drogimi kamieniami.

Otwórz oczy, mój bracie, bo oto nadeszła godzina przebaczenia...

UBOGA KOBIETA.

Siostro, potrzebny byłby mi całun dla matki.

INNA.

A ja cię proszę o powijaki dla naszego noworodka.

(Tłumnie, chciwie, wzdychający, z wyciągniętymi ramionami cisną się ubodzy naokoło Dziewicy, która, pochylona nad koszem, wyciąga pełną ręką promieniste płaszcze, błyszczące nakrycia i światłem zlaną białiznę. Podczas wyjmowania kosz napęnia się coraz to większą ilością coraz to kosztowniejszych, coraz promienistszych materyj; jak gdyby zdumiona swym własnym cudem, Dziewica rozdziela te skarby, napęnia nimi wyciągnięte dłonie biedaków, nakrywa ich ramiona, dzieci odziewa błyszczącymi sukienkami, mówiąc podczas tego:

Chodźcie wszyscy!... Chodźcie wszyscy!... Tu oto błady całun i śmiejące się pieluszki. Życie tu i śmierć i jeszcze raz życie... Chodźcie wszyscy, chodźcie wszyscy, oto jest godzina miłości, a miłość nie zna granic... Chodźcie wszyscy, wspomagajcie się wzajemnie, przebaczajcie sobie urazy i w życiu swoim zlewajcie razem szczęście i łzy wasze! Chodźcie wszyscy, miłujcie się wzajemnie i módlcie się za tych, którzy grzeszą. Chodźcie wszyscy, zabierajcie wszystko, Bóg nie widzi zła, gdy je spełniono bez nienawiści... Chodźcie wszyscy, przebaczajcie, niema grzechu, którego by nie dosięgło przebaczenie...

(Ubodzy, pokryci jaśniejącymi szatami, stoją osłupiali i jakby bez zmysłów. Niektórzy z nich uciekają w pole, powiewając błyszczącymi od drogich kamieni materyami i radosne wznosząc okrzyki. Inni, łkając z wdzięczności, otaczają Dziewicę i całują jej ręce... Przeważna jednak część, milcząca

i jak gdyby nadziemskim przejęta dreszczem, uklęka na schodach i szepce modlitwy. Wtem odzywa się dzwon; kosz się od razu wypróżnił, a Dziewica, łagodnie odsuwając cisnących się ku niej ubogich, zawiera za nimi skrzydła wrótni klasztornych).

DZIEWICA zamykając bramę.

Odejdźcie w spokoju, bracia moi, nadeszła godzina modlitwy.

(Z poza zamkniętej bramy słyszać jeszcze szepot modlitwy ubogich, zmieniający się powoli w jakiś nieuchwytny śpiew dziękczynienia i zachwytu. Słyszać drugie i trzecie uderzenie dzwonu; z lewej strony, z głębi krużganka wyłaniają się zakonnice z ksienią na czele i udają się do kaplicy),

KSIENI zatrzymuje się przed Dziewicą, która z pochyloną głową i z skrzyżowanemi na piersiach rękoma czeka u zamkniętych wrótn:

Siostrzo Beatryks, w tych miesiącach słonecznych dzwoni się na jutrznię przed kwadranssem na trzecią. Trzy dni pościć będziesz i modlić się będziesz trzy noce przed statuą Dziewicy, która była matką.

DZIEWICA chyli się na znak pokory i posłuszeństwa.

Niech będzie Bóg pochwalony, matko.

(Ksieni kroczy ku piedestałowi, który dotychczas zakrywała jej ściana, dźwigająca łuk bramy. Chce uklęknąć, wtem, podniósłszy oczy do góry, zatrzymuje się nagle, wydaje krzyk, upuszcza książkę z rąk i krzyż i czyni ruch niewysłowionego osłupienia i przestachu).

KSIENI.

Niema Jej!

(Z wyrazem niepokoju, a potem jak szalone, biegną zakonnice ku ksieni i cisną się naokoło piedestału; po chwili pierwszego przerażenia, mniszki drżące ze zgrozy i przestachu, jedne stojąc, drugie klęcząc, krzyczą, jęczą i łkają).

ZAKONNICE.

Niema Jej!... Dziewica znikła!... Skradziono posąg!... Bezbożnicy! bezbożnicy! Nasza Matka! nasza Matka! Świętokradztwo! świętokradztwo! Cóż nam teraz czynić, Matko!?... Znieważono klasztor! Świętokradztwo! świętokradztwo!... Dom się rozsypie w gruzy! Świętokradztwo! Świętokradztwo!...

KSIIENI woła.

Siostró Beatryks!

(Dziewica podchodzi i zatrzymuje się przed ksienią, popod piedestałem, — wzrok zatapia w miejscu, na którym stał Jej posąg i jak gdyby była odcięta od świata zewnętrznego, oblicze Jej i oczy płoną nieruchomie światłem dziwnego spokoju i obojętnej na otoczenie nadziei).

KSIIENI.

Siostró Beatryks!... twoim obowiązkiem było Jej strzedz; twoim obowiązkiem było dzień i noc czuwać nad chwałą Tej, która z klasztoru tego uczyniła skarbiec Swej łaski i przybytek Swej miłości. Rozumiem twój niepokój i podzielam twój przestach. Mimo to nie bój się niczego; woła boska żywi niekiedy zamiary, które w niwecz obracają naszą żarliwość i naszą czujność; mów, odpowiadaj, tyś musiała to widzieć, ty musisz wiedzieć o tem... (Dziewica nie odpowiada). Mówże, odpowiadaj!... Co się z tobą dzieje? Dziwną się wydajesz, a chwilami oblicze twoje jakby płonęło. — A cóż na tobie za odzienie, do naszych już szat niepodobne? Czyż oczy mnie zwodzą? Patrząc na ciebie, można by powiedzieć, że, nie jesteś tą samą... Pod płaszczem cóż ty ukrywasz takiego, co prześwieca nawet przez włosienicę?... (Dotyka się płaszcza Dziewicy). A cóż to za włosienica, której fałdy jaśnieją, promieniami światła zlewając me ręce. (Rozchyła

jej płaszcz, i ujrawszy pas, woła z przerażeniem). Miłosierdzia! Cóż to jest!...

(Zrywa z niej płaszcz, a potem z tym samym ruchem osłupienia i grozy zdziera welon, osłaniający włosy Dziewicy; Ta zaś wciąż nieruchoma i jakby nieczuła, ukazuje się naraz w tym samym stroju i w tym samym kształcie, jak Jej statua, znajdująca się na cokole w akcie pierwszym. W pierwszej chwili owładnęło Ksienią i tłoczącemi się naokoło niej mniszkami bolesne i jakby niedowierzające milczenie; poczem Ksieni, pierwsza otrząsnąwszy się z tego, zakrywa twarz rękami i woła z ruchem grozy i potępienia:)

O Boże!

ZAKONNICE.

Matka boska!... Dziewica... Okradła posąg!... Siostró Beatryks!... Nie odpowiada!... Szatani! Szatani! Te mury się pomszczą! Szaleństwo! Szaleństwo! Szaleństwo!... Groza! Groza!... Nie czekajmy, aż grom w nas uderzy!... Świętokradztwo!... Świętokradztwo!...

(Zakonnice cofają się przerażone i chcą uciekać. Ksieni je powstrzymuje podniesionym gestem i głosem).

KSIENI.

Córki moje, słuchajcie!... Nie uciekajcie, me córki!... Oczekujmy naszego losu, nie rozdzielajmy się, połączmy ręce nasze i modły naokół tej świętokradczyni i usiłujmy powstrzymać gniew, który idzie na nas...

SIOSTRA KLEMENCYA.

Matko, proszę cię, nie czekajmy...

SIOSTRA FELICYTAS.

Poszukajmy księdza.

KSIENI.

Tak, słusznie... Idźcie, sioostro Klemencyo i sioostro Felicytas...

(Siostra Klemencya i siostra Felicytas zwracają się ku kaplicy).

Śpieszcie się, śpieszcie! On będzie lepiej wiedział od nas, co czynić wypada, aby, jeżeli jest czas, powstrzymać tryumf złego i miecz Archanioła. Siostry moje, biedne moje siostry! Niema już nazwy na grozę, a oczy nasze pogrążają się w czeluściach piekieł...

SIOSTRA GIZELA zbliżając się ku Dziewicy.

Bezbożnica!...

SIOSTRA BALBINA idąc w Jej tropy.

Świątokradczyni!...

SIOSTRA REGINA nie posiadając się z gniewu.

Szatan! Szatan! Szatan!

SIOSTRA EGLANTYNA głosem smutnym i przesłódkim.

Siostro Beatryks, cóżeś uczyniła?

(Na głos ten Dziewica odwraca głowę, spogląda na siostrę Eglantynę i słodko się uśmiecha).

SIOSTRA BALBINA do siostry Eglantyny.

Patrzy na ciebie.

SIOSTRA GIZELA.

Zda się, jakby się obudziła.

SIOSTRA EGLANTYNA.

Siostro Beatryks, możeś nie wiedziała...

KSIENI.

Siostro Eglantyno, zakazuję ci mówić z nią.

(W tej chwili w progu kaplicy zjawia się ksiądz, odziany w ornat; towarzyszą mu dwie siostry i przerażeni ministranci).

KSIĄDZ.

Siostry, módlcie się za nią...

KSIENI rzucając się na kolana.

Ojcze, ty wiesz!...

KSIĄDZ głosem surowym.

Siostro Beatryks.

DZIEWICA stoi w miejscu nieruchoma.

KSIĄDZ głosem gwałtownym.

Siostro Beatryks!

DZIEWICA stoi w miejscu nieruchoma.

KSIĄDZ głosem przeraźliwym.

Siostro Beatryks! W imię Boga żywego, którego gniew drży naokół tych murów, wzywam cię po imieniu po raz trzeci!...

KSIENI.

Nie słucha.

SIOSTRA REGINA.

Nie chce słuchać...

SIOSTRA BALBINA oszalała.

Nieszczęście! Nieszczęście na nasze głowy!...

SIOSTRA GIZELA.

Ojczy, wstaw się za nas! Ułituj się nad nami...

KSIĄDZ.

Tu niema wątpienia; poznałem tu ponurą pychę księcia ciemności i ojca pychy. (Zwracając się ku Ksieni). Tobie ją, siostrze, oddaję... Niechaj cierpliwość ludzka nie przywłaszcza sobie praw nieskończonej miłości... Dalej, dalej, siostry moje, zawleczcie winowajczynię przed stopnie świętych ołtarzy, w obliczu Tego, przed którym aniołowie padają na kolana, zedrzyjcie świętokradczyni te suknie i kosztowne, świętokradczo zdobyte kamienie; odpaszcie pasy swoje, poskręcajcie dyscypliny, z kamiennych słupów portalu ciężkie dla przeniewierstwa ściągnijcie rzemienie i różgi dla wielkich pokutnic. Idźcie, idźcie, siostry mojej! A niechaj wasze ramiona będą srogie, a ręce wasze bez litości! Miłosierdzie je zbroi a błogosławi je miłość...

(Mniszki wloką Dziewicę, która idzie pomiędzy niemi obojętna, bezwładna, bezoporna. Wszystkie, z wyjątkiem siostry Eglantyny, odpasały już sznur podwójny, okalający ich biodra. Wkraczają do kaplicy, której drzwi zamykają się za niemi; Ksiądz, zostawszy sam, rzuca się na kolana przed opuszczonym piedestałem. Dość długa cisza. — Naraz przez zamknięte wrota kaplicy przeciska się hymn przedziwnie słodki. Jest to pieśń na cześć Dziewicy, Ave Maris Stella, zdająca się być odgłosem dalekiego śpiewu aniołów. Powoli śpiew staje się coraz wyraźniejszy, zbliża się, wzmaga i rozrasta, jak gdyby jakaś niewidzialna, a coraz to liczniejsza ciżba, coraz gorętszy, coraz to bardziej niebiański brała w nim udział... Równocześnie przedostaje się z kaplicy jakiś hałas, jak gdyby wywracały się stalle, jakby spadały świeczniki, jakby rozbrzmiewały przeraźliwe, szalone głosy ludzkie. Naraz otwierają się oba skrzydła wrót kościelnych i widać nawet, zatopioną w świetle przedziwnych rozbłysków i płomieni, to podnoszących się do góry nakształt fal, to opadających, to się krzyżujących, a płomienistych i promienistych od blasków słońca, w którym tonie kruzganek.

Potem wśród głośnego Alleluja i Hosanna, wybuchających ze wszystkich stron, zjawiają się zakonnice, jakby oszalałe, zachwycone, niezwykle, pijane radością i nadprzyrodzoną trwogą, potrząsające snopami świateł, obrzucone cudownymi kwiatami, które podsycają ich zachwyt, oplecione od stóp do głów żywymi wieńcami, tamującymi ich kroki. Oślepię od deszczu płatów kwiecistych, którymi ronią sklepienia, zapychają tłoczące się zakonnice zbyt wąskie drzwi, chwiejną falą spływają po zalanych przedziwnym kwiatem stopniach, za każdym krokiem zrywają ciężar kwiecica z ziół, które w ich rękach rozkwitają na nowo. Pierwszy ich zastęp otacza staro Księdza, który się podniósł, dalsze zaś szeregi zbliżają się również w powodzi żywych kwiatów, zalewających całą drogę aż po stopnie portalu).

ZAKONNICE tłocząc się z kaplicy, zapełniają krużganek, śpiewając i obejmując się wzajemnie wśród nieskończonej powodzi kwiatów.

Cud! Cud! Cud! O mój ojczel! mój ojczel! Hosanna! Hosanna! hosanna! Mój ojczel, ja nic już nie widzę! Hosanna! Hosanna! Pan nas otoczył swym blaskiem! Niebo rozwarło się przed nami! Aniołowie przytłaczają nas i ścigają nas kwiaty! Hosanna! Hosanna! Siostra Beatryks jest świętą! Dzwoncie, dzwoncie w dzwony, aż popękają spiże! Siostra Beatryks jest świętą! Siostra Beatryks jest świętą!...

SIOSTRA REGINA.

Kiedym się chciała dotknąć świętych jej szat — —

SIOSTRA EGLANTYNA cała okryta kwiecciem, bardziej jaśniejąca od innych.

Płomienie przemówiły, wystrzeliły promienie!...

SIOSTRA KLEMENCYA.

Aniołowie na ołtarzach zwrócili się ku nam.

SIOSTRA GIZELA.

Święci złożyli ręce i nachylili się ku niej.

SIOSTRA EGLANTYNA.

Posągi na kolumnach rzuciły się na kolana.

SIOSTRA FELICYTAS.

Archaniołowie śpiewali, roztaczając skrzydła.

SIOSTRA KLEMENCYA.

Wszystkie kwiaty niebios tryskają z naszych dłoni.

SIOSTRA FELICYTAS.

Ręce nasze, które ją biły, oblały się światłem.

SIOSTRA GIZELA potrząsając ciężkimi girlandami róż.

Żywe róże wyswobodziły ją z więzów.

SIOSTRA BALBINA powiewając ogromnymi snopami lilij.

Przedziwne lilie wystrzeliły z różg.

SIOSTRA FELICYTAS chwiejąc płonącemi palmami.

Długie palmy złociste rozbłysły z rzemieńców.

KSIENI padając na kolana przed Księdzem.

Ojcze, zgrzeszyłam; siostra Beatryks jest święta!...

KSIĄDZ klękając również.

Córki moje, zgrzeszyłem; nieprzeniknione są zamiary i zamysły Pana!...

(W tej chwili słysząc pukanie do bramy klasztornej i w progu zjawia się Dziewica, w ludzkiej znowu postaci, w skromnym płaszczu i welonie siostry

Beatryks. Schodzi po stopniach i ze spuszczonym wzrokiem i skrzyżowanemi rękoma kroczy pomiędzy klęczącemi siostrami poprzez kwiaty, które się znowu podnoszą. Spełniając, jak gdyby nic się nie stało, pokorną swą służbę, zwraca się ku wrótniom i otwiera je na oścież. Wchodzą trzej pielgrzymi, ubodzy, strudzeni starcy, którym głęboki oddaje pokłon, a potem, wzięwszy z stojącego opodal brązowego trójnoga biały dzban i czarę złocistą, milcząco zlewa ich ręce, okryte pyłem).

AKT TRZECI

AKT TRZECI

AKT TRZECI.

(Ta sama dekoracya. Posąg Dziewicy stoi znowu na swoim miejscu, jak w akcie pierwszym. Welon, płaszcz i pęk kluczy siostry Beatryks wiszą na kracie, wrota kaplicy otwarte, na ołtarzu płoną świece, przed posągiem pali się lampa; kosz z odzieniem dla biednych stoi u stopni posągu; jednym słowem wszystko w tym samym znajduje się stanie, jak w chwili, gdy mniszka uciekła z Królewiczem Bellidorem, tylko furta klasztoru zamknięta. Poranek zimowy, dzwony, zwołujące na jutrznię, milkną, a chociaż nikt nie dzwoni, widać w kruchcie kaplicy poruszający się w powietrzu sznur sygnaturki. Z chwilą, gdy dzwony umilkły, słychać trzykrotne powolne pukanie do furty klasztornej. Przy trzeciem pukaniu wrota poruszyły się same w zawiasach, rozwarły się oba skrzydła, a przez otwór widać śniegiem pokryty, pusty, smutny krajobraz; w kurzawie śnieżnej, zawiewającej aż popod progi klasztoru, zjawia się dawniejsza siostra Beatryks, chwiejna, wychudła, niedopoznania. Odziana w łąchmany, włos jej, posiwiały już, zwiesza się w nieładzie na jej boleśnie wynędzniałe, blade oblicze. Oczy jej, pozbawione blasku, przypominają nieruchome, gubiący się w dali wzrok ludzi umierających, wszelkiej pozbawionych nadziei. Staje chwilę przed otwartą bramą, a, nie widząc nikogo, zdobywa się na odwagę i krokiem niepewnym, czepiając się skrzydeł wrót, wchodzi do wnętrza klasztoru i bojaźliwe oczy długo ściganej zwierzyny zatapia w głąb krużganku. Ale że krużganek jest pusty, tak ona trwożnie postępuje jeszcze kilka kroków naprzód i, zobaczywszy statwę Dziewicy, wydaje okrzyk, w którym przebrzmiewa jak gdyby coś w rodzaju daremnej nadziei ratunku, potem rzuca się naprzód, klęka i pada wpółomdlała u stóp figury).

BEATRYKS.

Matko moja, oto jestem! Nie odpędzaj mnie, nic mi już nie pozostało na świecie... Miałam nadzieję Cię ujrzeć i przychodzę zapóźno; zamykają się oczy moje, nie widzę już Twego uśmiechu; ręce moje snąć kostnieją, gdy je podnoszę ku Tobie — nie umiem się modlić, nie zdołam już nic mówić, a ponieważ należałoby wyznać mi wszystko, tylem od długiego czasu leż już wylała, że, aby płakać, zbrakło mi odwagi!... Jam-ci to biedna Beatryks!... Przebac, jeśli wspominać imię, którego nie godzi się nigdy wymieniać. Wszakże nie poznałabyś już we mnie swej córki. Patrz, dokąd mnie doprowadziły miłość i grzech i wszystko to, co ludzie nazywają szczęściem. Oto upłynęło lat przeszło dwadzieścia od chwili, kiedym Cię rzuciła, a jeśli Bóg nie chce, nie okaże mi gniewu swego, albowiem nigdy nie byłam szczęśliwą... Dzisiaj powracam, nie żądam niczego, minęła już ta chwila i nie mam już siły, aby cokolwiek przyjąć. — Przychodzę tu umrzeć, w tym domu świętym, jeśli siostry moje pozwolą mi paść tu, gdzie padłam. Wiedzą zapewne o wszystkim; tam, w mieście, zgorszenie życia mojego tak było wielkie, że niewątpliwie słyszały o tem. — Lecz one wiedzą niewiele, a i Ty, co wiesz wszystko, może nie wiesz, ile mi uczyniono złego i jakie zniosłam cierpienia. Opowiem im o wszystkich katuszach miłości...

(Rozgląda się naokoło siebie).

Lecz dlaczego jestem sama?... Przybytek opuszczony, grzechy moje zmieniły go w pustkowie. Któż zajął miejsce moje u stopni świętych ołtarzy i któż strzeże progu, który zbezczeszczyły me stopy?

Lampa się pali i świece widzę płonące, dzwoniono na jutrznię; dzień już świta, a nikt się nie zjawia...

(Spostrzega płaszcz i welon na kracie).

Cóż to jest?

(Podnosi się nieco, zbliża się na klęczkach i dotyka się odzienia). Biedne me dłonie tak są już bliskie śmierci, że nie wiedzą, czy dotykają się przedmiotów z tego świata czy z tamtego... Nie jest-li to płaszcz, który zostawiłam tu wczoraj?... lat temu dwadzieścia i pięć?...

(Zdejmuje płaszcz i machinalnie weń się ubiera).

Kształt ma ten sam, ale wydaje mi się bardzo długi. W sam raz był dla mnie wówczas, gdy jeszcze prawą chodziła drogą i kiedym się czuła szczęśliwą...

(Nakłada welon).

A oto welon, który okrywać ma śmierć moją... Przebacz mi Panie, jeśli to jest świętokradztwo... Zimno mi i naga jestem, ubogie suknie moje nie okrywają już ciała, które nie wie, gdzie ma się ukryć... Tyś to, Matko moja, strzegła tego odzienia i zwracasz je, aby, gdy ostatnia wybije godzina, wstrzymały się na chwilę nielitościwe płomienie piekła i zelżyły w okrucieństwie swoim?...

(Słychać odgłos zbliżających się kroków i otwierających się wrót).

Ale cóż ja to słyszę...

(Trzykrotne uderzenie dzwonu, jak w akcie poprzednim, zwiastuje zbliżanie się zakonnic).

O Matko moja! Wrota się otwierają i siostry moje nadchodzą!... Nie wytrzymam tego!... Ulituj się nademną, mury walą się na mnie, światłość mnie dławí i hańba moja wyryta jest na płytach kamiennych, które się podnoszą podemną... Ach!...

(Pada omdlała u stopni posągu. Zakonnice z Ksienią na czele, kroczą jak w akcie poprzednim, w kierunku kaplicy. Niektóre z nich bardzo już stare; Ksieni postępuje z trudem naprzód, mocno pochylona, wspierając się na pastorałe. Zaledwie weszły, ujrzały Beatryks, leżącą bez ruchu wpoprzek

kruźganka; przerażone, z oznakami niepokoju, pełne rozpaczy, podbiegają ku niej, tłocząc się naokoło).

KSIENI zbliża się pierwsza.

Siostra Beatryks nie żyje!...

SIOSTRA KLEMENCYA.

Niebo nam ją dało, Pan ją nam odebrał!...

SIOSTRA FELICYTAS.

Korona była dla niej gotowa; oczekiwali ją anieli.

SIOSTRA EGLANTYNA (podnosi i podtrzymuje głowę Beatryks i obejmuje ją z religijną trwogą).

Nie! Nie! nie umarła jeszcze!... drży... oddycha...

KSIENI.

Patrzcie, jaka blada! jaka wychudła...

SIOSTRA KLEMENCYA.

Możnaby powiedzieć, że przez tę jedną noc postarzała się o lat dziesięć...

SIOSTRA FELICYTAS.

Cierpiała widocznie i walczyła aż do świtu.

SIOSTRA EGLANTYNA.

Sama jedna była naprzeciw zastępu aniołów, którzy uprowadzić ją chcieli.

SIOSTRA KLEMENCYA.

Tak, już wczoraj wieczór bardzo była cierpiąca... Drżała, pła-

kała, ona, która od czasu owego cudu z kwiatami żywiła w oczach swoich uśmiech cudu... Nie pozwoliła mi pełnić jej służby; czekam — tak rzekła — powrotu mej świętej.

SIOSTRA BALBINA.

Jakiego powrotu?... Jakiej świętej?...

KSIENI spogląda przypadkiem w górę i spostrzega posąg Dziewicy na piedestale).

Patrzcie! patrzcie! Dziewica wróciła?!

(Zakonnice podnoszą głowy i patrzą, z wyjątkiem siostry Eglantyny, która wciąż jeszcze trzyma w ramionach omdlałe ciało Beatryksy; zakonnice wydają okrzyki zachwyty i rzucają się na kolana wokoło posągu).

ZAKONNICE.

Dziewica wróciła!... Nasza Pani! Nasza Pani!... Wróciła bez szwanku!... Ma wszystkie na sobie klejnoty!... Korona jej piękniejsza!... Oczy jej większą mają głębię!... Spojrzenie jej słodsze!... Wraca do nas z niebiosów!... Ona ją nam powróciła!... Tak, powróciła ją nam na skrzydłach swych modłów poświętych...

SIOSTRA EGLANTYNA.

Chodźcie! chodźcie!... Nie słyszę już bicia jej serca!

(Zakonnice znów się cisną naokoło Beatryksy).

SIOSTRA KLEMENCYA klęka przed nią.

Siostro Beatryks! Siostro Beatryks! Nie opuszczaj siostr swoich w godzinie wielkiego cudu!...

SIOSTRA FELICYTAS.

Dziewica uśmiecha się do ciebie i wołają cię Jej usta!

SIOSTRA EGLANTYNA.

Ach! Nie słyszy!... Zdaje się cierpieć, a twarz pokryta zmarszczkami.

SIOSTRA KLEMENCYA.

Zanieśmy ją na łożę, tam do jej celi!...

SIOSTRA EGLANTYNA.

Nie, zostawmy ją lepiej przy Tej, która ją kocha i otacza ją cudami.

(Kilka zakonnic spieszy do celi i wraca z prześcieradłem, na którym kładą Beatryksę u stóp posągu).

SIOSTRA KLEMENCYA.

Z trudem oddycha... Rozepnijmy jej płaszcz i zdejmijmy jej welon z głowy...

(Czyni to, a zakonnice spostrzegają łachmany, którymi okryta Beatryks).

SIOSTRA FELICYTAS.

Widzisz, matko, te ociekające łachmany?...

SIOSTRA BALBINA.

Cała pokryta topniejącym śniegiem.

SIOSTRA KLEMENCYA.

Włosy jej posiwiały, a myśmy tego nie spostrzegły.

SIOSTRA FELICYTAS.

Nagie jej stopy pokryte błotem ulicznym.

KSIENI.

Cicho, córki moje; znajdujemy się w pobliżu nieba, a ręce, które jej się dotkną, obleje światłość...

SIOSTRA EGLANTYNA.

Piers jej się podnosi i otwierają się oczy.

(W rzeczywistości Beatryks otwiera oczy, podnosi nieco głowę i rozgląda się naokoło).

BEATRYKS jak gdyby budząc się ze snu i jeszcze nieprzytomna, dalekim mówi głosem:

Gdy dzieci moje pomarły... Dlaczego się uśmiechacie?... Pomarły z nędzy...

KSIENI.

Nie uśmiechamy się, a tylko szczęśliwe jesteśmy, że znowu powracasz do życia...

BEATRYKS.

Że znowu powracam do życia.

(Rzuca naokoło siebie spojrzenie bardziej świadome).

Tak, tak, przypominam sobie; powróciłam tutaj z głębi mojej niedoli... Nie patrzcie na mnie z takim niepokojem, nie jestem już dla was źródłem zgorszenia i uczynicie ze mną, co zechcecie. Nikt się niczego nie dowie, jeśli się obawiacie, że mówić będę, a ja nic nie powiem. Poddaję się wszystkiemu, ponieważ złamali wszystko w moim ciele, w mej duszy. Wiem, wiem, że czekać nie można, aż umrę na tem miejscu, u stóp tego obrazu, w bliskości kaplicy, w bliskości wszystkiego, co czyste, wszystkiego, co święte... a wy bardzo jesteście dobre, że macie cierpliwość, że nie odepchnęłyście mnie od razu... Lecz jeśli

możecie i jeśli Bóg pozwala na to, nie wypędzajcie mnie zbyt daleko od tego domu... Nie potrzebujecie troszczyć się o mnie, nie potrzebujecie opłakiwać mnie, albowiem chora jestem, ale już nie cierpię... Czemuście mnie położyły na to białe płótno? Ach, białe płótno to tylko wyrzut dla mnie, słoma zgniła — oto co przystoi upadłej grzesznicy. Ale wy spoglądacie na mnie i nic nie mówicie... Nie widać w was gniewu... Łzy widzę w oczach waszych... Zdaje mi się, żeście mnie jeszcze nie poznali...

KSIENI całując jej ręce.

Ach tak! tak! — Poznałyśmy cię, jesteś naszą świętą.

BEATRYKS cofa gwałtownie ręce, jakby przerażona.

Nie całujcie rąk tych, które tyle narobiły złego.

SIOSTRA KLEMENCYA całując jej stopy.

Duszą jesteś wybraną, która powraca ku nam z niebiosów.

BEATRYKS.

Nie całujcie tych stóp, które kroczyły w grzechu.

SIOSTRA EGLANTYNA całując ją w czoło.

Całujmy te czyste skronie, uwieńczone cudami.

BEATRYKS zakrywając sobie czoło rękami.

Cóż chcecie czynić i co się stało? Nie przebaczone, gdym była szczęśliwa... Nie dotykajcie się tego czoła, w którym gnieździł się występki... Ach! czem wy jesteście, wy, coście go dotknęły?... Nie wiem, czy nie uwodzą mnie oczy; lecz jeśli jeszcze widzieć mogę, to ty jesteś siostra Eglantyna?

SIOSTRA EGLANTYNA.

Tak, tak, jestem siostra Eglantyna, którą kochałaś.

BEATRYKS.

Do ciebie to powiedziałam, lat temu dwadzieścia i pięć, żem nieszczęśliwa...

SIOSTRA EGLANTYNA.

Lat temu dwadzieścia pięć wybrał cię Bóg z pośród wszystkich siostr naszych.

BEATRYKS.

Mówisz to bez najmniejszej goryczy... Nie rozumiem dobrze, co się ze mną dzieje... Słaba jestem i chora. Nie zdaję sobie sprawy i wszystkie wasze słowa wprawiają mnie w zdumienie... Nie oczekiwałam tego... Ale zdaje mi się, że się mylicie... jestem... przeżegnajcie się i zasłońcie sobie oblicza... Jestem siostrą Beatryks...

KSIENI.

Ależ tak, wiemy to, jesteś siostrą Beatryks, jesteś naszą siostrą, najczystsza pomiędzy nami, cudotwórczym barankiem, nieskazitelnym płomieniem, dziecięciem aniołów...

BEATRYKS.

Ach to ty, matko moja? Nie poznałam ciebie, byłaś tak prostą, a teraz jesteś zgarbioną... I jam się pochyliła i teraz upadłam... Poznaję was wszystkie: tam oto siostra Klemencya... I siostra Felicytas...

SIOSTRA FELICYTAS uśmiechając się.

Tak, siostra Felicytas, która pierwsza wyszła z kaplicy, obsypała kwiatami.

BEATRYKS.

Wyście nie cierpiały, nie jesteście smutne... Najmłodsza byłam między wami, a teraz jestem najstarsza.

KSIENI.

Miłość niebiańska strasznym jest ciężarem.

BEATRYKS.

Nie, miłość ziemską strasznym jest ciężarem... I ty mi przebaczasz?... I ty także?...

KSIENI przyklękając u stóp Beatryksy.

Córko moja! Jeżeli ktokolwiek potrzebuje przebaczenia, to ta, która się nareszcie rzucić może do twoich stóp.

BEATRYKS.

Ale czyż wy nie wiecie, com ja uczyniła?

KSIENI.

Czyniłaś same cuda i od owego dnia kwiatów byłaś światłem dusz naszych, kadziłem naszych modłów, bramą cudowności, źródłem łaski.

BEATRYKS.

Pewnego wieczora, lat temu dwadzieścia pięć, uciekłam z Królewiczem Bellidorem.

KSIIENI.

O kim mówisz, córko moja?

BEATRYKS.

O sobie mówię, o sobie. — Nie chcesz mnie zrozumieć?... Odjechałam pewnego wieczora, lat temu dwadzieścia pięć... Po trzech miesiącach przestał mnie kochać. — Straciłam czystość dziewiczą, straciłam rozum, straciłam nadzieję... Wszyscy mężczyźni, jeden po drugim, kalali to ciało, które się sprzeniewierzyło swemu Bogu. — Upadłam tak nisko, że aniołowie z nieba, mimo swoich wielkich skrzydeł, jużby się nie podnieśli. Tylem popełniła zbrodni, że czasami jakgdybym zbrudziła sam występek.

KSIIENI kładąc jej łagodnie rękę na ustach.

Przestań mówić, moja córko! Jakowaś mara kusi ciebie, jakiś ból idzie ci do głowy i sprowadza ci gorączkę.

SIOSTRA KLEMENCYA.

Cud ją wyczerpuje...

SIOSTRA FELICYTAS.

Wielka łaska rzuca ją o ziemię.

SIOSTRA EGLANTYNA.

Powietrze niebieskie ją przygniata.

BEATRYKS broni się, odtrąca rękę ksieni i podnosi się do połowy z posłania.

Nie! Nie! ja wam mówię. — To nie gorączka, to rzeczywistość, to nie powietrze niebieskie, to powietrze ziemskie — to prawda!... Ach! zbyt łagodne jesteście i zbyt niewzruszone

w swej wierze, a nic nie wiecie!... Ale ja wolę, aby mnie
lżono, wolę, aby mnie deptano, tylko, aby nareszcie to pojęto!...
Tak! wy tu życie, odmawiacie modlitwy, czynicie pokutę
i wierzyć w przebaczenie. — Za to ja, widziacie — ja i siostry
moje, mieszkające tam, na świecie, niemające spokoju i docho-
dzące do celu wielkich pokut!...

KSieni.

Módlmy się, módlmy się, siostry moje, to ostatnia jest próba.

SIOSTRA EGLANTYNA.

To szatan, którego gniewa tryumf aniołów...

BEATRYKS.

Tak, szatan panuje! — Widziacie te ręce?... Nie mają już
kształtów ludzkich... Nie mogą się już otwierać... I te mu-
siałam sprzedawać — po ciele i duszy... I te sprzedajemy, gdy
już niczego więcej nie mamy.

KSieni ocierając pot, ciekący z czoła Beatryksy.

Oby aniołowie niebiescy, czuwający nad twojem posłaniem, roz-
toczyli skrzydła swe nad skronią twoją, zroszoną potem...

BEATRYKS.

Ach! aniołowie niebiescy! Gdzież oni? Cóż oni robią? Nie po-
wiedziałam wam? Nie mam już dzieci moich... troje najpię-
kniejszych zmarło, kiedy już nie byłam piękną. Ostatnie zabi-
łam — raz wieczorem, kiedy oszalałam i kiedy ono krzyczało
z głodu... A słońce świeciło dalej, gwiazdy jawiły się znowu,
sprawiedliwość spała, a najpodlejsze dusze były szczęśliwe
i dumne...

KSieni.

Naokół wielkich świętych walka wre najgorętsza.

SIOSTRA EGLANTYNA.

Naokół bram niebieskich płomień piekielny z daremną przytłumić usiłuje wściekłością wielkie wzloty.

BEATRYKS pada zmęczona na posłanie.

Nie mogę już... Dławię się... Czyńcie ze mną, co chcecie, musiałam wam to powiedzieć...

SIOSTRA EGLANTYNA.

Archaniołowie niosą ją do nieba...

SIOSTRA FELICYTAS.

Zastępy niebieskie wywalczyły jej spokój.

KSieni.

Zły sen już pierzchnął... Moja biedna i święta siostró! Uśmiechasz się w tej chwili na myśl o bluźnierstwach, których nie wypowiedziałaś; to jakiś głos piekielny w błąd wprowadzał twój język i teraz umilkł, pożarty wściekłością nad ostateczną porażką...

BEATRYKS.

To był mój głos...

KSieni.

Moja droga, święta siostró, pokrzep serce swoje i nie miej wyrzutów... To nie był głos, który znamy wszystkie, ten drogi i słodki głos, który przywoływał aniołów i wyzdrowienie dawał cierpiącym, który przez tyle lat budził nasze modlitwy.

SIOSTRA EGLANTYNA.

Nie trwoż się, moja siostro; nie traci się tak odrazu, w walkach ostatecznych, palmy i korony życia niewinnego, życia modlitwy i miłości.

BEATRYKS.

Nie było godziny — od owej nieszczęsnej godziny nie miałam ani jednej godziny, którejbym nie skalala grzechem śmiertelnym.

KSIENI.

Módl się Bogu, córko moja; najświętszą jesteś, ale nieprzyjacieli kusi ciebie, skrupuły sumienia szarpiają tobą... Jakżeż ty mogłaś spełnić te wszystkie straszliwe występki? Od lat trzydziestu jesteś tutaj pomiędzy nami najniższą sługą ołtarza i progu... Oczy moje śledziły wszystkie twoe modły, wszystkie twoe czyny, odpowiadam za nie przed Bogiem, jak odpowiadam za swoje... Oby dały niebiosy, ażeby moje równe były twoim! — Nie tutaj, pod temi sklepieniami, ale tam, na zepsutym świecie, niech tryumfuje występki! Świat ten, dzięki Bogu, jest ci jeszcze nieznanym i ty nie opuściłaś nigdy cienia świątyni...

BEATRYKS.

Nigdy nie opuściła?... Nic już nie wiem, matko, i zbyt to już dawno. Jestem bliska śmierci, ale prawdę należałoby mi powiedzieć. Czy mnie zwodzą, czy też przebaczą mi bez wysłuchania?

KSIENI.

Ani przebaczą ani zwodzą.

BEATRYKS.

Jestem tu, matko, i zdaje mi się, że to nie jest sen... Spoj-

rzyjcie na ręce, które podrapały me paznogie... Patrzcie... Krew widać — sączy, prawdziwa krew... Nie mam innych dowodów. Teraz powiedzcie mi, czy macie litość nademną... Stoimy wobec Boga, zawsze jesteśmy bliżej Boga, gdyśmy bliżcy śmierci. Jeżeli nie chcecie, nie powiem nic więcej, ale jeśli możecie, to mówcie mi — przez litość! — co uczyniono, zastawszy przed laty dwudziestu pięciu wielką furtę otwartą, krużganek pusty, ołtarz opuszczony, płaszcz i welon... Już nie mogę, matko...

KSINI.

Rozumiem, córko moja, wspomnienie tego, co cię niepokoi i przygniata. Lat temu dwadzieścia pięć spełnił się ów wielki cud, gdy Bóg ciebie wybrał... Dziewica nas opuściła, aby pójść do nieba, ale przed odejściem odziała cię w swoją świętą szatę, ozdobiła cię swoimi klejnotami, ukoronowała cię swoją złocistą koroną i w bezgranicznej dobroci swojej nauczyła nas, że ty podczas Jej nieobecności zajmować będziesz Jej miejsce.

BEATRYKS.

Któż zajął moje miejsce?

KSINI.

Nikt go nie zajmował, boś ty była na niem.

BEATRYKS.

Ja byłam pomiędzy wami? Byłam tu przez wszystkie czasy? Chodziłam, rozmawiałam i ręce wasze dotykały się moich?

KSINI.

Tak, jak w tej chwili ręka moja dotyka się ciebie, me dziecko.

BEATRYKS.

Nic już, matko, nie wiem... Zdaje mi się, że już nie mam siły, aby to rozumieć. — Nie żądam niczego więcej, poddaję się tylko. Czuję, że jesteście bardzo dobre dla mnie i że śmierć jest słodka... Więc, czy wiecie, że dusza jest nieszczęśliwa? Nie przebaczone przecież, kiedym tu jeszcze żyła. Mówiłam sobie niejednokrotnie, będąc nieszczęśliwą, że gdyby Bóg wszystko wiedział, toby nie karał... Ale wy jesteście szczęśliwe i wyście to wiedziały... Dawniej ludziom nie znana była niedola, dawniej ludzie przekleństwo mieli dla tych, co upadli... Dzisiaj przebacza wszystko, co żyje, i snąć wszystko rozumie... Można by powiedzieć, że anioł zwiastował prawdę... Matko i ty, siostrzo Eglantyno, podajcie mi ręce... Nie życzyście mi źle? Powiedźcie siostronom... Cóżby powiedzieć siostronom?... Oczy moje już się nie otworzą i usta moje drętwieją... Nareszcie położę się do snu... Żyłam w takim świecie, że nie wiedziałam, czego chcą złość i nienawiść; a umieram w takim, że nie wiem, dokąd zmierzają dobroć i miłość...

(Pada wyczerpana na posłanie).

SIOSTRA EGLANTYNA.

Śpi.

KSIENI klękając.

Módlmy się, módlmy się, siostry moje, aż do godziny tryumfu.

(Zakonnice klękają naokoło posłania Beatryksy).

KONIEC.

FRANCZESKA Z RIMINI

Boskiej Eleonorze Duse

DRAMATIS PERSONAE.

OSTASIO	}	dzieci Gwidona Młodego z Polenty.
BANNINO		
FRANCZESKA		
SAMARYTANA		
BIANKOFIORE	}	Frauncymer Franczeski.
ALDA		
GARSENDA		
ALTICHIARA		
ADONELLA		
NIEWOLNICA	}	Stronnicy Gwidona.
SER TOLDO BERARDENGO		
ASPINELLO ARSENDI		
VIVIANO DE VIVII		
BERTRANDO LURO		
LUCZNIK	}	Synowie Malatesty z Verucchio.
GIOVANNI LO SCIANCATO (Jan Kulawiec) zwany GIANCIOTTO		
PAOLO PIĘKNY		
MALATESTINO DALL' OCCHIO (Jednooki)		
ODDO DALLE CAMINATE	}	Stronnicy Malatesty.
FOSCOLO d'OLNANO		
STRAŻNIK		
LUCZNIKI i STRZELCY		
KUPIEC.		
SŁUŻĄCY.		
LEKARZ.		
ASTROLOG.		
GRAJEK.		
MUZYKANCI.		
LUDZIE Z POCHODNIAMI.		

Rzecz dzieje się w Rawennie, w domu Polentanów, i w Rimini, w domu Malatestów.

AKT PIERWSZY

AKT PIERWSZY.

Dziedziniec w pałacu Polentanów, przytykający do ogrodu, który prześwieca przez mur, wykuty w marmurze, opatrzony w otwory, podobne do sztachet. U góry loggia, po prawej stronie łącząca się z komnatami białogłowskiemi, z przodu na wielkich oparta kolumnach, dająca widok obustronny. Od loggi, po lewej, prowadzą lekkie schody popod próg zamkniętego ogrodu. W głębi wielka brama i niskie, zakratowane okno, przez które widać rząd arkad, otaczających drugi, większy dziedziniec. Obok schodów kamienny sarkofag bizantyński, bez nakrycia, niby wazon napełniony ziemią, a w niej rozkwitły krzak szkarłatnej róży.

SCENA PIERWSZA.

Widać damy, wychylające się z loggi lub schodzące po schodach; zaciękawione, dają znaki grajkowi, który zjawia się z skrzypkami pod pachą i starą kapotą w ręku.

ALDA. Ohej! jest grajek! grajek!

GARSEND. Adonella! Adonella! Mamy grajka
w dziedzińcu! Biankofiore!
Zjawił się grajek! grajek!...

ADONELLA. Czy bramy są otwarte?

BIANKOFIORE. Niechże nam co zaśpiewa!

ALDA. Hej! Czyś ty może Gianni?

GRAJEK. Słodkie moje panie!

ALDA. Możesz ty Gianni, co miał przybyć do nas
z Bolonii? Gianni Figo?

GARSENDA. Możesz Gordello, co miał przyjść z Ferrary?

GRAJEK. O moje panie drogie!

ADONELLA. Czego tu chcesz w dziedzińcu?

GRAJEK. Przyszedłem za zapachem!

BIANKOFIORE. My wyrabiamy pachnący olejek —
olejek lawendowy.

GRAJEK. Ja bo tam nie jestem
handlarzem pachnideł.

ALTICHIARA. Damy-ć flakonik, jeśli nam, słowiku,
raczysz zaśpiewać...

GARSENDA. Patrzcie go, jak mlaska!

GRAJEK. Więc panie macie... proszę?!

BIANKOFIORE. Mamy go pełne kosze.

ADONELLA. Mamy go pełne wory —
o, pełne skrzynie!... Madonna Franczeska
kąpać w tym soku będzie swe powaby,
w olejku lawendowym.

GRAJEK. A ja myślałem, że w Gwida pałacu
zapach krwi znajdę!

ALDA. Krwi Trawersarów. Na placu, na placu
krew oną znajdziesz!

WSZYSTKIE. Polenta! A bijże!
bij Trawersarów!

GRAJEK. Ehej! Czirp! czirp! czirp! Ratuń się kto może!
Wróble się naraz zmieniły w krogulców!

(Śmiech spływa po schodach dzwoniący, tu i owdzie wśród dwurożnych
pobłyskując koafjur.)

WSZYSTKIE. Rozszarpać gibelina!

GRAJEK. Cicho-że bądźcie, bo łucznik usłysz
i zbyt skwapliwie wymierzy swą strzałę
prosto — w mój żywot... Na śmierć czas mi jeszcze.

ALDA. Przysięgnij, żeś jest gwelfem!

GRAJEK. Tak! na świętego Merkuryala z Forli,
(który bodajby zwałił swą dzwonnice
na łeb Feltrana) jam gwelf tak prawdziwy,
jak Malatesta di Verucchio — wiecie?

GARSENDA. A zatem jesteś ocalon... Chodź bliżej,
możesz powąchać, bracie!

GRAJEK. Wąchać?... A mięsa mi dacie?
Jeśli ja mam być psem,
wówczas tu muszą być także i suki.
Zobaczym ~ ~ ~

(Rzuca się na czworaki, jak pies, i zaczyna dobierać się do sukien panienek.)

GARSENDA. Psie przekłęty!

ALDA. Ty psie parszywy!

ALTICHIARA. Grzeszny psie! no, bierz-że!

GRAJEK. Ojej! ojej! jej! strzaskacie mi skrzypce!
Złamiecie smyczek!

ADONELLA. No, bierz to!

GARSENDA. I to!

BIANKOFIORE. I to! bierz! no łapaj!

GRAJEK. O, wszystkie zakochane!
Gdybym ja wiedział, która najgorętsza!

WSZYSTKIE (śmiejąc się, uderzają go po grzbiecie, a gdy Grajek dobiera się do ich spódnic i węszy jak pies, przestają go bić i otrząsnąwszy wonne sukienki, zaczynają tańczyć okrągłego.)

BIANKOFIORE. Zatańczmy „okrągłego“.

ADONELLA. Co? Czujesz zapach?
Zapach lawendy?

ALTICHIARA. Kwiat lawendowy,
świeży i zdrowy?

BIANKOFIORE. W płótnach kwiat ten dziki, w ukryciu głębokiem,
do tego ogródka wejdź-że choćby okiem.

ALTICHIARA. Kwiat lawendy pachnie, nie widać ogroda.

ADONELLA. Skądże to zawiewa ta wonna osłoda?

WSZYSTKIE. A wąchaj-że! wąchaj!

GARSEND. W koszulce, w koszulce dziki kwiat się chowa,
chodź-że mój kochanku, pora to majowa.

WSZYSTKIE. A wąchaj-że, wąchaj!

ADONELLA. O niechże się do mnie kochanek przytuli,
chcę go mieć przy sobie bliżej od koszuli.
Miłość się odzywa,
miłość mnie porywa!

WSZYSTKIE. A wąchaj-że! wąchaj! wąchaj!

GRAJEK wstaje i stara się je łapać. A! koty za płoty!
Dorwać się choć do jednej!

ALDA z pogardliwym ruchem. Nie łapać ci zwierzyny!

GARSEDA. Ty wolisz kęs słoniny!

Przyznaj się, grajku biedny:
większy cię głód pogania,
niż chęć dowcipkowania.

GRAJEK drapiąc się w kark. Być może; dawnom nie nasycił głodu,
a zapach człeka nie tuczy!

GARSEDA. A widzisz, widzisz! idź więc do biskupa
Bonifacego z Genui, to największy
smakosz na świecie! Tutaj dom Polenty.

GRAJEK. Największe smaki są tu między wami —
imbier, jakiego nie znajdziesz gdzieindziej —
wątróbka w czarnym chrzanie,
to, zacne raweńskie panie,
przysmaczek mój, o mój!

GARSEDA. Nie ma tu żadnej takiej,
coby dla durnia chowała przysmaki.

BIANKOFIORE. Zaśpiewaj nam, grajku!

ALDA. Zatańcz-że nam, grajku!

GRAJEK. poprawiając strzępy na sobie. Docnaście mnie podarły.
O ty nieszczęście mego życia! Macie
może cokolwiek...?

GARSEDA. Słoniny?

GRAJEK. Nie! macie może kawałek szkarłatu?

ADONELLA. Chce ci się jeszcze krotochwilić?... Owszem.

BIANKOFIORE. Lecz wprzód, kto jesteś? Gianni...

ALTICHIARA. Biankofiore, patrz! w jakich on sukniach!
Kubrak się kłóci z trzewikiem.

GARSENDA. To Gian
Figo i przybył z Bolonii.

BIANKOFIORE. A tylko
bez bolońskiego złota!

ALDA. Pewnie jest służką Lambertazzów.

GARSENDA. Hołota! hołota!

ALDA. Doznał despektu
od Geremeiów.

ALTICHIARA. Czyś może stracił jakie wielkie księstwo?

GARSENDA. Popatrz na niego, Adonella! został
zaledwie w spodniach.

GRAJEK. I tebyście jeszcze
chciały mi ściągnąć!...

ADONELLA. Popatrz się, łotrze, w lustro! Krzywy jesteś
jak kabłak łuku!

BIANKOFIORE. Zaśpiewasz nam może
coś o zburzeniu Bolonii i o tem,
jako pojmano przedtem króla Enzia?

GARSEDA. A ja wam mówię, że przybył z Ferrary.

GRAJEK zniecierpliwiony. Przybywam z Ferrary,
przybywam z Bolonii.

GARSEDA. A możesz ty właśnie
przywiódł z Bolonii do Ferrary
Ghisolabellę de Caccianimici
panu Opizzo — margrabiemu?

GRAJEK. Tak, nie inaczej, prawdę mówisz, prawdę.

GARSEDA. I ty zapewne sprawiłeś wesele
siostrze Opizza z pewnym bardzo miennym
sędzią z Gallury, z owym połamańcem,
co brał na pomoc tęgiego parobka?

GRAJEK. Tak, nie inaczej! prawda! w podarunku
dostałem za to — —

ALDA. Kość?

ADONELLA. I dwa kasztany?

BIANKOFIORE. I trzy orzechy włoskie i laskowy
jeden?...

ALTICHIARA. I gałąź biedrzeńca...

GARSEND. I parę ślimaków i żółądz! —

GRAJEK. I tę z sieraku angielskiego kurtę —
nie, tę czerwoną aksamitną z Tirii. —
Nie, ten karmazyn welwetowy, cały
gronostajami podbity...

GARSEND. O, patrzaj!
Altichiaro, patrzaj, co ma w ręku.

ALTICHIARA. Stary kubraczek...

GARSEND. Nie! to romaniola.

ALDA. A więc Gordello jesteś, nie Gían Figo.

ADONELLA. Gdzież tam! to żydek!

BIANKOFIORE. To handlarz starzyzny,
Lotto z pod bramy Sisi.

ALTICHIARA. Sprzedajesz pieśni czy szmaty?

ADONELLA. Powiedz, łachmany-ś przyniósł czy piosenki?

GRAJEK. A niech mnie dyabli! myślałem, że jestem
w pałacu pana Polenty, a widzę,
żem się przypadkiem dostał w klatkę wróbli.

GARSEND. Skrzep się na duchu, ja zadowolona,
boć pokazałam, wielki kalfaktorze,

że pań raweńskich nie łatwo jest chwytać
na lep żarcików.

GRAJEK. ~ ~ i macków...

ALDA. Zaczynasz?

ADONELLA. Zamyślasz wznowić kłótnię?

BIANKOFIORE. Daj-że mu spokój, Alda! niech zaśpiewa!

GARSENDĄ. Lecz ja nie widzę, jakie on ma skrzypce?

Patrz, Adonello!

Raczej podobne do dyni z tym brzuchem

i z taką szyjką ~

nie mają kluczyków,

struny basowej brak i tercya.

Jeśli on szczeka, to niech sobie warczą

jego skrzypeczki! Zabrzdąkaj-że, proszę,

na ríbeíkinie, daj spokój smyczkowi.

BIANKOFIORE. Przestań się z nim już kłócić, mono Berto!

Wnet zobaczymy, czy też umie śpiewać:

Dalej-że, grajku!

Zauć nam wreszcie jaką piękną piosnkę.

Nie znasz śpiewaka,

który się zowie Pisarzem z Lentino?

Nasza madonna Franczeska zna jego

piękną piosneczkę, która się zaczyna:

„O jak mną dziwnie wstrząsa miłość!...“ Znasz to?

GRAJEK. Owszem. Zaśpiewam,
gdy dacie mi sztuczkę szkarłatu.

ALTICHIARA. Powiedz-no, bratku, co ty chcesz z nim robić?

ADONELLA. Baczość! zważajmy!

GRAJEK. Będzie mi bardzo miło,
jeśli mi załatacie
ten mój kubraczek.

ALTICHIARA. Daj ci Boże szczęście!
Romaniolę chcesz łątać szkarłatem?

GRAJEK. Jeżeli macie, zróbcie mi tę łaskę —
mam jedną dziurę na piersiach, a drugą
oto na łokciu! posiadacie może
ze dwa kawałki?

ALTICHIARA. Owszem, mamy! mamy!
Załatasz sobie, jeśli nam zaśpiewasz.
Ale to będzie całkiem coś nowego:
romaniola i szkarłat!

GRAJEK. Ja zawsze szukam nowości; raz przecie
jestem czymś nowem,
dlatego tak czynię...
Ale niedawno, udając się do was,
widziałem rzeczy stokroć nowsze; wiecie —
jakie dwie mile stąd spostrzegłem kogoś,

który miał głowę z żelaza,
nogi drewniane, a zasię
przemawiał, wicie, ramionami.

BIANKOFIORE. Oto, coś bardzo nowego!
Jak to być może? mów, jak to być może?

ADONELLA. Bacność! Zważajmy! Zważajmy!

GRAJEK. Zaraz wam powiem: spotkałem się w drodze
z kimś, co na głowie wielkie miał hełmisko,
a iże szyszki szedł zrywać z raweńskich
jedli, tak, wicie, wędrował na krokwiach;
a zapytany, czy czasem nie widział
jednego z ludzi, który przed nim jechał,
tak wzruszył ramionami,
odpowiadając w ten sposób,
że go nie widział.

BIANKOFIORE. To prawda!

GRAJEK. Jestem czemś nowem, bo rzeczy prawdziwe
mówię wam żartem — ot, bajki, mospanie!
Przeto mi zróbcie to, o co was proszę,
a gdy już będzie zrobione,
wówczas zbyt długo czekać nie będziecie,
ale poznawszy przyczynę, powiecie,
że Gian Figo...

GARSEDA. Zdradziłeś się, bratku...

WSZYSTKIE. Więc jest Gian Figo...

GRAJEK.

Powiecie: Gian Figo

taki jest mądry, prawda, jak Dínadam,
oberlandzkiego króla syn, co właśnie
przez to był mądry, że nie znał miłości.

ALTICHIARA. Dalej! zaczynaj! Pora już zaśpiewać!

BIANKOFIORE. „Nadeszła pora wzlotu...”

Znasz-li te piękne wiersze króla Enzia,
owego króla, który zginął w bitwie
z bolończykami i został zamknięty
w klatce żelaznej,
gdzie życie zakończył,
śpiewając o swoim bólu?
Sześć lat upłynie już w marcu; pamiętam:
„Nadeszła pora wzlotu i upadku,
nadeszła pora słowa i milczenia...”

ADONELLA. Nie! nie! Gian Figo,

zaśpiewaj nam, piosenkę
króla Jana z Jeruzalem
„Dla kwiatu wszystkie ziemie...”

GARSEDA. Nie! nie! zaśpiewaj króla Fryderyka

ona-ć „piosenkę wesolą”
(zna-ci ją dobrze madonna Franczeska,
ten kwiat Rawenny) — piosnkę, ułożoną

dla róży z Soryi, kiedy władzca Szwabii
kochał się w dzielnej panience,
z domu Brienny,
którą z za morza przywiozła ze sobą
jego małżonka, a ona-ć małżonka
pana szwabskiego była właśnie córką
owego Jana, króla Jeruzalem ~ ~:
zwała się Izabella,
potem umarła i wówczas Fryderyk
pojął za żonę siostrę angielskiego
króla Henryka Prostaka.
Wżdyć umiłowal ją przez to, że biegła
była w muzyce, tak samo, jak nasza
pani Franczeska, i że miała zręczność
w słodkiej i dwornej mowie; i to było
trzecie wesele; i ona śpiewała
we dnie i noce, i grała, i potem ~ ~ ~

BIANKOFIORE (zamyka jej usta ręką.)

GRAJEK. A to pleciguga! Biedny królu Enzio,
snadź nie nadejdzie tu pora milczenia!
Takiż to skutek twojej krotochwili,
Gian Figo? Słowa, słówka i słóweczka ~
za cztery słowa masz ich zaraz tysiąc!

ALTICHIARA. Posłuchaj, grajku! Zostaw króla w grobie!
Zaśpiewaj raczej: „Matko, daj mi męża!

— Poco ci męża, ma córko?
— Bym miała słodycz z niego...”

ALDA. Ależ to stara! Posłuchaj mnie, grajku!

ALTICHIARA. A może: „Monna Lapa
przędzie i przędzie...”

ALDA. Nie, nie! inna!

ALTICHIARA. Może:
„Ślimaku, zejdz z drogi,
boć wyskubię rogi!”

ALDA. Cicho!

ALTICHIARA. A może: „Każda panieneczka
ma kochanków siedmiu —
po jednym na dzień w tygodniu...”

ALDA. Cicho!

ALTICHIARA. Lub: „Monno Aldrudo,
pociesz się, dobre są wieści...”

ALDA. A cicho!
Biankofiore, zamknij-że raz gębę!
Słuchaj śpiewaku, to stare piosneczki. —

ADONELLA. Ponoć w Bolonii nowy jest trubadur —
pewnieś go słyszał — śpiewa w nowym stylu —

zowie się messer Gwido ~ ~ messer Gwido
z rodu ~ ~ ~ no, jakże?...

GRAJEK. Z rodu Gwinizellów.
Precz wywędrował, z partyą Lambertuzzów
zbiegł do Werony i umarł...

ALDA. Niech zczeźnię!
Stronnik cesarski! Niech się w piekle uczy
układać rymy! Słuchaj, może umiesz
coś rycerskiego?

BIANKOFIORE. Tak! może umiesz o „okrągłym stole?”
Znasz-li te wszystkie rycerskie przygody?
Może nam powiesz o wielkiej miłości
złocistowłosej Izoldy?

GRAJEK. Znam sprawy wszystkich rycerzy i wszystkie
sprawy wielkiego rycerstwa,
które zdarzyły się w czasach
króla Artura, szczególnie wiadomą
jest mi opowieść o panu Tristanie
i Lancelocie z Jeziora; znam także
o Parsífału z Galles, co kosztował
krwie Zbawiciela naszego, Jezusa,
o Galeassie wiem i o Galwanie,
a i o innych: znam wszystkie powieści...

ALDA. A o Ginewrze?

ADONELLA. Co za myśl szczęśliwa!

Trzeba to, Aldo, powiedzieć madonnie
Francesce, prawda? Wielce się ucieszy
i obdaruje cię hojnie
za tę opowieść, grajku.

GRAJEK. A da mi naprzód?

ADONELLA. Co da ci naprzód?

GRAJEK. Anoć da mi naprzód
one-ć dwie sztuki szkarłatu.

ADONELLA. Da więcej,
więcej! Obdarzy cię przehojnie! Wszakże
niebawem będzie jej ślub! Messer Gwido
oddaje córkę swoją Malateście.
Przygotowują wesele.

BIANKOFIORE. Tymczasem
słuchamy ciebie: opowiedz cośkolwiek —
„nadeszła pora słuchania“, jak mówi
królewski więzień z przeprawy bolońskiej.

(Damy gromadzą się naokół grajka, który zabiera się do opowiadania treści:)

GRAJEK. — Jako Morgana do króla Artura
posłała tarczę, którą wyróżyla
wielkie kochanie dobrego Tristana
i kwieciu równej Izoldy. To będzie
powieść o damie najpiękniejszej w świecie

i najpiękniejszym z rycerzy. I jako
ona-ć Izolda wespoły z Tristanem
wypiła trunek, przez jej matkę Lottę
przygotowany dla niej i dla króla
Marka i jako ów trunek przyprowadził
o śmierć oboje kochanków; to powiem...

(Damy słuchają z uwagą. Grajek bierze akord na skrzypcach i zaczyna
śpiewać:)

GRAJEK. „A kiedy ranna zabłysła jutrzeńka,
wówczas król Marek i szlachetny Tristan...”

GŁOS OSTASIA z głębi: Apulijskiemu powiedzcie łotrowi,
że sobie ręce i nogi umyję
w jego posoce...

ALDA. O! messer Ostasio!

GARSENDIA. Chodźmy stąd! chodźmy!

(Grupa słuchaczek nagle się rozpierzcha. Śród śmiechów i chichotów zbie-
gają po schodach; widać, jak giną w logii.)

GRAJEK. A gdzie moja kurta?
polecam damom moją piękną kurtę
i ten mój szkarłat.

ALTICHIARA wychylając się z loggii:
Przyjdź o godzinie dziewiątej, a wszystko
będzie gotowe.

Exit.

SCENA DRUGA.

Wielką bramą w głębi wchodzi OSTASIO z Polenty w towarzystwie pana TOLDA BERNARDENGA.

OSTASIO chwytą przerażonego grajka. Co ty tu robisz, łotrzyku?
Z kim to mówiłeś? Z damami? Co? Jaką
wszedłeś tu drogą? Odpowiedz! Czyś przybył
z panem Paolem Malatestą? Gadaj!

GRAJEK. Aj! Wasza Miłość za bardzo mnie ściska!

OSTASIO. Przyszedłeś z panem Paolem?

GRAJEK. Nie, panie.

OSTASIO. Kłamiesz!

GRAJEK. Tak, panie.

OSTASIO. Mówiłeś z damami.

Coś im powiedział?... O panu Paolu?

O czym gadałeś? Mów, o czym gadałeś?

GRAJEK. Nie, Wasza Miłość!... O panu Tristanie!

OSTASIO. Już ty dwa razy mnie nie okpisz, bratku!

Hej! od Tristana wyjdiesz stąd smutniejszy
na całe życie, podły połamane!cze!

GRAJEK. Co wy robicie ze mną, panie! panie!

Śpiewałem tylko piosenkę —

o „stole okrągłym“ śpiewałem.
Bo one-ć damy chciały mieć koniecznie
jakąś opowieść rycerską..., Ja jestem
grajkiem i śpiewam z głodu, a ten głód mój
mniemał, że znajdzie w domu pana Gwida
pocześniejszego coś, niżli kułaki.
Nie mam podjezdka, tak na własnych nogach
przybywam z zamku Kałboli,
w którym się zamknął messer Rinieri
i wielką gotuje wyprawę
z siedmiuset chłopą.

OSTASIO. Przybywasz z Kałboli?

GRAJEK. Tak, Wasza Miłość!...

OSTASIO. A może siedziałeś
u Malatestów w Rimini?

GRAJEK. Nie, panie!

OSTASIO. A zatem nie znasz pięknego Paola,
który tak lubi grajków i rad widzi
naokół siebie i grywa i śpiewa?

GRAJEK. Na swe nieszczęście nie znam go, lecz pragnę
udać się k'niemu. A jeśli go znajdę,
to nie odejdę już od jego boku.
Niech żyje imć pan Paweł Malatesta!

(Chce czmychnąć. Ostasio chwytą go za kołnierz i woła łucznika, strzegącego dziedzińca.)

OSTASIO. DžiaKomello!

GRAJEK. Co myślicie czynić?
Za co bijecie?

OSTASIO. Że za dużo gadasz!

GRAJEK. Jestem milczący! to głód wyje we mnie!
Proszę, zamknijcie mnie w kuchni, a zaraz
umilknę, panie, jak oliwa.

OSTASIO. Złodziejskie plemię! Cicho!
DžiaKomello, tobie
pod straż oddaję tego wyszczekańca...
Wpakuj mu w gębę cny kułak!

GRAJEK. Panie!
Kukła wystarczy, kukielka!

OSTASIO. Pięść lepsza!

GRAJEK podczas gdy go łucznik ciągnie za sobą.
Ach! gdyby pani Franceszka wiedziała,
co wy robicie tu ze mną! Mam śpiewać
na jej weselu! Niech żyje! Niech żyje
messer Paolo Malatesta!

Exit.

SCENA TRZECIA.

(Z wyrazami gniewu i podejrzliwości syn Gwida ciągnie pisarza do sarkofagu.)

OSTASIO. Tacy grajkowie, taka gawiedź dworska
to istna dżuma dla Romanii — stokroć
gorsza od zgrai cesarskiej. — Języki
niewieście — wszystko słyszą, wszystko mówią,
włączyć się lubią po świecie, by łowić
różne nowości i nowostki; uszy
kapią w przeróżnych tajemnicach. Chcecie
wiedzieć, iż rządca papieski legiwa
z małżonką Lisia z Walkony? Pragniecie
wiedzieć, że Rinier z Kalboli otrzymał
grosze od partyi geremejskiej?... Może
łotr ten rozmawiał z Franczeską?
Jeśli on grajkiem Malatestów,
to już przyniósł wieści
o pięknym panu Paolu
i na nic wszelkie wykręty,
któreś, Ser Toldo, wymyślił
w tej swojej wielkiej mądrości.

SER TOLDO.

W tak nędznym

był on rynsztunku,
że podejrzывать nie trudno, ażeby
miał on należeć do święty rycerza
tak wspaniałego, jak messer Paolo,
co lubi hojnie obdarzać

tego rodzaju ludzi.
Aleście dobrze zrobili,
kazawszy wepchać mu kułak.
Taka hołota
ma nieraz dziwne jasnowidztwo rzeczy,
psując rzemiosło astrologom. ~

OSTASIO.

Prawda!

A i cypryjską ową niewolnicę,
tak drogą siostrze mojej, podejrzewam
o jasnowidztwo ~ umie sny tłumaczyć...
a od dni kilku widzę moją siostrę
smutną i w ciężkich zatopioną myślach,
jak gdyby miała jakiś sen żałobny;
nie dawniej, jak wczoraj,
słyszałem u niej tak ciężkie westchnienia,
jakby ją w sercu gryzła jakaś boleść;
Samarytanę
słyszałem również, jak się jej pytała:
„co ci, siostrzyczko? dlaczegoś taka smutna?”

SER TOLDO. Panie Ostasio! to maj!

OSTASIO.

Nie będziemy

mieli spokoju, póki się nie zawrze
tego małżeństwa. A przytem, ser Toldo,
wielce się boję, aby nie nastąpił
jakowy skandal.

SER TOLDO. Bo trzeba wam wiedzieć,
kim wasza siostra,
jaki to dumny jest umysł. Niech stanie
Gianciotto przed nią, kuternoga
nieokrzesany, z oczami
rozszałałego dyabła,
to, jeśli kontrakt małżeński nie będzie
spisany przedtem, ani wy, ni ojciec,
ani nikt inny nie zdoła
znaglić jej k'temu, by wyszła za niego,
choćby miecz jej przyłożyć do gardła,
choćby wlec ją za włosy
wskrósć ulic miasta Rawenny!

OSTASIO. Wiem o tem dobrze, ser Toldo; mój ojciec
dał jej za niańkę jedną z swoich szabel,
dziwnie hartowną,
skapaną we krwi Ceteny w tym czasie,
gdy był podestą.

SER TOLDO. Rozważywszy wszystko,
trzeba nam będzie nabrać przekonania,
że niema tutaj żadnej innej drogi,
prócz raz obranej. To też gdy w zastępstwie
Jana Kulawca zjawi się Paolo
z pełnem zleceniem,
by ją zaślubić dla brata,
wydaje mi się, że bez żadnej zwłoki

trzeba przystąpić do aktu, jeżeli,
messer Ostasio, pragniecie mieć spokój.
Paolo wielce jest pięknym,
wielce przyjemnym młodzieńcem, naprawdę,
lep to nielada! Lecz zasię
łatwo jest wiedzieć,
że jest małżonkiem pani Orabílej.
A wyście grajka schwytali, z obawy
aby nie gadał za wiele.

OSTASIO. Słusznie mówicie, ser Toldo.
Niema co zwlekać. Dziś wieczór z Valdoppio
wróci mój ojciec; trzeba się postarać,
by wszystko było na jutro gotowe.

SER TOLDO. I owszem, messer Ostasio.

OSTASIO. A potem?
Co będzie potem?

SER TOLDO. Jeżeli we wszystkim
sprawim się mądrze i skrzętnie,
to ten nasz podstęp madonna Franczeska
odkryje wówczas dopiero,
kiedy w Rímíno,
rano, po nocy poślubnej,
ujrzy, jak z łoża ~ ~ ~

OSTASIO zmieszany. Wszakże to wygląda
na straszną mściwość!...

SER TOLDO. ~ ~ ~ Zobaczy, jak z łoża
wstaje Gianciotto!

OSTASIO. Jaka ona piękna!
A my tu wszyscy niejako się mścimy
na jej piękności, jak gdyby sprawiała
hańbę naszemu domowi;
ona, co między naszym żelaziwem
jak kwiat wyrosła! Za pomoc stu chłopca
my ją dajemy Kulawcowi! Słuchaj,
czyż ona całej nie warta Romanii?
Ty to, fałszywy pismaku, nakładłeś
do głowy ojcu mojemu!
Ja nie chcę!
Tyś uskutecznił ten handel!
Słyszysz?

SER TOLDO. Ja-ć czuję, że was ukąsiła,
messer Ostasio, jakaś tarantula!
zda mi się przecież, że w całej Romanii
lepszego niema zamążpójścia... Prawda?

OSTASIO. Od Malatestów? Kimże są, powiedzcie,
owi panowie z Verucchio?... Czy może
da nam ten związek Cetenę,
Cerwie, Faenzę, Forlį, Ciwitellę,
choć pół Romanii?
Stu dostajemy chłopca
na wypędzenie partyi Trawersarów ~

wielka mi pomoc!
A Dowadollo, Gello, Montaguto,
żali są w naszych rękach? Gianciotto!
Cóż to za jeden? Jeżeli pomyślę,
że wdowa po Trawersarym,
ta stara suka parszywa,
dostała jeszcze po krewnym papieskim,
synu Andrzeja, króla Węgier ~ ~ ~

SER TOLDO. Co was obchodzi, panie, król węgierski?...

OSTASIO. ...A my tu siedzimy
z tym apulejskim chamem,
z tym Guglielmotto, co się chełpi,
że prawowitem jest dziecięciem
Paola Trawersari
i bunt nam wszczyna! Nie ma też wątpienia,
że go na zawsze chyba nie uśmierzysz
z tą setką chłopa; powróci, gdy tylko
otrzyma pomoc od Forliańczyków.
Czegoż się wówczas spodziewać
po Malateście?

SER TOLDO. O, Malatesta jest dzisiaj największym
gwelfem w Romanii i pierwszym kościoła
obronicielem, w łaskach u papieża,
jest namiestnikiem Florencyi z ramienia
króla Karola i ma sławę wodza. ~

OSTASIO. Panie pisarzu! Gwido z Montefeltro
w puch-ci go rozbił na moście Procola!
Panie pisarzu! Gwilelmino Pazzi
pod Reversano raził go i zmusił,
by mu odstąpił opokę ceseńską.

SER TOLDO. A to zwycięstwo pod Colle Valdelso
na Sijeńczykach,
kiedy położył trupem Provenzana
Salvaniego? A potem jak z marchii
pojął ankońskiej hrabiego Gwidona
i z jego ludźmi zabrał do Rimini?
A potem zasię jak przejął
tajemne listy cesarza
Baldwina do króla Manfreda?
Zda mi się,
panie Ostasio,
że wasza pamięć nie jest zbyt gwelficka.

OSTASIO. Gdyby sam dyabeł zjawił się i dał mi
władzę zniszczenia przeklętego rodu
Apulijczyka
i niewolnicy Paskietty, ja z djabełem
trzymać dziś będę, mój panie pisarzu!

SER TOLDO. Dobrze odgadłem, dobrze: tarantula
jakowaś, panie, ukąsiła ciebie.

OSTASIO. Cesarz Fryderyk — niech mu Pan Bóg za to

da kroplę wody w otchłaniach piekielnych! —
Na wieki wieków wygładził to plemię,
rzuciwszy w piec rozpalony
Aikę Trawersari.

Wtem dnia pewnego zjawia się w Rawennie
razem z kochankiem jakaś niewolnica,
Paskietta, mówiąc: „ja jestem Aika!”
I wraz się znalazł arcybiskup Filip,
który ją prawną ogłosił dziedziczką
i obdarzywszy księstwem,
uczynił naszą władczynią! I patrzcie:
taki zbójcecki małżonek
stoi na czele partyi Ghibellinów
przeciw domowi Polentów! I dzisiaj
trzeba, ser Toldo, krwawo się użerać
z takim Gwilelmem Francisio, bękartem
nędznych pastuchów! Rozumiesz to, panie?

SER TOLDO. Aleście go już wygnali z Rawenny?

OSTASIO. Z ludźmi Gianciotta Malatesty?

SER TOLDO. Messer Ostasio! Jesteście niewdzięczny!

W dwóch dniach uprzątnie z ulic Gianciotto
wszystkie przeszkody i wszystkie zapory.
Od Sant' Agata do Porta Mamante
wytlukł hołotę Anastasyów.
Od San Simone do Porta Vittore,
odrazu, jak grom,

ciężkimi rozbił działami
pospolitego wroga!
I nie oszczędzał siebie, tylko w własnej
spełniał osobie przechwalebne czyny
z tarczą na piersiach i ze szpadą w ręku!
W sam środek tłuszczy
wdarł się na swoim srokoszu,
na rozjuszonym bachmacie,
który tak dzielnie rozprawiał się z wrogiem,
iż on dziesięciu ~
najmniej dziesięciu chłopów miewał naraz
pod kopytami swego konia!
Stefan Sibaldo,
który był blisko niego, opowiadał,
że gdy Kulawiec do walki się bierze,
widok naonczas ma się przewspaniały,
takim jest mistrzem w wojennej przeprawie!

OSTASIO. O panie Toldo! macie, widać, udział
w łupie! Nieprawda? Odbieracie sztukę
tym, co śpiewali
sławę dwunastu baronów
jasnobrodego cesarza Karola!
Ile też za to dostaliście?

SER TOLDO. Tak, tarantula apulijska
to, wiedźcie, rodzaj pająka,
która w człowieku, ukąszonym przez nią,

różne i dziwne wywołuje zmiany ~
chyba nie jestem już tym wielkim mędrce
jakim dotychczas byłem!
Malatestowie nie lubili nigdy
ponosić hańby, a zasię Kulawiec
poznał już dzisiaj, jak można się dostać
w mury Rawenny. Oddajcie swą siostrę
królewiczowi Salerna,
albo też doży Wenecyi. ~

OSTASIO zamyślony. Tak! Ona
warta królestwa! Jaka ona piękna!
Niema tak prostej szpady, jak jest prosty
wzrok jej, gdy rzuci spojrzenie! A wczoraj
pytała mi się: „komu mnie dajecie?”
A kiedy stąpa z tym włosem rozwianym,
opadającym swobodnie wokół pasa
i wokół silnych bioder (a jak silna,
choć tak blada), kiedy wstrząśnie głową,
to sprawia taką radość,
jako porzecz na wicherze, gdy człowiek
oblega miasto bogate
z jaśniejącymi szyszaki!
Wówczas się zdaje,
jak gdyby w swoich ręku
trzymała orła Polentów,
aby niby sokoła
na łup wypuścić obfity!

A wczoraj mi się pytała:
„Komu mnie oddajecie?”
Któżby mógł patrzeć na jej śmierć?

SER TOLDO. Możecie
dać ją za króla Węgier,
lub jeszcze lepiej — za Paleologa.

OSTASIO. Milczcie, ser Toldo,
nie mam dziś cierpliwości!

GŁOS BANNINA. Ostasio! Ostasio!

OSTASIO. Bękart Bannino wywiesił
język i sapie... Wiedziałem — — —

SCENA CZWARTA.

W bramie, w głębi sceny zjawia się BANNINO, zadyszany, z włosiem rozwianym, jak gdyby w ucieczce. Z nim razem wchodzi: ASPINELLO, ARSENDI, VIVIANO DE VIVII i BERTRAND LURO, pokrwawieni i okryci kurzem.

BANNINO. Ostasio!
Forleńczycy napadli na wozy
z solą, pod Cerwią. Rozbili
naszą eskortę i poprzewracali
wozy.

OSTASIO krzyczy. Wiedziałem!
Lecz ciebie, widać, nie zarżnęli!

ASPINELLO. Ghibellinowie, wygnani z Bolonii
z towarzyszami z Faenzy i Forlì,
po całym włóczą się kraju,
pustoszą wszystko i ogniem i mieczem.

OSTASIO. O Jezu Chryste! Dobra to nowina
dla Namiestnika Twojego!

VIVIANI. Spalili
Montevecchio i Valcaprę
i Pianetto. Spalili
Licyuszowi z Valbory
Strabatenzę i Biterno.
Hrabi Ugowi z Cerfugano
zniszczyli ziemię w Rontanie
a i w Quarmento.

OSTASIO. Ulituj się Boże!
Dobre nowiny dla Twych sług! o dobre!

BERTRANDO. Gwido di Montefeltro
wyruszył przeciw Calboli
z taranami i procami
i zamek weźmie.

OSTASIO. Jeszcze! jeszcze! Chryste,
święć się Twe imię na wieki!

VIVIANI.

Na czele

Forleańczyków widziano Scarpette
Ordelaffczyka z Forleańczykami!

BANNINO. Rozbili nam eskortę,

powywracali wozy,
zabrali bydło i konie, zatłukli
Malavicina z Lozzy
i wielu chłopów i pojмали
Pagana Coffę, reszta się rozpierzchnęła
i precz uciekła — ku morzu.

OSTASIO.

Ty zaś

pocwałowałeś w stronę lądu, prawda?
Wiedziałem o tem, wiedziałem to dobrze!
Gdzieś podział szpadę?
Rzuciłeś razem z szyszakiem...
„W nogi kto może!“ takie twoje hasło!

BANNINO. Szpadę-m połamał w gniewie,

bić się pragnąłem koniecznie!
Było ich z trzystu albo też z czterystu.
Aspinello i Bertrando,
powiedźcie, żem dzielnie się sprawiał,
potwierdź to, Viviani!
Miałem przeciwko sobie
jakich dwudziestu, co mnie pojmać chcieli;
tą oto ręką torowałem drogę
wskroś mięsa i kości! Powiedźcie!

OSTASIO. Widzisz, że mówić nie mogą,
krew tamujący i lice
ocierający z kurzu! Tyś nietknięty!
Puklerz i łokcie masz czyste. Twe wrogi
śnać pozbawieni byli żył. Na białem
nie masz obliczu ni jednego cięcia,
ty wygadany chwalbiszu!

(Trzej rycerze odsuwają się na bok, zdejmując zbroje i ocierając się z potu.)

BANNINO. Strzeż się, Ostasio, strzeż się!

OSTASIO. Wiedziałem to dobrze!
Śmiech brał mnie pusty,
kiedy cię ojciec wysyłał,
byś towarzyszył taborowi. Rzekłem:
„Niechże go biskup z Cervi
pobłogosławi swoim pastorałem!
Ale tym razem mieszkańcy Rawenny
solі nie ujrzą!“ Co? czym się pomylił?
Idź-że, Bannino, idź zajęcze płucka
siekać dla swoich krogulców!...

BANNINO. A milcz-że!
Gdym ja się sprawiał z wrogiem,
tyś knuł konszachty z pisarzem.

OSTASIO. Ty wodzireju ładacznic! Nie mogła
pochwycić ciebie forleańska zgraja,

boś miał za szybkie nogi,
lecz ja cię schwycę! ~

BANNINO. Zdradą, jak twój zwyczaj.

OSTASIO. Już ja tym razem postaram się o to,
abyś się ojcu nie wyłgiwał bekiem.

SER TOLDO. Spokój! spokój!

BANNINO. A ja mu powiem to, co wiem aż nadto
dobrze.

OSTASIO. Co powiesz?

BANNINO. Ty mnie już rozumiesz!

SER TOLDO. Spokój! spokój!
Jesteście bracia!

OSTASIO. On z innego gniazda!

SER TOLDO. Messer Ostasio! Wszak to jeszcze dziecko!

OSTASIO. A zatem gadaj, czy umiesz przynajmniej
ranić językiem.

BANNINO. Ty mnie już rozumiesz!
Szkoda słów na to.

OSTASIO. Nie! nie! wylej żółć swą,
która-ć farbuje oblicze! No, wylej!

Bo ja wycisnę ją z ciebie, jak wodę
z mokrego płata!

BANNINO. Ostasio, nie umiem
wylewać żółci, tak, jak ty potrafisz
czyste nalewać wino
ręką, co nie drży...

OSTASIO. Co za wino?

BANNINO. Czyste,
czyściutkie wino!

OSTASIO. Posłuchaj, bękarcie!

BANNINO. Jednego razu ojciec nasz poczciwy
zasłabł. O, wielceś troskał się o niego,
miły synalku! Rozumiesz mnie teraz?
Wiem to, co tobie wiadomo!
Niech Pan Bóg
każe twej uschnąć prawicy!

OSTASIO. To babskie kłamstwa! Bękarcie! nadeszła
twoja godzina!
Na nic ucieczka twoja z ręki wroga!

(Wyciąga szpadę i rzuca się na Bannina, który zręcznym susem ucieka
przed cięciem. OSTASIO rzuca się za nim, SER TOLDO usiłuje go
powstrzymać.)

SER TOLDO. Messer Ostasio! Co myślicie czynić?

Dajcie mu spokój! puśćcie go! to brat wasz!

Co chcecie czynić?

(Niewolnica zjawia się w loggii i przypatruje się zajściu.)

BANNINO. Ojcie mój! ratunku!

Franczesko, siostró! ratunku! Nędzniku,
chcesz mnie mordować! Nędzniku! Nie! przebacz!

Nie, nie, Ostasio, przebacz! Nic nie powiem!

(Czuając szpadę na gardle, klęka.)

Nie z twojej ręki była ta trucizna.

(Trzej rycerze przybiegli bez broni i zbroi.)

Nie, ja nie powiem! Przebacz!... A!...

OSTASIO.

Drobnostka!

Nic! nic!

(Nachylony przygląda się leżącemu na ziemi Banninowi).

Drobnostka! Zemdła! Ot, po wierzchu
draśnięta skóra ~ w miejscu obojętnem.

To nie ze złości. Drasnąłem go trochę,
ażeby odwykł obawiać się stali,
aby nauczył sprawiać się z wrogami
cokolwiek dzielniej i nie rzucać szpady
ani szyszaku dlatego, że łatwiej
skierować cugle do ucieczki
przed Ghibellinem.

(Trzej rycerze podnoszą omdlałego Bannina.)

Zanieście go, proszę,

do Gabbadea, niech mu zatka żyłę
solą ze żupnic cerwijskich.

(Patrzy, jak rycerze wynoszą rannego. Zamyka wielką bramę z łoskotem. —
Niewolnica znika z loggii w milczeniu.)

Ser Toldo,

chodźmy.

SER TOLDO. Co na to powie messer Gwido,
skoro powróci?

OSTASIO. Ojciec mój rozpieszcza
tego bękartą.

(Patrzy ponuro w ziemię.)

On z innego gniazda.

On nie z orlicy ulągł się, lecz z sroki.

Słyszałeś waćpan, o czym on majaczył?

O jakimś winie.

(Z wściekłości zamilkł na chwilę.)

To jeden ze służby,
przez Anastaziów podmówion; strzeż Chryste
mojego ojca i nasz dom przed zdradą!

SER TOLDO. A co się stanie z madonną Franczeską?

OSTASIO. Tak, będzie żoną Kulawca!

SER TOLDO.
Boże!

Pomagaj

OSTASIO: Przed nami wielkie dzieło zemsty:

i łza niejedna, jeśli Bóg pomoże,
spłynie po świecie,
łza bardziej gorzka
niżeli wszystka sól ze żup cerwijskich.
Chodźmy, ser Toldo...
Chodźmy, Paolo Malatesta czeka.

Exeunt ambo.

SCENA PIĄTA.

Niewolnica zjawia się z wiadrem i ścierką. Milcząco schodzi bosemí stopami po schodach. Przygląda się kałuży krwi na posadzce i klęka, aby ją obmyć. Z górnych komnat słychać śpiew towarzyszek Franczeski, podczas gdy niewolnica zajęta jest swą pracą.

CHÓR PANIEN.

Oj biada! Poznałam, jak w duszy
nadmiar miłości się pali — oj biada!
Oj biada! Któż mnie ocali,
nim żal ten serce mi skruszy! Oj biada!

(Z komnat wychodzą i idą loggią FRANCZESKA i SAMARYTANA, wzajemnie opasawszy się ramionami. Za niemi chór panien z kądzielami i lnem różnobarwnym w ręku. Przystają w loggii, jak gdyby w kantoryi, podczas gdy obie siostry schodzą ku progowi ogrodu. Niewolnica, zmywszy krew z posadzki i chcąc zataić zajście, wylewa prędko wodę skrwawioną do stojącego w pobliżu sarkofagu z kwiatami.)

FRANCZESKA, zatrzymując się na schodach.

To miłość pcha je do śpiewu.

(Przechyliła głowę nieco w tył, jak gdyby śledziła tchnienie lekkiej, drżącej melodyi.)

CHÓR PANIEN. Oj biada! Oj szukam ostoj
przed troską, co serce mi niszczy! Oj biada!

FRANCZESKA. Jak gdyby były pijane woniami!
Czy ty nie słyszysz? Na bolesną ucztę
śpiewają sprawy
przedoskonałej radości.

(Odejmuje rękę od pasa siostry, jak gdyby się chciała uwolnić z jej objęć.
Staje w miejscu, tamte zaś schodzą.)

CHÓR PANIEN. Oj biada! wśród szczęścia zgłiszczy
życie goryczą mnie poi — oj biada!

FRANCZESKA w zadumie. Jako ta woda bieżąca,
która wciąż płynie i płynie,
a oko tego nie widzi,
taką jest moja dusza.

SAMARYTANA w nagłym przerażeniu tuli się do siostry.
Dokąd ty idziesz? Któż mi cię zabiera?

FRANCZESKA. Przebudziłaś mnie.

(Śpiew umiłka. Panny podchodzą ku drugiej poręczy loggii i z plecami, zwróconemi do widza, patrzą w drugi, leżący pod niemi dziedziniec. Zdają się coś śledzić. Dwurożne fryzury i wysokie kądziele błyszczą w słońcu,

dotrzeć nie mogłaś,
w głębokiem, samotnem miejscu,
gdzie bezustannie
wielki się pali ogień.

SAMARYTANA. Przemawiasz zagadkami,
a lice twoje jakby przesłonięte.
Ach! zdaje mi się, żeś ty już odeszła
i że zdaleka
jeszcze się ku mnie odwracasz, a głos twój
jak gdyby straszną pobrzmięwa wichurą.

FRANCZESKA. Uspokój-że się, moja duszo droga,
moja ty mała gołąbko!
Dlaczego jesteś taka przerażona?
Uspokój-że się. Niedługo
nadejdzie i twoja godzina
i ty z naszego precz ulecisz gniazda,
i twoje małe łóżeczko,
które zaścielasz przy mojem,
stać będzie opuszczone —
i ja o świetle słyszeć już nie będę
jak bosa podbiegasz ku oknu,
już ja cię widzieć nie będę, ty moja
mała gołąbko, jak biegniesz ku oknu
bosemi nożętami —
już ja cię słyszeć nie będę, jak wołasz:
„Franczesko! wzeszła jutrzeńka,
kogut zlatuje już z grzędyl“

SAMARYTANA. A jednak będziemy żyły,
o, mimo wszystko będziem żyć — o biada!
a czas wciąż płynie —
płynie i płynie, jak zawsze.

FRANCZESKA. Już ty mnie rankiem pytać się nie będziesz:
czemu jęczało twe łóżko, jak trzcina?
A ja ci nie odpowiem:
Obracałam się, by zasnąć, a we śnie
widziałam, siostró, we śnie, który śniłam...
Już ja ci nie opowiem,
com zobaczyła we śnie...
I trzeba będzie umierać;
ach! minie wszystko — trza będzie umierać.
A czas wciąż płynie,
a czas wciąż płynie, jak zawsze!

SAMARYTANA. Serce me bolem napelniasz, Franczesko,
i, patrzaj, cała
drzę z przerażenia.

FRANCZESKA. Uspokój się, siostró.

SAMARYTANA. Opowiadałaś mi sen, który śniłaś
wczorajszej nocy, a podczas
kiedyś mówiła do mnie,
zdawało mi się, że słyszę
jakoweś gniewne odgłosy,
a potem jakiś krzyk,

a potem jakieś kołatanie w bramę,
co się zamknęła, a potem
cisza.

Nie dokończyłaś —
twoje towarzyszki zaczęły kanzonę. —
I serce moje lękało się wielce,
siostró, o ciebie.
Komu oddaje cię ojciec?

FRANCZESKA. Pamiętasz
ów dzień sierpniowy, gdyśmy były same
o tam! na wieży?
Spoglądałyśmy, jak nad głębią morza
wzbijał się obłok nawałny
w gorącym wicherze, co nam krtań wysuszał.
I cały ciężar pochmurnego nieba
zwiślał nad nami
i naokoło, cały las, daleko,
aż po wybrzeże Chiassi, był czarny,
jak owo morze, i ptactwo stadami
w lot uciekało przed idącą burzą.
Pamiętasz dzień ten? Byłyśmy na wieży,
a potem, nagle, była cisza. Wicher
umilkł. Słyszałam bicie twego serca,
a potem odgłos młotka:
jakiś rozbójnik, jadący po grabież,
podkuwał konia na okraju drogi...
Las był milczący, jak cień nad grobami.

Rawenna cała posępna, jak miasto,
które splądrował wróg z nadejściem nocy.
Zdawało nam się, że śmierć na nas czyha
pod tym wiszącym obłokiem. A jednak
nie uciekłyśmy. Pamiętasz? Powieki
ani nie drgnęły — czekałyśmy gromu.

(Zwraca się ku niewolnicy, stojącej nieruchomo nad otwartym sarkofagiem.)

Powiedz, Smaragdi, któż to był ten w waszej
pieśni ludowej, co podkuwał konia
w blasku księżyca? Mówiła mu matka:
Proszę cię, synu, podczas tej wyprawy
nie pojмай brata ze siostrą,
kochanka razem z kochanką.
A on, człek krwawy, odrzeczce:
Napotkam trojga, tak zabiorę trojga,
gdy znajdę dwoje, zabiorę z nich jedno,
a jeśli ujrzę jedno, nie sfolguję
temu jednemu — zabiorę!
Jakżeż, Smaragdi, zwie się on w twym kraju?

SMARAGDI. Przekłete nazwisko,
którego nawet wymienić nie wolno.

FRANCZESKA. Co czynić będzie Smaragdi bezemnie?
Cóż, odjeżdżając, mam ci pozostawić?

SMARAGDI. Zostawcie mi, pani,
trzy kubki goryczy:

jeden wypiję, gdy wstanie poranek,
drugi w południe,
trzeci, gdy wieczór zapadnie.

FRANCZESKA.

Nie, nigdy

trzech ci goryczy kubków nie zostawię —
pojedziesz ze mną razem do Rimini —
będziemy miały okienko na morze:
Ja ci opowiem każdy sen, byś mogła
widzieć w nich lice radości lub bólu;
będę — mówiła o tej siostrze słodkiej,
o tej gołąbce małej,
a ty zaś, stojąc przy oknie,
patrzac na łodzie korsarskie,
będziesz śpiewała: „Do jakich
zawiniesz portów, mój statku,
na jakim rzucisz kotwicę wybrzeżu?” —
„Zawinąć chcę do Cypru,
rzucić kotwicę pod Limisso,
na ląd wysadzić żeglarzy
za pocałunek, a zaśię
za miłość wysadzić sternika“.

Chcesz-li Smaragdi, bym cię wzięła z sobą?

SMARAGDI. Wielkie to szczęście dla mnie,

choćby przez ciernie kroczyć i płomienie,
aby być z tobą.

Jestem jak niebo z gwiazdami,
jestem jak morze z falami,

FRANCZESKA. Morze z falami! — — —

Ale, Smaragdi, po coś przyszła z wiadrem?
Powiedz!

SMARAGDI. Podlałam krzak róży.

FRANCZESKA. Dlaczego
czynisz to teraz? poza zwykłą porą?
Samarytana pogniewa się! Ona
podlewa krzak różany,
gdy dzwon wybije wieczór.
Samarytano, cóż ty powiesz na to?

SAMARYTANA. Niech kwiat ten uwiędnie,
kiedy ty z domu odchodzisz, Franczesko.

FRANCZESKA. Jaki on piękny!
A może nawet jest święty, wyrosły
w tej trumnie dawnej, która była może
grobem jakiego męczennika
albo też jakiej chwalebnej dziewicy.

(Obchodzi otwarty sarkofag i palcami dotyka się rzeźb na wszystkich
czterech ścianach.)

Oto Zbawiciel
Iwa ma pod sobą i węża, Elżbieta
nawiedza Pannę Maryę;
Zwiastun anielski zjawia się Dziewicy,
jelenie gaszą pragnienie u źródła.

(Prostuje się, wyciąga ramiona, jak gdyby zamknąć w nich chciała krzak róży.)

Krew męczenników wykwita purpurą,
i ogniem. Spójrzyj, siostró, jak on płonie!
Spójrzyj, jak krew ta goreje!
Myśmy ją własną zasadziły ręką —
tak, w październiku, w dniu, w którym szkarłatny
orzeł Polentów odniósł był zwycięstwo.
Pomnisz, jak groźne rozbrzmiewały rogi
od Porta Gaza do Torre Zancano
na cześć nowego sztandaru,
który nam ojciec kazał
uszyć z czterdziestu łokci karmazynu.
Potężne drzewce jego czy pamiętasz?
My same
złotaśmy dały na obrzeże —
sztandar zwyciężył. I krzak ten
był dla nas święty —
był nietykalny dla nas,
niby dziewiczość, i nigdy
nie zerwałyśmy ani jednej róży —
przez te trzy wiosny kwitły
i kwiat traciły
w tym sarkofagu. Lecz nigdy
nie było tyle pęków, co w tym maju;
ze sto ich będzie — więcej! więcej! Spójrzyj!
One-ć dziewice z San Apollinaro
takim nie płoną ogniem
na swoim niebie złocistem.

Samarytano!
Samarytano, powiedz,
która z męczennic — leży
tu pogrzebiona? Która
złożona tutaj do grobu po wielkiem,
wielkiem męczeństwie? powiedz!
Spójrz, o spójrz: ten cud krwi!

SAMARYTANA. Co mówisz,
co mówisz, siostró? Tak przemawiasz do mnie,
jakby w gorączce.

BIANKOFIORE z loggii. Madonno Franczesko!

ADONELLA. Madonno!

FRANCZESKA. Czego wy chcecie?

ADONELLA. Madonno,
przyjdźcie tu do nas co tchu!

ALDA. Przybiegnijcie!

ADONELLA. Zobaczyć swego małżonka!

BIANKOFIORE. Przechodzi
właśnie dziedzińcem razem z waszym bratem,
panem Ostasio. Toldo Berardengo
jest także z nimi.

ALDA. Madonno Franczesko!

Chodźcie co prędzej! O ten! ten!

(Córka Gwidona biegnie po schodach na górę. SAMARYTANA chce w pierwszej chwili pójść za nią, wnet się jednak zatrzymuje w miejscu, bez siły i tchu.)

ADONELLA pokazując kogoś Franczesce, przechylonej nad balustradą.

Ten właśnie

ma zostać waszym małżonkiem.

GARSENDA.

Szczęśliwa,

o jak szczęśliwa!

Zaiste, rycerz najpiękniejszy w świecie!

Patrzajcie, jakie ma włosy —

andegaweńską modą

spadają mu na ramiona!

ALDA. Jakiego wzrostu i jak leży na nim

plaszcz, spięty pasem, jakie ma wyloty

aże do ziemi sięgające!

ALTICHIARA.

Jaka

spina i jakie koronki!

BIANKOFIORE. Wysoki, smukły i chód ma królewski!

ADONELLA. A jakie białe ma zęby! Błysnęły,

kiedy się nieco uśmiechnął! Madonno,

nie widzieliście?

GARSEDA. Szczęśliwa, szczęśliwa,
która całować go będzie
w te usta!

FRANCZESKA. Milczcie!

ALDA. Już go niema! Wszedł już
w portyk.

(Niewolnica otwiera kratę, zamyka za sobą ukradkiem i znika w ogrodzie.)

FRANCZESKA. Ach! milczcie! milczcie!

(Odwraca się, zakrywa twarz obiema rękami, opuszcza po chwili ręce i wygląda, jakby przemieniona. Po pierwszych stopniach schodzi powoli, potem z nagłą zbiega szybkością, aby się rzucić w objęcia siostry, czekającej u stóp schodów.)

ALTICHIARA. Messer Ostasio wraca sam, bez niego.

BIANKOFIORE. Dokąd tak biegnie niewolnica? Biegnie
przez ogród.

GARSEDA. Pędzi jak wyżeł. (Śmieje się.) Lecz dokąd
ona tak biegnie? dokąd?

ADONELLA. Zaśpiewajmy
pieśń o nadobnej Izoldzie:
„O drzewo daktylowe“.

(Panny ustawiają się w loggii.)

CHÓR PANIEN. O drzewo daktylowe,

o moja słodka miłości,
co teraz czynić zamierzasz?

Magister Antonius
tonum dedit.

FRANCZESKA, znajdującą się w objęciach siostry, nagłym wybuchu płaczem. CHÓR przerywa pieśń. Panny szepczą między sobą.

BIANKOFIORE. Madonna płacze.

ADONELLA.

Płacze!

ALDA.

Czemu płacze?

ALTICHIARA. Serce ją boli z radości.

GARSENDA.

Tak, w samo

ranił ją serce. Jeśli ona piękna,
to i on piękny — — Malatesta!

ADONELLA.

Dla niej

jakby urodzon. Oboje
pod jedną zrodzeni gwiazdą.

GARSENDA. Ona szczęśliwa
i on szczęśliwy!

ALDA. Niech długie żyje lata
ten, który da jej wieniec.

BIANKOFIORE. Upadł pierwszy deszcz wiosenny,
zieleni się niwa —
spadła pierwsza łza miłości
i dusza szczęśliwa.

ADONELLA. Teraz się śmieje! Teraz się śmieje!

BIANKOFIORE. Widzisz, jak rosa
śmieją się wszystkie jej łyzy.

GARSENDA. Idź, zagrzej kąpiel,
przygotuj grzebienie.

(Panny rozbiegają się po loggii, szeleszcząc sukniami, jak ptactwo w gęstwinie, podczas kiedy wszystkie kądziele z pasmami różnobarwnego lnu połyskują, jak pochodnie, na skrawku nieba. Niektóre udają się do komnat i potem znowu wracają; jedna staje na straży i patrzy, a wszystkie szepczą półgłosem i tłumią swe kroki.)

BIANKOFIORE. Mamy te nowe, srebrne
napełnić flakoniki
wódką różaną i pomarańczową.

ALDA. Prześcieradłami
o jedwabnistych obrąbkach
mamy napełnić cztery wielkie skrzynie.

ALTICHIARA. O ileż to cudnych
haftowałyśmy wezglówi,
o jakich nawet nie śniły
panie z Rimini.

ADONELLA. O, jeszcze dużo mamy do czynienia.

GARSENDA. Trzeba nam zwijać bieliznę
obszytą koronkami
i kołdry składać z pozłocistej lamy.

BIANKOFIORE. Trzeba przeliczyć siatki,
obraczki i spiny i pasy.

ADONELLA. O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSEDA. Przysięgam,
że większe wiano wnosi Malateście
córka Gwidona,
niż weneckiemu doży
przyniosła córka Boemonda,
króla Dalmacyi i Serbii.

ADONELLA. Dosyć też mamy wódki lawendowej,
by, gdy pojedzie przez morze,
zlewać to morze wonnością.

ALDA. Wzdyć pokażemy tym nieco
prostaczym paniom z Rimini,
jak się przyrządza wonności.

BIANKOFIORE. I jak się gra i śpiewa
i tańczy.

ALTICHIARA. O rety! o rety!
bym tylko nie zapomniała
szkarłatną przypiąć łatę
na Giana Figa kubraczku —
wróci o wpół do dziewiątej.

BIANKOFIORE. Powinien mówić nam dalej

o tarczy Morgany
i o tym trunku. ~ ~ ~

ALDA. Hoho! wesele w maju!
Stu będzie kuchtów
i dań trzydzieście.

BIANKOFIORE. Słoweczko
trzeba Mazarellemu
powiedzieć w sprawie muzyki.

ADONELLA. O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSEND. Więc dalej! do roboty!

ADONELLA. Rzućmy kądziele,
a bierzmy wieńce!

(Wracają do komnat z brzękiem pszczoł na roju. FRANCZESKA pod-
niosła twarz zapłakaną i nagłym rozjaśnieniem ją uśmiechem. Podczas kiedy
panny rozmawiają szeptem w loggii, otarła łzy z twarzy swojej i siostry.
Teraz mówi, a pierwsze jej słowa łączą się z zespołem ostatnich słów
weselnych.)

FRANCZESKA. Siostro, ma siostro!
Daj spokój płaczom, daj spokój! Nie widzisz,
że ja się śmieję? Śmieję się i płaczę
i jeszcze nie dość mam tego. Za ciasne
zda mi się serce na taką potęgę,
płacz mi się zdaje siłą już zużytą,
a śmiech zbyt lekką krotoczwiałą;

i całe me życie
z wszystkimi jego żyłami,
z wszystkimi dniami, z wszystkimi
przenajdalszemi sprawy
aż do tej ślepej i niemej godziny,
kiedym leżała ach! na łonie matki,
a ciebie jeszcze nie było na świecie,
jednem jest dla mnie drżeniem,
drżącym po ziemi okręgu;
we wszystkich źródłach,
które się śmieją i płaczą,
w nieznanych dla mnie miejscach,
kryje się częśćka mej siły; powietrze
pełne jest dla mnie jakichś wielkich krzyków,
a światło
jak gdyby grzmiało grzmotem trąb
i huk i bunt jest we mnie
daleko większy, niżli w ów dzień pomsty,
gdy krew zrosiła
bramy naszego domu.

SAMARYTANA. Franczesko, Franczesko, ma duszo!
Cóżś widziała, ach! cóżś widziała?

FRANCZESKA. Nie drżij, ma siostro, nie drżij!
Cóż ty chcesz widzieć w mych oczach?
Jaka mnie gnębi choroba? I kogo ~
kogom widziała?

Zycie tak płynie,
płynie, jakoby rzeka,
która się rwie na rabunek
i morza znaleźć nie zdoła ~
jej szum mnie przeraża...
Ach! bierz mnie!
Bierz mnie ze sobą, droga siostró, bierz!
Zawieź mnie do komnaty
i zamknij okno,
i daj mi trochę cienia,
i daj mi łyk wody,
i na twem małym połóż mnie łóżeczku,
i zasłoń mnie zasłoną.
I niech ten szum się uciszy,
spraw, aby umilkł ten łoskot,
który rozpiera mą duszę!
Sprowadź mi spokój,
ażebym mogła znów słyszeć,
jak pszczoły majowe
o nasze okna biją skrzydełkami
i jak świergocą jaskółki.
Spraw, bym znów mogła słyszeć twoje słowa,
jak wczoraj, w tej chwili
tak dziś dalekiej,
tak dziś odległej ~ nie wiem,
wskutek jakiego zaklęcia.
Trzymaj mnie, siostró,
trzymaj i więź mnie przy sobie!

Czekajmy wieczora,
modlitwy czekajmy i snu
i świtu czekajmy, siostrzyczko,
aż twoja wejdzie jutrenka.

GARSENDĄ wpada do loggii. Idzie, już idzie, madonno!

Idzie, madonno Franczesko, ogrodem.
Spostrzegłam go z izby, gdzie skrzynie,
spostrzegłam go pod cyprysami —
Smaragdi wskazuje mu drogę.

(Za Garsendą wpadają inne panny, wesołe i rozbawione; na skroniach mają
wieńce radosne i ciągną za sobą trzech w kwiaty strojnych chłopców,
grajków z lutnią, skrzypcami i fletem.)

FRANCZESKA błada z przestrachu i wzruszenia, jak gdyby bez zmysłów.

Nie! nie! biegnijcie!
Dziewki, biegnijcie,
by nie przychodził! Biegnijcie
co tchu naprzeciw niego,
aby tu nie przychodził.
Zamknijcie bramy, zagroźcie
wszelakie przejścia i mówcie,
mówcie mu, że go pozdrawiam...
A ty mnie wspieraj, ty Samarytano,
bym nie uciekła stąd.
Kolana gną się podemną
i oczy moje zaćmione!
Biegnijcie!
O dziewczki moje, biegnijcie,

by się natychmiast zawrócił!
Biegnijcie naprzeciw niego
i mówcie, że go pozdrawiam!

PANNY. Jest już! Jak blisko! Jak blisko!

(Oparta na ramieniu siostry, FRANCZESKA idzie schodami do góry; w tej samej chwili zjawia się jednak, z drugiej strony kraty, Paolo Malatesta. Franceszka staje w miejscu bezwładna, a on zatrzymuje się wśród krzewów w ogrodzie. Stoją naprzeciw siebie, oddzieleni kratą i nieruchomie patrzą sobie w oczy. Niewolnica ukryła się w głębi. Panny w loggii stają do kowodu, a grajkowie uderzają w muzyczne narzędzia.)

CHÓR PANIEN. Pośród zielonej dąbrowy

Myśliwiec spieszy na łowy,
na cel wziął biedną zwierzynę —
a w biesiadników gronie
w krwi własnej serce tonie,
w obcą wygnane krainę.

Magister Antonius
tonum dedit.

(FRANCZESKA puszcza ramię siostry i wolnym zbliża się krokiem do sarkofagu. Zrywa wielką różę szkarłatną, wraca się i przez kratę podaje ją Pałowi Malateście. SAMARYTANA z głową zwieszoną i płacząc idzie po schodach do góry. Panny w wieńcach, zaczynają śpiewać na nowo. W głębi, poza kratą zjawia się BANNINO (przyrodni brat Franceski) z podwiązany policzkiem; cofa się na chwilę, potem kilkakrotnie zakratowaną uderza bramę, którą był zamknął Ostasio. Franceszka drży.)

GŁOS BANNINA. Francesko, otwórz! Francesko!

ZASŁONA.

AKT DRUGI

AKT DRUGI.

Sala w pałacu Malatestów. Sklepienie łukowe z wystającymi żebrami, wsparte na silnych pilastrach; na dwóch pilastrach w głębi spoczywa łuk, od którego kryty ganek z strzelnicami po prawej i lewej wychodzi na platformę okrągłej wieży. Z jednej i drugiej strony dwoje schodów o dziesięciu stopniach prowadzi ku posadzce wieży; trzecie schody, środkowe, prowadzą z wieży po przez drzwi spustowe do pięter dolnych. Przez otwór łuku widać czworoboczne bastiony gwelfów z strzelnicami i smolnicami. Wielka katapulta wyciąga swój kadłub olbrzymi, szeroko rozpościerając się wianem z lin kręconych. Wielkie łuki dla rozmaitego gatunku grotów, pocisków, strzał, tarany, balisty łukowe i inne działa widać poustawiane na blankach wieży. Szczyt wieży Malatesta, najeżony machinami i rozmaitego gatunku bronią, przecina posępny widnokrąg i panuje nad miastem Rimini, z którego nie widać nic ponad blanki, w kształcie ogonów jaskółczych wieńczące najwyższą wieżę ghibellińską. — Po prawej stronie sali widać drzwi, po lewej wąskie okno, wychodzące na Adryatykę, opatrzone kratami.

SCENA PIERWSZA.

Widać strażnika wieży, dokładającego ognia pod dymiący kocioł. Przy murze poustawiane szeregiem węże i dmuchawy oraz groty i drzewce, przy-

gotowane dla masy zapalnej; pełno też naokoło gotowych już pocisków i materiałów ogniowych. Na wieży, w pobliżu tarana młody łucznik, na czatach.

STRAŻNIK. Czy pole gminne jeszcze wciąż jest wolne?

ŁUCZNIK. Tak wyświecone, jak ma tarcza.

STRAŻNIK.

Dotąd

nikt się nie waży.

ŁUCZNIK.

Dotychczas nie widać

ni cienia Omodea

czy Gambancerra.

STRAŻNIK.

Jakby już pomarli

ci, którzy dzisiaj mają umrzeć.

ŁUCZNIK.

Gdzież tam!

Gdyby tak wszyscy nie mieli pancerzy

ani szyszaków i gdyby nie były

pozapierane wszystkie drzwi na rygle,

słyszeliście godne stukotanie

serc na ulicach Rimini. Ot, idzie

jakowyś osioł.

STRAŻNIK.

Pewnikiem Montagna

de Parcitadi albo Ugolino

Cignatta.

ŁUCZNIK. Wierżaj, mości Berlingero,

z łukiem u nogi
każdy z nich czeka na hasło, ażeby
podejść pod blanki i pod kraty.

STRAZNIK.

Jakie

hasło? A wszak-ci Parcitada
nie ma ze sobą swego archeologa.
Czeka na pomoc z Urbino.
Ale nim zdola przybyć hrabia Gwido,
klnę się na święte ciało męczennika
Julianowe, gród spalimy cały.
Dość mamy ognia, by puścić połowę
Romagnii z dymem. Gorąco tym razem
bierzem się wszyscy do dzieła.
Wszakże Kulawiec
omal nie spalił grzywy
swego wierchowca: znak to, że powietrze
mamy salamandrowe.

ŁUCZNIK. Widać, że bardziej swąd mu się podoba,
niżeli pismo jego żony.

Ta białogłowa z Rawenny to więcej,
niżeli ogień, siarka i żywica.
Jej uśmiech mógłby snąć podpalić miasto
wraz z przysiółkami i całym powiatem.

STRAZNIK. Rzadko się śmieje. Zawsze jak omglona,
zawsze w zamyślach. Snąć, niema spokoju.
Widzę ją codzień wchodzącą na wieżę.

Mało rozmawia, na morze
tylko spogląda, a jeśli
ujrzy jakowy statek,
tak ci go śledzi oczami —
o, czarniejszemi od smoły,
póki nie zniknie,
jakby się jakichś spodziewała wieści
albo pragnęła popłynąć.
Od wieży do wieży
błądzi, od Mastry do Rubii,
od Gemmany do Tanaglii,
niby zbłąkana jaskółka. A czasem,
kiedy przystanie na ganku,
tak się obawiam, że ni ptak się zerwie
i rzuci na dół, na wieki!
Misericordia!

LUCZNIK. Juścić, kuternoga
dobry, gdy trzeba trapić Omodea,
rozbijać twierdzę, burzyć ostrokoły,
przebywać rzeki
i łupić ziemie przeróżne, lecz nigdy
chodzić około tej pięknej winnicy,
którą go Pan Bóg obdarował.

STRAŻNIK.

Cicho!

Nie mów tak głośno! Tak się cicho skrada,
jak kot, i nikt go nie słyszy, gdy idzie.

Malatestino razem z nim to para
wielce dobrana: widzisz go przed sobą
nagle, znienacka, a nie wiesz, skąd przyszedł,
a zawsze
w przestrach cię wprowadza, niby upiór.

ŁUCZNIK.

Dzisiaj

dzień jakby stworzon do pracy.
Frauncymer cały się zamknął.

STRAŻNIK.

Z nich jedna

nie zna obawy. Wciąż patrzy,
czy coś nowego nie zaszło na placu.

ŁUCZNIK zmienia miejsca. Idą braciszkuwie
z klasztoru Sant' Agostino
z zażegnaniem. Swąd jakowys wężą
w świeżem powietrzu.

STRAŻNIK.

Czy brama gattolska
wciąż jest zamknięta?

ŁUCZNIK.

Zamknięta wciąż jeszcze.

Nasi z Verucchio z swymi proporcami
i swemi trąby chybać już na moście
Maońskim. Messer Paolo z piechotą
wkroczył już bramką morską.

STRAŻNIK.

No, miksura

w sam raz, gotowa, mieszam od południa,

mając, dodając. Wiadrami będziemy
łać ją na domy wyklęte. I na co
jeszcze czekamy? Czy na połączenie
Marsa z Wenerą? Astrolog, co przybył
do nas z Baldachu, nowym Balaamem
snać mi się wcale nie wydaje. Boże,
wspieraj twe dzieci. Spojrz, czy na dzwonnicy
świętej Kolumby nie stoi? Trzy razy
ma w dzwon uderzyć, skoro będzie gotów
jego prognostyk.

ŁUCZNIK. Widać wielką brodę.

STRAŻNIK. Wysmarowałbym smołą te pakuły
i puścił z procy. Mam go w podejrzeniu.
Był z Ezzelinem w Padwie i przekłętą
inną hołotą ghibellińską. Nie wiem,
jak messer Malatesta
może go trzymać przy sobie.

ŁUCZNIK. Gwido Bonatto z Forlì to dopiero
był mi prawdziwy astrolog wojenny.
Widziałem-ci go w potrzebie walbońskiej
i wówczas jego prognostyk nie zawiódł.

STRAŻNIK. Dziś go przekłętą ma Feltrańczyk. Piorun
niechaj mu wyrwie oko razem z jego
astrolabium.

SCENA DRUGA.

FRANCZESKA zjawia się w bramie z prawej i podchodzi, wzdłuż ściany, ku pilastrowi, dźwigającemu łuk. Twarz ma zawiniętą w ciemną chustkę, związaną pod szyją i tworzącą rodzaj kaptura, okrywającego warkocze, na karku złączone w węzeł.

ŁUCZNIK. Kurzawa się wzbija
od strony Aguzano.

STRAŻNIK. Czy to nie jazda
hrabi Gwidona,
śpiesząca od Petramali?

ŁUCZNIK. Nie! to nie oni! Niech im Pan Bóg oczy
wydrze z przyłbicy i rzuci w kurzawę!

STRAŻNIK. Któż to być może?

FRANCZESKA. Berlingerio!

STRAŻNIK zrywając się. O, madonno Franczesko!

ŁUCZNIK umiłki i przestraszony oparł się o taran.

FRANCZESKA. Czy messer Giovanni
nie był dotychczas na Mastrze?

STRAŻNIK. Nie był madonno, czekamy go właśnie.

FRANCZESKA. Ani nikt inny?

STRAŻNIK. Owszem, był tu starszy pan Malatesta. On sam przygotował ten odwar w kotle, a ja od południa stoję i mieszam warzechą.

FRANCZESKA podszedłszy bliżej. A zresztą nie był nikt inny?

STRAŻNIK. Nie był nikt, madonno.

FRANCZESKA. A ty co robisz?

STRAŻNIK. Robię ognie greckie, żagwie, żagiewki, rakiety, rakiетки, głównie, petardy i inne przemile niespodzianeczki dla cnych Parcitadów. Mamy nadzieję, że dziś się sprawimy godnie z tą nędzną hołotą, że damy walną zaliczkę na podróż do Piekła. Tak!

FRANCZESKA przygląda się zdumiona zawartości kotła.

Ogień grecki! Któż mu ujdzie? Dotąd nigdy ja tego nie widziała, nigdy! Powiedz, czy prawda, że to najstraszniejsza męczarnia w wojnie?

STRAŻNIK. O przenajstraszniejszy to już nasz ogień! Wielka tajemnica — według przepisu,

który otrzymał messer Malatesta
od Pisańczyka pewnego, od starca,
co ongi był z chrześcijan
przy oblężeniu Damietty.

FRANCZESKA.

Czy prawda,

że gore w morzu,
że gore w rzekach.
spala okręty,
twierdze i wieże,
dusi, zaraża,
wysusza nagle ludzką krew,
ciało i kości
obraca w popiół,
sprawia, że człowiek
wyje jak zwierzę,
że konie od niego
wpadają w obłęd
i że najśmielsi
jak głąz martwieją?
Prawda, że ściera
twarde opoki,
że żre żelazo,
że się przez tarcze
przegryza dyamentowe?

STRAŻNIK. Żre i pochłania

wszelakie żywe i martwe stworzenia.

Piaskiem-li można go zgasić
lub zalać octem.

FRANCZESKA. Lecz jak się z tym ogniem
obchodzić można bez szwanku dla siebie?

STRAŻNIK. Od Belzebuba mamy pozwolenie,
który jest księciem piekiel,
a jest po stronie Małatestów.

FRANCZESKA. A jak wyrzucacie?

STRAŻNIK. Z pomocą tub i dmuchawek
dalekonośnych, albo też w pakułach
umieszczamy go na końcu pocisku
i wypuszczamy z łuku.
To są, madonno, najlepsze kądziele —
kądziele gwelfów,
które bez szpulki przędą śmierć.

(Bierze jeden z gotowych pocisków i pokazuje Franczesce, która wzięwszy
go do ręki, potrząsa nim w powietrzu.)

FRANCZESKA. O, proszę,
zapal mi jeden!

STRAŻNIK. Dotychczas
nie dano jeszcze hasła.

FRANCZESKA. Chcę, byś mi jeden zapalił.

STRAŻNIK. A kto go zgasi?

FRANCZESKA.

Chcę zobaczyć płomień,

któregom dotąd nie widziała. Zapal!

Czy to jest prawda,

że przedziwnymi płonie kolorami,

jak nic innego w tej zmiennej naturze,

i że w nim takie barw jest połączenie,

iż go nie zniesie oko —

niewysłowiona różnorodność,

wspaniała mnogość promieni,

jaka-li żyje pośród błędnych planet,

w słońcach czarnoksiężnika,

w wulkanach, pełnych metalu,

albo w snach ślepców! Czy to prawda? Powiedz!

STRAŻNIK. Prawda, madonno!

I pięknie jest i ucieszenie

patrzyć, jak w nocy lecą te kądziele

ponad obozy cesarskiej hołoty.

Wie o tem mąż wasz, messer Giovanni,

i nieraz, bywa, tem się rozkoszuje.

FRANCZESKA. Zapal-że! Zapal, strażniku!

Chcę to nareszcie zobaczyć!

STRAŻNIK.

Dotychczas

nie dano hasła i jest dzień.

FRANCZESKA.

Ja-ć każę,

zapal strażniku! Aby dobrze widzieć,

zanurzę pocisk w mrok,
trzymać go będę w tym ciemnym otworze
popod schodami.

STRAŻNIK. Czy chce Wasza Miłość
spalić nam wieżę Mistrę
razem z wszystkimi łucznikami
i uratować Parciadę?

(FRANCZESKA zanurza jeden z pocisków w kotle i potem zapala przy
jednej z płonących główń.)

FRANCZESKA. A ja zapalę!

(Nagły, różnobarwny płomień zaczyna trzeszczeć na końcu pocisku, który
Franczeska trzyma, bez obawy, niby pochodnię, w ręku.)

O, przepiękny płomień!

Dzień przewycięża! A jak on jest żywy,
jak drży potężnie! Drży, drży pocisk cały
i moja ręka drży i moje ramię
i moje serce!

Tak blisko go czuję,

jakbym go miała w dłoni!

Chcesz-li mnie spalić, ty cudny płomieniu?

Chcesz mnie zamienić w swą zdobycz? Zda mi się,
że oszaleję dla ciebie!

(Głos jej drży nakształt śpiewu. STRAŻNIK i ŁUCZNIK jak porażeni
patrzają na płomień i na Franczeskę, niby na jakieś dzieło czarnoksiężskie).

FRANCZESKA. Jak ryczy!

Ryczy, spragniony łupu,
spragniony lotu!
Chcę go wyrzucić w obłoki!
Napnij cięciwę!
Słońce umarło, a on jest dziecięciem
słońca, zrodzonym ze Śmierci!
Chcę go wyrzucić w obłoki!
Na co ty czekasz?
Jam nie szalona, ~
biedny strażniku, który patrzysz na mnie
w tem osłupieniu!... Śmieje się.

Ale taki piękny,
taki cudowny ten płomień, że jestem
jakby pijana, że snąć wszystka żyję
w nim, a on we mnie! Czy wiesz ty,
jak on jest piękny? Nie! ty nie wiesz! nie wiesz!
Oczy ci wyjadł ostry dym! A jeśli
skrzy się tak za dnia, jakże skrzyć się będzie
w nocy?

(Zbliża się do otworu, od którego schody prowadzą na dół i trzyma palący
oszczep nad ciemnościami.)

O cudzie! o cudzie!

STRAŻNIK. Niechaj nas Pan Bóg uchowa, Madonno,
lecz Wasza Miłość
spalił nam wieżę ~ ~
za pozwoleniem ~ ~ przepraszam. ~ ~

(Stara się rozmaite materyały, nagromadzone wokoło ognia, uchronić od zajęcia się i wybuchu.)

FRANCZESKA pochłonięta blaskiem.

O cudzie!

Rozkoszy oczu! O żądzo jasności
i żądzo zniszczenia! Czyż w sercu
jakowejs góry leżały te zsiadłe
drogie kamienie, które znów roztopia
ten straszny płomień i znowu przemienia
na duchy ognia? O życie, tak drżące,
a niespodziane! Piękności zabójcza!
Leci ten pocisk śród nocy bezgwiezdnej,
pada w obozy, zbrojne chwytą męże,
otula sobą dźwięczące pancerze
przesuwa płytę za płytą,
wżera się w każdą żyłę,
rozkłada kości, szuka szpiku,
skręca ich, dusi, oślepia, —
ale nim jeszcze oślepły źrenice,
dusza wydaje ryki, zatopione
w tym strasznym blasku, który ją pochłania.

(Czuźnie nadśłuchuje, przechylona nad otworem.)

Ktoś tutaj idzie po schodach. Kto idzie?

STRAŻNIK. Na każde piętro mamy po stu strzelców,
po stu łuczników ukrytych, a którym
nawet nie wolno oddychać. Tam w dole

stoją, jak strzały w sajdaku.
Może widzieli płomień.

FRANCZESKA. Nie! to jeden
podzwania zbroją. Któż to
idzie po schodach?

STRAŻNIK. Na wszelki wypadek
raczcie, madonno, odsunąć ten pocisk
na bok; z pewnością to nie wróg nadchodzi —
twarz mu spalicie: być może, to messer
Giovanni.

FRANCZESKA. Któż to? Któż to jest?

GŁOS PAOLA. Paolo!

FRANCZESKA umiłka, cofa pocisk, który wskutek nagłego ruchu wy-
bucha płomieniem i oświeca hełm i kołnierz pancerny Paola Malatesty.

SCENA TRZECIA.

PAOLO wychyla się aż po pas z otworu schodów i zwraca ku bratowej,
która cofnęła się ku ścianie; trzyma jeszcze w ręku żeleźce pocisku, po-
chylone ku ziemi, tak, że snąć podpalił sobie nogi. ŁUCZNIK odchodzi
ku platformie.

STRAŻNIK. Dobrze się stało, żeście przyszli, dobrze,
messer Paolo!
Nie wiele brakło, byśmy się spalili
razem z tą wieżą: madonna

tak z greckim igra ogniem,
jak z pieskiem na linewce.

FRANCZESKA ogromnie pobladła, oparta o ścianę, śmieje się śmiechem bolesnym i wypuszcza pocisk z dłoni.

STRAŻNIK. Istny cud, że dotąd
nie wijemy się w piekielnych płomieniach.
O patrzcie...

STRAŻNIK kilku garściami piasku gasi ogień. PAOLO szybko przeska-
kuje ostatnie schody. Gdy stanął na platformie wieży, ŁUCZNIK wska-
zuje ręką w stronę miasta, gdzie rozpoczęła się utarczka.

ŁUCZNIK. Zamęt w dzielnicy San Cataldo, walka
rozpoczęła się przy moście Membruto
tam! ponad fosą patarską!
Przy Gualchierze biją się — patrzajcie —
tuż popod wieżę Morchetto,
koło Masdogni.

FRANCZESKA cofa się, postępuje kilka kroków pomiędzy bronią i roz-
maitemi narzędziami, tamującemi przejście, wraca się ku drzwiom, które-
mi weszła i chowa się za pilaster, który ją zakrywa przed oczami Paola.

STRAŻNIK. My czekamy jeszcze
na hasło, messer Paolo.
Niedługo wieczór zapadnie. Co czynić?

PAOLO zdaje się nie słyszeć, jedną opanowany myślą i jednym lękiem.
Zobaczywszy, że Franceska znikła, opuszcza wieżę, zstępuje na dół bocznemi
schodami, aby jej poszukać.

PAOLO. Franczesko!

FRANCZESKA. Hasło, Paolo! Wydajcie
hasło! Nie bójcie się o mnie, pozwólcie
zostać mi tutaj i słuchać
świstu cięciwy.
Nie mogę oddychać,
zamknięta w izbie, w gronie wystraszonych
mych towarzyszek, podczas kiedy w mieście
toczy się walka. Piękny hełm mi dajcie,
panie kuzynie!

PAOLO. Dam wam!

FRANCZESKA. Wróciliście
teraz z Ceseny?

PAOLO. Tak, dzisiaj — z Ceseny.

FRANCZESKA. Zabawiliście dość długo.

PAOLO. Czterdzieści
dni siedzieliśmy w obozie z Gwidonem
Montforckim. Miasto Cesenę
zdobywaliśmy i zamki.

FRANCZESKA. Niemałe
znać na was trudy, wychudliście nieco
i pobledliście nieco — tak się zdaje.

PAOLO. Jakowaś febra jesienna
zapanowała w okolicy Savia.

FRANCZESKA. A więc jesteście chory? Przeto drżycie?
A Orabile nie dała wam leku?

PAOLO. Febra się strawi sama w sobie. Nie chcę
żadnego leku. Ziół nie szukam żadnych,
aby wyzdrowieć, ma siostró.

FRANCZESKA. Miałam-ci ziele, co leczy,
miałam-ci ziele w ogrodzie ojcowskim,
w ogrodzie mego szlachetnego ojca. —
Niechaj go strzeże Bóg!
Miałam-ci ziele lecznicze w ogrodzie —
wyście pewnego dnia w ten ogród weszli,
odziani płaszczem, który w słodkim świecie
zowie się kłamstwem;
nadepnęliście na to ziele moje,
nadepnęliście, nieświadom, i zioło,
choć stopa wasza była lekka, zwiędło,
przestało rosnąć, mój panie kuzynie,
przestało rosnąć i umarło!

PAOLO. Jam go nie widział,
anim nie wiedział, gdzie jestem,
ani też kto mię przywiódł na tę drogę;
nie rzekłem słowa,

nie słyszałem słowa,
żadnegom progu nie przekroczył,
nie zmożłem żadnej przeszkody.
Ujrzałem-li różę,
którą mi wówczas podano, ach świeższą
od warg świeżej rany! I śpiewy
jakieś młodzieńcze słyszałem i straszne
jakieś pukanie do straszliwej bramy
i głos pełen gniewu,
was wzywający po imieniu!
To było wszystko! to wszystko!
I nie wróciłem dlatego,
że miałem wolę powrotu,
albowiem drogi śmierci
nie są mroczniejsze od tej mojej drogi —
tak, moja siostro! Niechaj Bóg nas wspiera.

FRANCZESKA. Me oczy
świty ujrzały poranne,
dające nam jutrznię,
tę karmicielkę niebieską,
co nas zbudziła, ażeby nas mlekiem
swojem nakarmić, kiedy sen ostatni
zbliżył się k'naszej łożnicy.
Z wstydem i lękiem
patrzały na nią me oczy,
niby na wodę nieczystą,
z urągowiska

nagle wylaną na lice,
zwrócone do góry,
pełne tęsknoty
za drogim napojem światłości.
Widziały to me oczy,
i widzieć to będą, dopóki
noc ich nie zamknie na wieki,
noc, nieznająca
świtu, mój bracie!

PAOLO. Ach! na mnie
niech wstyd ten spadnie i hańba.
Gdy ów zawitał poranek, nie spałem.
Precz uszedł już spokój
z duszy Paola Malatesty!
I wszystko już we mnie
było dla siebie wrogie od tej chwili,
gdyście stanęli swą stopą na progu,
z którego niema powrotu,
i gdy ja z swiłą wszedłem weselną.
I gwałt stał się lekiem
na me nieszczęście owej strasznej nocy —
Z ręki mej zginął Tindar Omodei,
dom mu w perzynę-m obrócił,
na pastwę
mej krwawej świty
dałem jego mienie.

FRANCZESKA. Niech wam Bóg przebaczy

tę krew i to wszystko,
tylko nie łez tych, których nie płakałam,
tylko nie oczu, co owego ranka
zostały suche.

Jam nie płakała
i nigdy odtąd nie płaczę, mój bracie.

A owy napój,
podan mi przez was u brodu — pomnicie —
tej pięknej rzeki?

Z tem waszem sercem fałszywem,
szaleństwa pełnem i zdrady —
to był ostatni trunek, który zgasił
moje pragnienie i odtąd
nie było wody, mój panie,
któraby mogła zgasić me pragnienie.

I zabłysnęły wieżycy Rímíni
i zabłysnęła brama galeańska,
i słońce zaszło za szczyty
i ku wieżycom zarżały rumaki
i nieme wasze oblicze zabłysło
między lancami pachołków.

Przekleństwo,
żeście mnie wówczas nie chcieli powierzyć
falom tej rzeki, coby mnie ze sobą
porwała k'morzu i słodko złożyła
gdzieś na wybrzeżu Rawenny; poznaną
byłby mnie może zaniósł kto do ojca,

do mego ojca dobrego, co nie chcąc
żadnej mi krzywdy wyrządzić, za żonę
oddał mnie temu, który mu się widział —
Niech Bóg go strzeże, tego ojca mego,
i niech mu daje coraz większe władztwo.

PAOLO. Tak-ci jest srogi, Franczesko, wasz wyrzut,
a taki słodki, że serce się kraje
i moja smutna rozpływa się dusza
w tym dziwnym dla mnie dźwięku waszej mowy.
Dusza się moja rozpływa
i wszelka odbiegła odemnie świadomość,
i nie wiem, jak ją napowrót przygarnąć.
W jakiż mam umrzeć sposób?

FRANCZESKA. Jako niewolnik, przykuty
do stawu łodzi, która zwie się „Rozpacz“,
tak umierajcie!
A pamięć owego trunku,
który z rąk waszych wzięłam
u brodu tej pięknej rzeki,
zanim doszliśmy do murów
fałszu i zdrady,
niechaj was spali i strawi. Przez Boga,
przez najwyższego Boga
i przez świętego Jana,
lepiej ci było, mój bracie, zostawić
głowę, niż hańbić tak swą biedną duszę.

(Słychać bicie dzwonów u świętej Kolumby. Oboje budzą się z odrętwienia.)

A! gdzie jesteśmy? Któż woła? Paolo,
która godzina? Co robicie?

STRAŻNIK i ŁUCZNIK, zajęci naciąganiem proc i przygotowaniem płomiennych pocisków, porywają się na odgłos dzwonów.

STRAŻNIK. Hasło!
Hasło! dzwon świętej Kolumby!

ŁUCZNIK. Dać ognia!
Ognia! niech żyje Malatesta!

(Zapała jeden z pocisków i wypuszcza go w stronę miasta. Z otworu schodowego wypada z wrzaskiem tłum łuczników, zajmuje platformy wieży i zabiera się do broni i machin.)

ŁUCZNICY. Niech żyje messer Malatesta! Niechaj
żyje stronnictwo gwelfów!
Śmierć Parcitadzie oraz ghibellinom!

(Z murów pada na miasto grad pocisków, który zapłomienia duszne powietrze. PAOLO MALATESTA zdejmując z głowy hełm i podaje go bratowej.)

PAOLO. Daję wam szyszak!

FRANCZESKA. Paolo!

(PAOLO wskakuje na wieżę. Głowa jego, ujęta w pukle włosów, panuje nad tłumem, rzucającym pociski. FRANCZESKA rzuca szyszak na ziemię i z krzykiem biegnie za Paolem. Świst cięciw i wrzask żołnierzy.)

PAOLO. Łuk mi podajcie! dajcie łuk!

FRANCZESKA.

Paolo!

(Jeden z łuczników pada z przeszytą gardzielą.)

STRAŻNIK. Na Boga! precz stąd, madonno!

Tu zaczynają walić już na dobre!

(Kilku łuczników podnosi swe wielkie malowane pawęże i zagradza drogę
Francesce, pragnącej dotrzeć do Paola.)

ŁUCZNICY. Wieża Galassa odpowiada.

Od Masdogni

pędzą tu ludzie Cignatty!

— Niech żyje messer Malatesta!

Niech żyje stronnictwo gwelfów!

Verucchio! Verucchio!

(FRANCZESKA stara się przedrzeć przez zwał łuczników, zagradzających
jej drogę.)

STRAŻNIK.

Madonno! na Boga,

którego czcicie! Zastanowienia,

messer Paolo! Madonna Francesca

jest bez osłony! Tutaj śmierć!

(PAOLO stoi z łukiem na murach i wystawion na pociski wroga, strzela
bez upamiętania, jak szaleniec.)

FRANCZESKA.

Paolo!

(PAOLO odwraca się na krzyk ten i widzi Franceskę w ogniach pocisków.
Bierze pawęż jednego z łuczników i osłania ją.)

PAOLO. Francesko, zejdźcie! Cóż to za szaleństwo!

(Pcha ją ku wyjściu. FRANCZESKA patrzy mu z poza pawęży w jego piękne, zapalone oblicze.)

FRANCZESKA. Wy szalejecie! Wy!

PAOLO.

A wszak mam umrzeć!

(Odciąga ją ku sklepieniu wieży, rzuca pawęż, pozostając tylko z łukiem w ręku.)

FRANCZESKA. Jeszcze nie pora! Nie! jeszcze nie pora!

ŁUCZNICY. Malatesta! Malatesta!

Ludzie Cignatty

stoją przy wieży Rubbii. —

Tu, na tę stronę!

Tu, na tę stronę!

(Schodzą bocznymi schodami z lewej i opierają łuki o strzelnice muru.
Dzwony biją na alarm. Słychać w oddali dźwięk rogów.)

Verucchio! Śmierć Parcitadom!

Śmierć ghibellinom!

Niech żyje Malatesta!

Niech żyją gwelfowie!

PAOLO. Teraz jest pora, abyście widzieli,
jak ja umieram, abyście mi głowę
podnieśli z ziemi rękoma swojemi.
Cóż ja innego mógłbym mieć już od was?
Nie chcę umierać
jako niewolnik u wiosł galery.

FRANCZESKA. Trzeba, Paolo, zahartować serce
naprzeciw losom
i stać milczący,
jako owego dnia, wśród strasznej świty,
jako owego dnia, pośród oszczepów
najemnej cizby! Wszakże nie chcę hańbić
i mojej duszy dla was!

PAOLO. Tak! igrać z losem
pragnie fałszywe me serce,
pełne szaleństwa i zdrady.

(Nagłym ruchem przyciąga Franczeskę ku zakratowanemu oknu i podaje
linę od drzwi zapadnych.)

Podnieście!
Dziecko podniesie,
niewinna ręka podniesie!

(PAOLO porywa pęk strzał i rzuca je pod nogi Franczeski. Potem na-
ciąga łuk.)

FRANCZESKA. Szaleńcze!
Szaleńcze! Czy myślisz
w ten sposób kusić mą duszę?
Gotowa jestem do wszelkiej śmiertelnej
gry i nie przegram,
choć wszystko przegrane!
Ty zasię stoisz u straszliwych granic —
niech Bóg cię wspiera!
Ja ci otworzę wyjście!

Teraz uważaj! celuj! celuj dobrze,
abyś nie chybił, bo ja śmiać się będę!

(Podnosi w górę drzwi zapadne, a przez otwór widać ogrom morza w blaskach zachodzącego słońca.)

Morze! Morze!

(PAOLO chwytą łuk, celuje i strzela.)

PAOLO. Dobry strzał! Przeszyłem
stalowy kołnierz i szyję.
Wieść on zaniesie o mnie
piekłu!

(FRANCZESKA spuszcza drzwi zapadne; słysząc, jak pociski wroga uderzają o kratę. PAOLO składa broń.)

ŁUCZNICY na wieży. Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Śmierć Parcitadzie!

Niech żyje messer Malatesta!

Niech żyje partya gwelfów!

Zwycięstwo!

Ghibellinowie rozbici na moście

fossy patarskiej. Gualchiera

już oczyszczona z wrogów!

Messer Giovanni w galopie,

z laurami, przy bramie

Gattolo. Ludzie Cignatty

pierzchli! Uważać,

aby w zamęcie

nie trafić swoich!
Zwycięstwo Malateście!

FRANCZESKA w wielkiem wzburzeniu ducha.

Ach, widzę morze,
morze wieczyste,
świadećstwo Pana!
A na tem morzu żagiel,
szczęście kierowan przez Pana.
Paolo, bracie mój w Bogu,
uczynię ślub,
aby się Pan ulitował
nad tobą.

PAOLO. Podnieście kratę!

FRANCZESKA. I już jej nie spuszcę.

Niech się ta próba zakończy
wyrokiem bożym,
spełnionym z pomocą pocisku!
Człowiek jest kłamstwem, a zaś Bóg jest prawdą.
Bracie mój w Panu, słuchaj: zmora zdrady,
którą masz na duszy,
niech przebaczona będzie ci przez miłość,
a wyrok boży
niech się objawi
z pomocą strzały,
która cię nie tknie ~
albo też raczej

oddaj swe życie
i ja swe oddam.

(Z napiętą liną w ręku klęka do modlitwy, z zrenicami wlepionemi nieruchomie w odsłoniętą głowę Paola. Przez podniesioną kratę widać jaśniejące morze. PAOLO nakłada pocisk na cięciwę i strzela bezustanku. Od czasu do czasu pociski ghibellinów wpadają przez okno, odbijają się o mur i nie wyrządzając szkody padają na posadzkę. Pod wpływem bolesnej męki kurczy się twarz modlącej. Wymawiane wyrazy zaledwie poruszają wybladłemi jej wargami.)

Ojcze nasz,
któryś jest w niebie,
święć się imię Twoje,
przyjdź królestwo Twoje,
bądź wola Twoja,
jak w niebie, tak i na ziemi.
Chleba naszego powszedniego
daj nam dzisiaj ~ ~

(PAOLO, chybiwszy kilkakrotnie, z wielkim wysiłkiem woli napina cięciwę, jak gdyby pragnął dać strzał mistrzowski. Świst cięciwy. Słychać krzyk z pośród zastępów nieprzyjacielskich.)

PAOLO z dziką radością. A! Ugolino! w złe-m cię trafił miejsce!

FRANCZESKA. ~ i odpuść nam nasze winy,
jako i my odpuszczamy
naszym winowajcom,
i nie wódź nas
na pokuszenie,

ale nas zbaw ode złego.

Amen.

(Na wieży krzyk i objawy radości łuczników; kilku z nich wynosi na rękach zabitych i rannych.)

LUCZNICY. Zwycięstwo przy Malateście!

Śmierć Parciadam! Śmierć ghibellinom!

Niech żyje!

Ludzie Montagni pierzchają
przez bramę San Catalda!

Pożar się wszczyna! Jedna z naszych beczek
padła na dom Accarisia!

Pożar się wszczyna!... Zwycięstwo!

Malatesta! Malatesta!

A! messer Ugolino

Cignatta upada z konia!

Zabít! zabít!

Strzała przeszła mu gardziel.

Kto go położył? Bartolo Gambitta?

Kto go położył? To ktoś z naszych ludzi!

Sto lir raweńskich wart ten strzał — wart tysiąc
złotych!... Zwycięstwo!

(Strzała musnęła głowę Malatesty i przeszła mu wskrós włosów. FRANCZESKA wypuszcza z rąk linę, zrywa się na równe nogi, przybiega do Paola, obejmuje mu głowę, myśląc, że trafiony, i szuka rany. Przeraża się jeszcze bardziej, widząc śmiertelną bladłość, którą, podczas tego, powlekła się twarz Paola. Strzała pada na ziemię.)

FRANCZESKA. Paolo! Paolo!

(Przygląda się swym rękom, czy nie splamiła ich krew. Ręce są białe.
Szuka ponownie, ciężko oddychając.

Co się stało, na Boga, Paolo?
Krew ci nie cieknie, niema na twojej głowie
krwi ani śladu, a, zda się, umierasz.

PAOLO głosem stłumionym. Nie, nie umieram, Franczesko!
Zelazo mnie nie tknęło!

FRANCZESKA. Uratowan i oczyszczon!
Oczyszczon jesteś z fałszu!
Podziękuj Bogu! Bracie,
klękni!

PAOLO. Lecz wasze dotknęły mnie ręce
i z karbów wyszła dusza mego serca,
i chłód przenika wszystkie moje żyły,
odbiegła mnie siła życia
i cóż mi z niego zostaje?

FRANCZESKA. Na głowę
twoją, Paolo! klękni!

PAOLO. Niewymowna
zdjęła mnie trwoga i wstręt, stokroć większy
od trwogi!

FRANCZESKA. Klękni!

PAOLO. Kiedy już tak żyłem

tą mocą szaloną,
walcząc sam na sam, na wyniosłej wieży
waszej modlitwy, w płomiennej
samotni waszej żrenicy ~ ~ ~

FRANCZESKA.

Uklęknij!

Dzięki złoś Bogu!
Uklęknij i sam się już nie gub!

PAOLO. Walczący samotnie
i mordujący ludzi ~ ~

FRANCZESKA. Już ³przebaczone ci w niebie. Oczyszczon
jesteś, a sam się chcesz gubić.

PAOLO. W mem rozszalałem wnętrzu
zwarła się razem wszystka ma odwaga
i wszystka zamknięta
mojej przekłętej miłości potęga.

FRANCZESKA. Zgubiony! zgubiony!
Mów, że szalejesz! Na twą głowę, mów-że,
mów, że szalejesz! że twa biedna dusza
nie słyszy wyrazów twych ust!
Na oną strzałę,
która się ciebie nie imie,
na śmierć, co się ciebie
dotknęła palcem,
lecz nie zabrała cię, mów-że,

mów, że już nigdy podobne wyrazy
z ust twych nie wyjdą!

LUCZNICY. Niech żyje
messer Giovanni Malatesta!

SCENA CZWARTA.

W otworze wieży Mastry zjawia się KULAWIEC, cały w zbroi, z sardyńskim oszczepem w ręku. Skacze po schodach, kulejąc, a stanawszy na blankach wieży, potrząsa strasznym dzirytem, podczas gdy głos jego przerywa wrzask łuczników.

GIANCIO'TTO. Kroćset! plemię tchórzów!
Łotry, wisielcy!
Ja was wszystkich razem
rzucę do Ausy, jak ścierwo!

FRANCZESKA. Brat twój.

PAOLO rzuca łuk.

GIANCIO'TTO. Sprawniejsi jesteście
w czynieniu wrzawy,
niż w garbowaniu ghibellińskiej skóry.
Może sądzicie, że wyście cośkolwiek
tutaj zrobili — z łukami bez cięciw?
Gdybym ja nie był przygnał z moją jazdą,
byłby Cignatta obie wyparł bramy.
Niech Bóg wam łokcie potrzaska, wy tchórze!

ŁUCZNICY. Wyszy nam strzały, a przytem astrolog
zwlekał z podaniem hasła. Wszak-ci zmilkła
wieża Galassa. Przez nas na Masdogni
leży ich kupa.

GIANCIO'TTO. Kroćset! mało ognia!
Nie widzę domów płonących! Żleście
rzucali ognie!

ŁUCZNICY. Wszakże Occarisia
dom się już pali! — A zacny Cignatta —
któż się z nim sprawił? Toć to jeden z naszych
zatkał mu gardziel.

GIANCIO'TTO. Któż to stał przy oknie
zakratowanym?

ŁUCZNICY. Czyż na jego głowę
nie wyznaczono nagrody? — Nasz oddział
zarobił swe tysiąc złotych.

GIANCIO'TTO. Mówcie,
kto stał przy oknie?

ŁUCZNICY. Walczyliśmy, panie,
z pustym żołądkiem — giniemy z pragnienia —
i z głodu! Żyj nam messer Giovanni
nigdy niekontent!

(PAOLO bierze swój hełm i nakrywszy głowę, idzie na wieżę. FRAN-
CZESKA podchodzi ku drzwiom, któremi weszła, i otworzywszy, woła:)

FRANCZESKA. Smaragdi! Smaragdi!

GIANCIO'TTO do łuczników.

Zamknijcie gęby! Niech wam język uschnie!
Nie lubię pustej paplaniny. Moim
ten, który działa, a milczy. Tej chwili
potrzeba rzucić jedną z wielkich beczek;
ja sam pokażę kierunek, w imieniu
wielkomożnego mego ojca
trzeba ją posłać Parcytadzie
już na ostatnie pożegnanie!
Barlengerio, gdzie jest
brat mój, Paolo?

(NIEWOLNICA zjawia się we drzwiach, potem, wysłuchawszy jakiegoś rozkazu pani, znika. FRANCZESKA pozostaje w progu.)

PAOLO. Jestem, mój bracie Giovanni. Jać-to
stałem przy oknie kratowanem, jam też
przeszył tę gardziel wrażą,
co zbyt szeroko rozwarła swą gębę,
by ci uragać.

(Szmer wśród łuczników.)

GIANCIO'TTO. Dzięki ci, bracie!

(Zwraca się do strzelców.)

Taki strzał mógł tylko
pochodzić z ręki Malatesty —
słyszycie, samochwalcy?

(NIEWOLNICA zjawia się z dzbanem i puha-rem. FRANCZESKA wraca ku otworowi schodów, aby się pokazać. GIANCIOTTO schodzi naprzeciw brata.)

GIANCIOTTO. Paolo! przynoszę-ć
dobre nowiny.

(Spostzega żonę. Głos jego przybiera nagle łagodniejszy odcień.)

Franczeska!

FRANCZESKA. Witam was, panie, który nam przynosisz
zwycięstwo!

(Kulawiec podchodzi ku niej i bierze ją w objęcia.)

GIANCIOTTO. Droga małżonko, a skądże
widzę was, tutaj, w tem miejscu?

FRANCZESKA. broniąc się uściskom. Na zbroi
dużo krwi macie.

GIANCIOTTO. Żalim was powalał?

FRANCZESKA. I cały kurzem okryty.

GIANCIOTTO. Małżonko,
kurz moją strawą!

FRANCZESKA. A rany
żali nie macie jakowej?

GIANCIOTTO. Nie jestem
ranny.

FRANCZESKA. Z pewnością czujecie pragnienie.

GANCIOTTO. O tak, ogromne.

FRANCZESKA. Smaragdi, daj wino.

(NIEWOLNICA zbliża się z dzbankiem i puhaem.)

GANCIOTTO z radosnem zdumieniem.

Jakto? małżonko! A więc myśleliście
o mojem przyjściu? O droga ma żono.

Pewnieście swojej kazali służebnej
zważać, by dała wiadomość, że idę?

(FRANCZESKA nalewa puhar i podaje go małżonkowi. PAOLO stoi mil-
czący u wejścia i czuwa nad ludźmi, zajętymi przy beczce z materyałami
palnymi.)

FRANCZESKA. Pijcie, to wino z Chios.

GANCIOTTO. Pijcie pierwsza,
jeżeli łaska — jeden haust.

FRANCZESKA. To wino
nie jest zatrute, mój mężu.

GANCIOTTO. Śmiejcie się!
Nie podejrzliwość jest tu w grze — przenigdy!
O waszą łaskę tu idzie, o łaskę
waszą, Franczesko,
żono ma wierna.

Zdrada mi od was nie grozi; mój rumak
dotąd podemną
jeszcze się nigdy nie potknął. Małżonko,
pijcie — choć jeden haust!

(FRANCZESKA dotyka wargami puharu.)

GIANCIO'TTO. Jakaż to rozkosz
ujrzeć znów wasze oblicze, po bitwie,
wziąć z waszej ręki puhar tego wina,
mocnego wina, i pić jednym haustem —
(Wychyla puhar.)

O, tak! — Raduje się serce!
A cóż Paolo?
Czemu do niego nie rzekniecie słowa?
Wrócił z Ceseny, a wy go
nie przywitacie, mego rodzzonego?
Chodź tu, Paolo! Czy nie masz pragnienia?
Rzuć grecki ogień dla greckiego wina.
Potem spalimy wszystkich Parciadów.
Nalejcie, żono, jeszcze jedną czarę —
wypijcie, proszę, na cześć mego brata,
jeszcze haust jeden i raczcie powitać
dzielneho strzelca.

FRANCZESKA. Już go powitałam.

GIANCIO'TTO. Kiedy?

FRANCZESKA. Gdy strzelał.

PAOLO. Wiesz Giovanni,
przyszedłszy na wieżę,
już ją zastałem,
jak wraz z Berlingerim
strzał próbowała ognistych.

GIANCIO'TTO. Żali to prawda?

PAOLO. Igrała
z strzałą płomienną, aż strażnik
narobił wrzasków, że podpali wieżę.
A zasię ona się śmiała! Słyszałem
śmiech jej, gdy ogień igrał u jej stóp,
jak hart na smyczy.

GIANCIO'TTO. Żali to prawda, Franczesko?

FRANCZESKA. Dłużyło mi się w komnacie
pośród lamentów moich towarzyszek.
I wierżaj, panie, stokroć mi jest lepiej
patrzeć na bitwę otwartą,
niżli w zamknięciu pocieszać te płaczki.

GIANCIO'TTO. Córkó Gwídoná, dobrze cię naznaczył
twój rodzic, dobrze! Oby Bóg cię dla mnie
uczynił płodną i obyś lwie plemię
dała mężowi.

(FRANCZESKA marszczy brwi.)

GIANCIO'TTO. Tyś jeszcze nie pił, Paolo!

Pij — coś pobladłeś. O ma wojowniczo,
pełny mu nalej puchar, niech wypije!
Przedziwny uczynił strzał.

PAOLO. Wiesz, Giovanni, podczas gdym ja strzelał,
ona trzymała kratę! Ona! W ręku
silnie trzymała linę drzwi zwodzonych,
jako giermkowie przy rycerzach. Nie drżał
puls jej i oczy jej nie drgnęły.

GIANCIO'TTO.

Hejże!

Pójdziemy razem zdobywać zamczyska,
ty moja żono. Szyszak dam ci złoty,
i ty, dosiadłszy rumaka,
pospieszysz z lancą i mieczem,
jak owa dzielna grafini Aldruda,
ta z Bertinoro, kiedy w bój ruszała
wraz z Marchesellą przeciw kanclerzowi
z Magonry. Droga małżonko,
już mi bez ciebie czas się nazbyt dłuży.
W tej ciemnej wstędze naokoło skroni
i popod szyją wyglądasz, jak gdybyś
żelazne miała podgardle. A jaki
wdzięk w twej postaci! Nieprawda, Paolo?
Aleś ty nie pił. Pijże, jesteś blady.
Zbyt to cię, widać, utrudziło. Dzisiaj
spać nie będziemy w swoich łózkach. Proszę,
nalejcie wina swojemu szwagrowi.

FRANCZESKA. Owszem, nalewam.

GIANCİOTTO. Tak jakby była noc już, przelewacie...

FRANCZESKA. Pijcie, mój szwagrze! Pijcie-że z puhara,
z którego napił się wasz brat. I niech wam
Bóg powodzenia nie skąpi — wam obu,
a i mnie również!

(PAOLO pije, patrząc Franczesce w oczy.)

GIANCİOTTO. Tak, powodzenia, Paolo!

Zacząłem mówić, ale nie skończyłem:

Dobłą ci niosę nowinę — posłuchaj.

Oto w godzinie zwycięstwa

nasz wielkoduszny ojciec przyjął w domu

posłów florenckich z wieścią,

że cię wybrano naczelnikiem ludu

i gminy miasta Florencyi.

PAOLO.

Florenckich

posłów!

GIANCİOTTO. Tak bracie! Czy to martwi ciebie?

PAOLO. O nie, pojadę.

(FRANCZESKA kryje twarz w mroku i przechadza się po wieży. NIE-
WOLNICA cofa się na stronę i stoi bez ruchu.)

GIANCİOTTO. W trzech dniach musisz jechać.
będziesz miał czasu dosyć, by pospieszyć

do Ghiaggiolo, do twej Orabile,
przyzwyczajonej snąć już do wdowieństwa.
A wiedz, że jedziesz do miasta swywołnych
biesiad, do miasta, gdzie rządzi gromada
„Braci wesołych“, gdzie pełno bogatych
kupców, trefnisiów i giętkich dworaków,
gdzie biesiadują rankiem i wieczorem,
gdzie lubią tańczyć i śpiewać, — dowoli
tam się zabawisz.

(Posępnije i mówi z goryczą:)

My za to będziemy
zastawiać sidła na wilki i rzezać
marne jagnięta, żelazem
uderzać będziemy o żelazo
dla ucieszenia uszu,
stalić będziemy pociski, topory,
lance sardyńskie z rana do wieczora.
A potem czekać będziem, czy przy szturmie
nie spadnie znowu głaz i nie roztrzaska
drugiego jeszcze kolana. I potem
Janko Kuławiec, Janko Kuternoga
każe się sznurem przywiązać do grzbietu
rozszałałego wierzchowca i pomknąć
na łeb na szyję do Piekieł.

(FRANCZESKA wśród wielkich udręczeń przechadza się w mroku. Przez
otwór wieży widać niebo, zachodnimi złane płomieniami.)

PAOLO.
gniewasz się na mnie?

Giovanni,

GIANCIO'TTO. Nie! Czyś nie wyrwał
języka temu, który mi urągał?
„Hejże na Kulawca
i jego piękną małżonkę!“
Tak szydził Ugolino,
z ogromnym krzykiem najeżdżając na mnie.
Czyż krzyk ten jego dotarł aż do kraty?
Jam się z nim zetknął oko w oko,
strzemię o strzemię,
kiedy twój pocisk
przeszył mu gębę
na wskrós, aż na wierzch wyszedł potylicą.
A mogłeś chybić!
Czułem, jak pióra twojego pocisku
twarz mi owiały. Mogłeś chybić, bracie.

PAOLO. A żem nie chybił, cóż ty o tem myślisz?

GIANCIO'TTO kładąc mu rękę na ramieniu.
Widać, że wszelkie miłujesz ryzyka.
Ale w Florencyi bądź ostrożny. Wielki
bierzesz na siebie obowiązek; ostry
i wielce szybki miewaj wzrok, lecz rękę
zawsze ostrożną.

PAOLO. Tak radzący, bracie,

żali nie lepiej będzie, gdy się zrzeknę
tego urzędu? Wszak-ci całej naszej
potrzeba siły w ojczyźnie!
Rok ten dla nas, gwelfów,
niezbyt szczęśliwie się składa po klęsce
Giana z Appii i po sycylijskim
buncie przeciwko Andagawęńczykom.

GIANCIO'TTO. Trzeba to przyjąć bez zwłoki. Obrońcą
spokoju będziesz tam, gdzie ongi
nasz wielkoduszny ojciec namiestniczył
w imieniu króla Karola, w szczęśliwym,
bogatem mieście gwelfickiem. W ten sposób
i z tamtej strony granicy Romagni
brzmieć i rozszerzać się będzie
głośnie nazwisko Malatestów; każdy
z nas niechaj spieszy za swoją wschodzącą
gwiazdą. Ja pójdę swą drogą, z tym mieczem,
który ma oczy i widzi.
Jeszcze się koń mój
dotąd nie potknął podemną.

(Podczas jego słów wnoszą z pochodniami rannego Malatestinę, który zdaje
się jakby już był bez życia. Zmrok czyni się coraz gęstszy.)

FRANCZESKA. Nieszczęście! Nieszczęście!
Czy nie widzicie? Ach! czy nie widzicie
Malatestiny? Wnoszą go na rękach
zbrojni rycerze — wnoszą z pochodniami!
Malatestinę zabito dla ojca!

SCENA TRZECIA.

(FRANCZESKA spieszy naprzeciw grona zbrojnych, wchodzących jednemi z bocznych schodów i mijających łuczników, którzy ustępują w milczeniu. Przybiegają GIANCIOTTO i PAOLO. ODDO delle CAMINATE i FOSCOLO d'OLNANO dźwigają ciężar zbrozonego krwią młodzieńca. Towarzyszy im czterech łuczników z wielkimi sajdakami i pochodniami.)

FRANCZESKA nachyla się nad Malatestiną.

Malatestino! O Boże!

Wybite ma oko,

czarną zalane krwią! Jak go zabili?

Ojciec wie o tem? Widział go?

(GIANCIOTTO dotyka się ciała młodzieńca i słucha, czy serce mu bije.)

GIANCIOTTO.

Franceska!

Nie, nie, nie umarł. Oddycha

i serce jeszcze mu bije. Widzicie?

Przyjdzie do siebie. Ogłuszył go tylko

cios, ale przyjdzie do siebie.

Życie zeń jeszcze nie uciekło. Dobre,

dobre ma zęby, aby je zatrzymać.

Otuchy! otuchy! Połóżcie go tutaj,

na pęku sznurów.

(Podczas gdy kładą Malatestinę, młodzieniec zaczyna przychodzić do siebie.)

Oddo, coś to było?

ODDO. Dostał kamieniem, zdobywając wieżę

Galassa.

FOSCOLO. Wziął do niewoli sam jeden
Montagnę Parcitadę
i skrupowawszy rzemieńcem od miecza,
zawiódł go panu Malateście
i wrócił zdobywać wieżę.

ODDO. W hełmie — z otwartą przyłbicą — ot, wiecie
zbyt lekkomyślnie; znacie zapaleńca.

PAOLO. Wściekły był przytem, że ojciec jegomość
nie chciał pozwolić, by poderżnął gardło
swemu jeńcowi.

(FRANCZESKA nalewa młodzieńcowi kilka kropel wina. PAOLO chciwym
wzrokiem śledzi jej ruchy.)

GIANCIO'TTO ogląda ranę. Kamień wyrzucon ręką, a nie z procy.
E, to drobnostka.
Aby takiego zdmuchnąć,
choć taki suchy, katapulty trzeba!
Serce, jak pancerz, i wyschła wątroba!
Bóg go naznaczył, tak jak mnie naznaczył
i od tej bitwy
będzie miał z blizny, tak jak ja, przezwisko.
(Całuje go w czoło.)

Malatestino!

(Młodzieniec wstrząsa sobą i nabiera tchu.)

Pij, Malatestino!

(MALATESTINO łyka kilka kropel wina, które Franczeska wlała mu do

ust. Potem potrząsa głową i uczuwszy ból, usiłuje do rannego lewego oka zbliżyć rękę, zamkniętą w zbrojną rękawicę. FRANCZESKA powstrzymuje go.)

MALATESTINO jak człowiek nagle przebudzony, gwałtownie.

Zemknie! on zemknie! Więzienie dla niego
nie jest bezpieczne! Mówię wam, że zemknie!
Pozwólcie, ojcze, poderżnąć mu gardło!
Ja go pojmałem! Pozwólcie go zabić,
drogi mój ojcze! Mówię wam, że zemknie.
To chytry człowiek! Dajcie młotkiem w głowę,
aż się trzy razy wywróci!

FRANCZESKA. Co widzisz?

Malatestino, przestań-że majaczyć!
Malatestino, co widzisz?

GIANCIO'TTO. Majaczy

wciąż o Montagni.

Malatestino, czy mnie nie poznajesz?

Jesteś na wieży Mastra.

Montagna w godnych jest szponach. Bądź pewien,
że nie ucieknie.

MALATESTINO. Gdziem ja, Giovanni?

To wy, bratowo!

(Ponownie podnosi rękę ku rannemu oku.)

Co ja mam w oku?

GIANCIO'TTO. Wlepili ci, bracie,

porządny kawał kamienia. Czy wielki
czujesz ból? powiedz.

MALATESTINO. O nie! ghibellińscy
hołszy bolu nie sprawią.
Precz! precz! Szkoda czasu!
Z starego płótna przygotujcie włókna,
przewiążcie mi oko,
dajcie się napić,
potem — na koń! na koń!

(FRANCZESKA zdejmuje chustkę, którą owinięte ma policzki i szyję.)

GIANCIO'TTO. Czy widzisz?

MALATESTINO. Jedno mi starczy.

GIANCIO'TTO. Spróbujmy,
czy lewe oko stracone.

(Bierze pochodnię z ręki jednego z łuczników.)

Zamknij-że prawe. Franczesko,
przymknijcie oko mu palcem.
On w rękawicy.

FRANCZESKA przymyka palcem powiekę młodzieńca.

GIANCIO'TTO zbliża mu pochodnię do ocz.

Zważaj!

Widzisz pochodnię?

MALATESTINO. Nie.

GIANCIO'TTO. Widzisz światło?

MALATESTINO. Nie! Nie!

(Chwyta rękę Franczeski i odsuwa ją od siebie.)

Lecz widzę czysto jednym.

ŁUCZNICY podnieceni męstwem młodzieńca.

Messer

Malatestino Malatesta niechaj
żyje!

MALATESTINO. Na koń! na koń!

Dzień ten, Giovanni, jest naszym, lecz jeszcze
żyje dotychczas stary Parcitada,
czeka posiłków. Damy-ż się tak zwodzić?
Oddo! Fascolo! Czekaj jeszcze na nas
kąsek najlepszy.

GIANCIO'TTO zwraca się ku łucznikom. Dawać tutaj beczki!

Wszystko gotowe?

(Zwraca się ku wieży i pílnuje sprawiających maszyny strzelnicze.)

ODDO. Padniecie w pół drogi.

FRANCZESKA. Malatestino, nie idź w bój! pozostań,

ja ci obmyję, przyłożę-ć lekarstwo.

Smaragd! biegnij i przygotuj wodę
i zrób opaskę — niech się tutaj zjawi
mistrz Almodoro.

MALATESTINO. Nie, moja bratowo!

Przewiążcie mi oko

i puście! puście! Potem do waszego
wrócę lekarza. Kaźcie mu poczekać.

Nie czuję żadnego bólu!

Proszę — przewiążcie mi oko tą chustką,
którą trzymacie w ręku — tą!

FRANCZESKA.

Przewiążę,

Bóg wie, czy dobrze. Dobrze to nie będzie.

(Przewiązuje mu oko chustką. Malatestino spostrzega, że Paolo nie odwraca
oczu od Franczeski.)

FRANCZESKA. Dobrze nie będzie.

MALATESTINO.

Wybrano cię, bracie,

florentyńskiego naczelnikiem ludu.

Na własne oczy widziałem gwelfickich

posłów „Czerwonej lilii” —

byli u ojca właśnie, gdym do niego
przyszedł z pojmanym Montagną.

(Dzwony biją na alarm. Słychać dźwięk rogów oraz gardłowe głosy ludzi,
towarzyszące pchaniu beczek z płonącym ogniem na katapulty. Ponad
basztami coraz to większa rozlewa się łuna.)

MALATESTINO.

W nadmorskiej

zamknął go wieży. Słyszysz? Lecz on zemknie.

Błagałem ojca na klęczkach,

by mi pozwolił z nim skończyć.

Widziałem posłów uśmiechy i przez nich
ojciec odmówił.

Wspaniałomyślnym chciał się im okazać.

Ale Montagna nie powinien przeżyć
dzisiejszej nocy. Chcesz-li mi dopomódz?
Chodźmy do kaźni! Gotowaś, bratowo?
Tylko nie drżycie!

FRANCZESKA przewiązawszy oko. Tak! tak! Ale dobrze
pewnie nie będzie. Skronie ci się palą,
jeszcześ w gorączce! Nie, Malatestino,
pozostań! nie idź! Słuchaj mnie! pozostań!
Zostań! Na Boga!

GIANCIO'TTO na wieży. Puścić już!

(Słychać trzask katapuły, wyrzucającej beczkę, napełnioną płonącym płynem.)

ŁUCZNICY.

Zwycięstwo

dla Malatesty!

Niech żyją gwelfy! Śmierć, śmierć Parcytadzie
i ghibellinom!

MALATESTINO zbiegając. Na koń! Na koń!

(ODDO, FOSCOLO i ŁUCZNICY z pochodniami biegną za nim. Izba się
zaciemnia. Odblask ognia rumieni mrok, w którym PAOLO i FRAN-
CZESKA pozostali sami.)

PAOLO. Zegnaj, Franczesko!

(Zbliża się ku niej, FRANCZESKA cofa się z przerażeniem.)

GIANCIO'TTO na wieży. Paolo! Paolo!

FRANCZESKA. Żegnaj mi, bracie!

(PAOLO zwraca się ku wieży, gdzie rozpoczęto promienne rzucać pociski.)

(FRANCZESKA, pozostawszy sama, żegna się, uklęknęszy, potem rzuca się na ziemię. W głębi, gwałtowniejszy słup światła rozjaśnia niebiosa.)

ŁUCZNICY. Dać ognia! dać ognia!

Śmierć Parcitadom! Śmierć Ghibellinom!

Górą gwelfowie! górą Malatesta!

(Płomienne pociski padają z bastyonów. Dzwony biją do szturm. Dźwięk rogów przeszywa zamęt na ulicach płonącego i krwią zlanego miasta.)

ZASŁONA.

AKT TRZECI

AKT TRZECI.

Widać piękną komnatę, podzieloną na pola, wypełnione scenami z romansu o Tristanie, oraz malowidłami ptaków, kwiatów i owoców. Pod sufitem naokoło ścian fryz z festonów, wśród nich napis z kanconetty miłosnej:

*Melglío m'è dormire gaudendo
C'avere penzieri veghiando.*

Po prawej, w rogu, łóżko z bogatemi kotarami; po lewej wyjście z ciężką portyerą; w głębi okno, wychodzące na Adryatyk, w oknie doniczka z zielonym wasilkowem. W stronie wyjścia, dwa łokcie ponad posadzką chór dla muzykantów z pięknie wyźłobionymi otworami. Przy oknie pulpit, na nim otwarta księga, zawierająca historię o Lancelocie z Jeziora, o pięknych, ilustrowanych stronicach z pergaminu, oprawna w morową okładkę z czerwonego aksamitu. — Obok widać łożo, coś w rodzaju fotelu bez oparcia z tyłu i poręczy, na niem pełno poduszek aksamitowych; łożo tak jest ustawione, że leżąc na niem, widać całe wybrzeże Rimini.

W kącie małe, przenośne organki z klawiszami, piszczałkami, rejestrami, miechem, pięknej roboty; obok lutnia i skrzypce. Na stoliku małe, ręczne srebrne zwierciadło wśród flaszeczek z pachnidłami, szklanek, torebek, pasków i innych przyborów. Wielkie kandelabry żelazne stoją po obu stronach łoża i pod chórem. Ławki i stołeczki poustawiane w komnacie; w środku po-

sadzki widać pierścieni schodów spustowych, prowadzących do wnętrza
innej komnaty.

SCENA PIERWSZA.

FRANCZESKA siedzi nad książką i czyta. Towarzyszek jej siedzą kołem na stołeczkach i, haftując kraje płaszcza, słuchają opowieści. Każda z nich ma u pasa małe szklane naczynie, napełnione perełkami i złotymi nićmi. Słońce marcowe pada na karmazynową materję i rzuca odblask, w którym płoną twarze, pochylone nad haftem. Niewolnica stoi na balkonie i z uwagą przygląda się niebiosom.

FRANCZESKA czyta. I Galeotto błagał ją i mówił:

„Przez Boga, pani, okaż-że mu litość!
Uczyni to dla mnie, jakbym ja dla ciebie
uczynił wszystko, o co byś prosiła“.

„Jakaż okazać mam litość?“ „O pani,
ty wiesz, że ciebie kocha nadewszystko
i że dla ciebie uczynił on więcej,
niż jakikolwiek rycerz dla swej Sarry.“

„Niema wątpienia, że uczynił dla mnie
więcej, niż mogłabym mu to nagrodzić
i cobykolwiek zażądał odemnie,
odmówićbym nie mogła — przenigdy.
Lecz on nie żąda niczego, a tylko
smętny jest zawsze nad podziw.“ I zasię
rzekł Galeoto: „Okaż-że mu litość,
pani!“ A ona: „Okażę mu litość,

jaka-li chcecie, ale on nie żąda
przecież niczego.“

(Białogłowy się śmieją. FRANCZESKA opada, zmęczona i sponępniała,
w aksamitowe poduszki.)

GARSENDA. Jakżeż tak wstydliwym
mógł być, madonno, rycerz Lancelotto?

ALDA. A ona-ć biedna królowa
ginie z tęsknoty, aby go obdarzyć
tem, czego od niej nie żądał.

BIANKOFIORE. Trza było rzec mu: „Odważny mój panie,
twój cały smętek i za grosz nie stanie.“

ALTICHIARA. Juścić wesołość lubiła Ginewra
i krotochwilę, a jednak niczego
tak nie pragnęła, jak miękkiego łoża.

ADONELLA. Zaś Galeotto, jako że był ksiązę
wielce wspaniały, znał się na tej sztuce,
którą my, wiecie — — —

FRANCZESKA. Milcz-że, Adonello!
Już mnie znużyły te swywolne żarty!
Smaragdi, sokół czy wrócił?

SMARAGDI. Nie wrócił;
poleciał sokół.

FRANCZESKA. Nie słyhać
jego złotego dzwoneczka?

SMARAGDI. Nie słyhać, pani. Wzrok mam nienajgorszy,
ale go dojrzeć nie mogę.
Pofrunął nazbyt wysoko.

(FRANCZESKA wychyla się przez okno i rozgląda się naokoło.)

ALDA. Pewnie się zgubi, madonno!
Nie trza go było odwięzywać z linwy.
Ptak to jest nazbyt gniewliwy.

GARSEND. Tak; był z gatunku owych z Ventynciili,
dumny: trzynaście piórek miał w ogonie.

ALTICHIARA. Z wyspy jest ród tych sokołów —
zapewne teraz wrócił do śródmorskiej
swojej dziedziny.

BIANKOFIORE. Na żorawie
był tresowany. Chwytał je przedziwnie.
A Simonetto każe wam się kłaniać
i o żorawia prosi, bo z kolanek,
pragnie, madonno, zrobić dwie pieszczalki,
jako że — mówi — głos z nich jest nad wyraz
miły...

GARSEND. Nie wrócił!
On już nie wrócił! Pyszny był, jak wiecie;

ten, co go, pani, wam darował — pana
Malatestina mam na myśli — obyć
tego nie słyszał! Trza było mu w nocy
smarować dzióbek tłuszczem —
tłuszczem z końskiego pępka,
takby się wówczas rozkochał, madonno,
w Waszej Miłości, że nie miałby chęci
uciekać od was!

(FRANCZESKA wybucha śmiechem.)

ADONELLA. Patrzcie,
co za przemądra doktorka!

ALTICHIARA. Tłuszczem z końskiego pępka —
smarować w nocy!

GARSENDA. Juści!
Można to czytać w książce króla Daneki,
pierwszego mistrza w sokołnictwie — wszystkie
są tam przepisy.

FRANCZESKA. Idź-że,
idź, Adonello,
do sokołnika, powiedz mu, co zaszło,
i niech przywabi go z powrotem; powiedz,
by go poszukał za wszelaką cenę.
Zapewne siedzi gdzieś na jakiejś wieży —
niech go poszuka za wszelaką cenę.

(ADONELLA rzuca robotę i wybiega.)

ALTICHIARA. Pewnieć, madonno, uleciał pościgiem
w ślad za piennemi jaskółkami.

ALDA. W morze
sączy się krew jaskółek!

BIANKOFIORE śpiewa pieśń taneczną.
„I znowu w dniach marcowych
wracacie, jaskółeczki,
z błękitnych krajów zamorskich...”

FRANCZESKA. Tak, tak, Biankofiore ~
śpiewajcie mi, śpiewajcie!
Cienkim zanućcie mi głosem
cicha, przecicha pieśń!
Rzućcie te igły precz,
pocznijcie śpiew...

(Towarzyszki wstają z gotowością i zwijają płaszczy.)

FRANCZESKA. Ty, Biankofiore,
pójdiesz po Simonetta.

BIANKOFIORE. Dobrze, madonno!

FRANCZESKA. Ty, Aldo, Biora
i Signorella zawołasz i Rossa ~
niechaj muzyczne przyniosą narzędzia
i nuty
i niech mi grają w komnacie.

ALDA. Madonno,
dobrze!

FRANCZESKA. A ty zaś pójdziesz po lekarza,
Altichiaro.

ALTICHIARA. Już idę, madonno!

FRANCZESKA. A ty, Garsendo,
jeśli napotkasz florenckiego kupca,
każ mu tu również się zjawić.

GARSENDA. Madonno,
pójdę go szukać.

FRANCZESKA. Chcę także
wianka fiołków —
wszakci to pierwszy dzień marca.

BIANKOFIORE. Mieć go będziecie i wielce nadobny.

FRANCZESKA. Więc idźcie z Bogiem.

Exeunt omnes.

SCENA DRUGA.

(FRANCZESKA zwraca się do niewolnicy, która dotychczas jeszcze patrzy
przez okno w niebo.)

FRANCZESKA. Smaragdi, nie wrócił?

NIEWOLNICA. Pani, nie wrócił.

Ale sokołnik chwyci go na pewno —
niech Wasza Miłość się nie martwi.

FRANCZESKA. Juścić się martwię. Pan Malatestino
będzie się sromał, że tak nie ustrzegłam
jego podarku. Dał mi — tak powiedział —
króla sokołów. I ja go straciłam!

NIEWOLNICA. Dżiki i do niczego
jest ptak, co tak daleko
ucieka z oczu ludzi.

FRANCZESKA. milczy przez chwilę, potem:
Bardzo się lękam.

NIEWOLNICA. Kogo się lęka Wasza Miłość? Kogo?

FRANCZESKA. Malatestina.

NIEWOLNICA. Zali
czujecie trwogę przed jego oślepiem
okiem?

FRANCZESKA. Nie! trwogę czuję przed tem drugim,
na które widzi. Jest straszne!

NIEWOLNICA. Madonno!
sprawcie, by was już nie ujrzał.

FRANCZESKA. Jakie ty wino dałaś mi, Smaragdii,

na wieży Mastra, wówczas, kiedy miasto
za broń chwyciło? Był-że li ten trunek
zaczarowany?

NIEWOLNICA. Co chce Wasza Miłość?

FRANCZESKA. Niesamowity jakiś napój; jadem
wciskał się w żyły tych, którzy go pili
i dola moja sroga!

NIEWOLNICA. Cóż to za smutek, pani,
Tak cię ogarnia? Choć nie wróci sokół,
wróciło k'tobie słońce,
które twa dusza tak kocha.

FRANCZESKA pobiadła, z niepohamowanym gniewem.

Nikczemna!

Jak śmiesz tak mówić! Jakże śmiesz! Więc zdradę
knujesz przeciwko mnie i ty?... Przekłeta
niech będzie chwila, gdyś mi go przywiodła
na fałsz i kłamstwo!

Któż to ku śmierci torował mi drogę?
Ty! ty! nikt inny! Nie ja-ć zostawiłam
te trzy kielichy goryczy;
tyś mi je przedtem podała i dotąd
co dnia mi trunek lejesz z nich, bez żalu.

(Niewolnica rzuca się na posadzkę.)

NIEWOLNICA. Zdeptaj mnie! zdeptaj! Między dwa kamienie
włóż głowę mą i zmiażdż!

FRANCZESKA snać uspokojona.

Wstań, ty nieszczęsna! Nie w tobie jest wina,
nie w tobie wina, Smaragdi!

Niespodziewanie wyszłaś naprzeciwko
mojej rozkoszy, jak duch mego serca.

I twoje oczy obsiadła ślepotą!

I moc tasama zaślepiła również
bezprawie ojca mego. Bezradni
wszyscy staliśmy wraz i beznadziejni,
biedni i nieświadomi,

na brzegu jakowejś rzeki,

a zaśię wszyscy niewinni —

na brzegu rwącej, rozszalałej rzeki.

Ja sama ją przebyłam,

nie oglądając się na was,

i jestem na drugim jej brzegu.

I oto

jesteśmy rozłączeni

ach! i już nic nas połączyć nie zdoła!

Teraz ja mówię do was:

Nie mogę! A wy mówicie:

Powracaj! wracaj!

Ja-ć mówię wam: nie umiem!

(Ostatnie wyrazy wymawia niemal jak kadencję Kantileny; potem śmieje się śmiechem suchym i gorzkim, jak gdyby naraz straciła zmysły. Przeraża się dźwiękiem własnego śmiechu, podczas tego niewolnica powstaje z ziemi.)

FRANCZESKA. Trzymajcie się zmysły!

Nie odbiegajcie mnie!

W czyjej ja władzy? W władzy złego ducha?

W mem sercu się zaśmiał
szatan! Słyszałaś?

Już się nie umiem modlić, już nie umiem!

NIEWOLNICA głosem stłumionym. Mam go tu przywieść?

FRANCZESKA.

Kogo?

(Ogląda się naokoło przerażona; wzrok jej zwraca się ku nieruchomej portyerze. Przestraszyć więzi jej piersi i głos jej dławí w gardle.)

FRANCZESKA. Pan Giovanni siadł na koń — widziałaś?

NIEWOLNICA. Tak, Wasza Miłość, wyjechał ze starym,
ze starym panem Malatestą. Mają
być u biskupa przy jakiejś ugodzie —
jako świadkowie. W tej chwili mijają
Santarkandżelo.

FRANCZESKA tajemniczo. O, czujna
jesteś, Smaragdi, czujna! Wszystko widzisz
i wszystko słyszysz i zawsze wiesz wszystko,
cokolwiek stać się może...

NIEWOLNICA.

Wasza Miłość

niech się nie lęka — niechaj śpi spokojnie!

Obym ja mogła tak cię uszczęśliwić,
jak ten kosztowny kamień, od którego
noszę nazwisko!

FRANCZESKA. A wiesz, gdzie jest teraz
Malatestino?

NIEWOLNICA. Tak! ojciec go wysłał
do Ronkofreddo z trzydziestu jeźdźcami.

FRANCZESKA. Ja go się lękam... Osłaniaj mnie przed nim!

NIEWOLNICA. Dlaczego, pani? Wszakże, gdy był chory,
mieliście nad nim pieczę dniem i nocą,
jak siostra.

FRANCZESKA. Siostra — wyraz ten zatruwa
usta. Gdzie jesteś, gdzie Samarytano?
I gdzież to płynie ten twój strumień świeży,
który mej duszy, ginącej z pragnienia,
już nie ochłodzi? Widzę wokół, w mrokach,
mnogo straszliwych ocz, zwróconych we mnie,
ocz dzikich zwierząt, gotowych się rzucić
na mnie i potem szarpać się wzajemnie
i żreć o zdobycz!
A przecież mają krew jednaką w żyłach,
są braćmi!
Jedna ich wszystkich urodziła matka.
Cóż to za smutna spadła na mnie klątwa?
I któż to rzucił mi ten grzech śmiertelny
na drogę życia mojego? O, powiedz,
ty kreaturo ziemską, co korzenie
zioł jadowitych wykopujesz — powiedz,

skądże się wzięła ta zbrodnia
przeciw naturze? Tyś mnie
twardej uczyła pieśni:
„Jeżeli znajdę trzy, to trzy zabiorę!
A teraz szatan porwał trzy odrazu
i mnie wraz z niemi.“

NIEWOLNICA. Nie wzywaj imienia zła!
Niechaj ci będzie przebaczone, pani,
na ciele i duszy twej!
Sama się oszukujesz!
Mrok jest dla ciebie zwierciadłem, gdzie własne
widzisz płonące oczy.
Nie wzywaj losów wrogich
na swoją głowę! Niech cię Bóg tak strzeże,
jak strzedz cię będę ja, twa niewolnica.

FRANCZESKA. Niema już dla mnie ucieczki! Tyś rzekła —
mrok jest zwierciadłem mojem... I sam Pan Bóg
pragnie mnie zgubić. Noce
i dnie siedziałam przy chorym, ażeby
ponieść pokutę za me błędne myśli.
Śród modłów
dotykałam się rany;
modłami wrażę zmywałam nieczystość
i dusza moja sądziła, że łaskę
i poratunek znajdzie w samej grozie;
a wtem dostrzegła oną chuć zwierzęcą,

rozpłomienioną w zbyt gwałtownych żyłach.

Czy ty rozumiesz? Kiedy się zamknęła
ta straszna rana popod jego skronią,
rychło mu w piersi rozwarła się druga.

I moje myśli błędne,
me rozpaczliwe myśli były dla mnie
daleko bardziej zbrodnicze, daleko
czarniejszym nasiąkłe jadem.

I na tym bólu ciążyło me ciało,
jak płaszcz nieznośny;

już mi na zawsze wygnano
rozkosze wiosny i snu; skamieniało
nawet oblicze miłości —

z strachu — nienawiść zasię i tęsknica
poczęły błądzić wśród ciemności świata,
ku dziełom śmierci jęły się zataczać,
jak kaci,

oszołomieni winem

i rozwściekieni, mordujący wzajem
jeden drugiego.

NIEWOLNICA głosem stłumionym. Nie rozpaczaj, pani!

Słuchaj! posłuchaj! Umieję

los ja zgotować temu, co cię taką
napełnia trwogą. Znam-ci ja też napój,
który odbiera zmysły i zabija
pamięć. Gdy z siodła zeskoczy, strudzony,

ty mu go lewą ręką
podasz — ja ciebie nauczę zaklęcia.

FRANCZESKA. Gdy tak pomaga, daj-że mnie ten napój,
ja go wypiję, ja ciebie
chcę wyswobodzić. Tu niema już dla mnie
ratunku. Sen mi wytłomacz,
jawiący mi się co nocy.

NIEWOLNICA. Niech Twoja Miłość powie —
ja ci go wytłomaczę.

FRANCZESKA. Dzięki co nocy widzę harcowanie,
które już widział Nastadzio z Onesti
w piniowych lasach Rawenny, jak o tem
słyszałam kiedyś z ust Bannina, idąc
na chiassyńskie wybrzeże... Wyraźnie,
jakby na jawie to widzę: Jakowaś
naga niewiasta, z rozwianemi włosy,
przebiega puszcę, pokłuta cierniami
i błagająca litości;
za nią dwa psy ogromne
pędzą w pościgu, pragnący ją pożreć;
w ślad jej na czarnym rumaku
mknie jakiś ciemny rycerz o kościstej,
żylastej twarzy i, miecz dzierżąc w ręku,
grozi jej śmiercią w przeraźliwych słowach.
I wnet się psy te wgryzły
w uda tej nagiej dziewczki

i zatrzymały ją w miejscu.
Rycerz zeskoczył z konia
i z strasznym mieczem w ręku,
natarł na białogłową,
która, trzymana przez dwa psy ogromne,
na klęczkach błaga litości.
A owy rycerz całą swoją siłą
piersi jej przebił na wylot; i ona
na wznak upadła, płacząc.
Potem ów rycerz wraz się noża imię,
plecy jej rozpołowi
i serce wydrze ze wszystkim,
co jest naokół niego,
i psom je rzuci zgłodniałym,
które odrazu to pożrą.
Ale za chwilę, jak gdyby
nie była nigdy umarła,
znowu powstanie ona-ć białogłowa
i znów bolesną poczyną ucieczkę
ku stronie morza. A za nią
gonią psy krwawe i rycerz
na czarnym pędzi rumaku
z dobytym mieczem w ręku,
z ustami pełnemi gróźb.
Taki sen mówiam — wyłóż go, Smaragdi.

(NIEWOLNICA przysłuchiwała się z wyrazem przerażenia.)

Zali się boisz?

SCENA TRZECIA.

Wchodzi GARSENDĄ z KUPCEM, za którym postępuje służący z parkunkiem.

GARSENDĄ wesoło. Madonno, kupiec się zjawił i suknie przyniósł ze sobą. Czy mu Wasza Miłość pozwala wejść do komnaty? Florentczyk, który tu przybył wczoraj razem z świtą Pana Paola.

(FRANCZESKA naraz poczerwieniała, otrząsa się z ponurych myśli i zdaje się, jak gdyby gwałtem chciała zapomnieć o śmiertelnym przestachu, ale swobodzie i lekkości jej towarzyszy mimo to pewien rodzaj przygnębiającej surowości.)

FRANCZESKA. Wejdźcie, prosimy; nowej nam potrzeba odzieży na czas ten nowy.
Wejdźcie, prosimy; pragnęłabym sukni hermezynowej, wzorzystej, stoma błyszczącej barwami, któraby blask swój zmieniała za każdą fałdą — o moja Smaragdi, pragnę mieć suknię wesela!

(KUPIEC kłania się uniżenie.)

Zacny mój kupcze, czem mnie poczęstujesz?

KUPIEC. O wielkomożna pani! Mam-ci wszystko, co zadowoli Waszą Wielkomożność:

Mam lekkie gazy, mam i brokatele,
wypukłowzore, w haft na hafcie tkane,
karmazyny, adamaszki,
aksamity, kameloty,
grozagrany, etaminy,
zdobne w szyszki albo ptaszki,
barchany i atłasy,
sycylijskie katalofy,
piękne futra z Neapolu,
altembasy i tiufenie,
tafty srebrem, złotem tkane —
wzór falisty — sukna z Lukki,
sukna z Osty, z Dondiscaste,
z Bruggi, Tournai, z Terramondy,
z Mostavolieri w Normandyi;
Mam jedwabie z miasta Como
i mieniające się kitajki,
tkane w drzewka, oka, ząbki,
w szachownice, w centki, w ości,
mam welwety różnowzore,
w jeden, we dwa, we trzy włosy...

(GARSENDA wybucha śmiechem.)

FRANCZESKA. Dosyć! już dosyć! A czy masz w Rimini
składnię dla tylu towarów?

KUPIEC. Ja jestem
Giotto di Bernarduccio Boninsegni,

faktor kompanii Piera di Nicolaio
z Oricollari, który ponad tysiąc
sztuk przeróżnego towaru ma w śpichrzach
i w Kalimali i w Kalimaruzzy
i swych faktorów wysyła na zachód
aż do Islandyi i na Wschód daleki
aż do Cattaio, wielkomożna pani!

(GARSENDĄ się śmieje. KUPIEC podnosi się i przygląda się jej.)

GARSENDĄ. Pewnieś niejeden złoty
rzucił któremuś z hołoty —
Księdzu Gianni lub Psu z Babilonu.

(KUPIEC rozkłada tłumok z sukniami u stóp Franceski, leżącej na wez-
głowiu, i pokazuje jej materye.)

KUPIEC. Udajemy się aż w warmijskie ziemie,
po sobole, gronostaje,
po kuny i po wilczury
i różne inne futra —
zaś wełnę skupujem w klasztorach
angielskich i w Chinach dalekich,
hen, w Crocostranie, Isticchi, Bilgnassi,
Díolacresca, Giutebbi, Bufeltro
w hrabstwie Kornwalskiem.

GARSENDĄ śmiejąc się. Zatem króla Marka
na własne oczy widziałeś w Kornwalii,
i złotowłosa Izolda u ciebie

kupiła sztukę jasnego brokatu ~
niema wątpienia ~ alboś jej w tłumoku
przyniośł do komnat samego Tristana.

KUPIEC. Ponoć w Romanił wolno chwytac ptaki ~
jeno że gil juź het jest poza rzeką,
a zaś gilowa właśnie Pad przebyła.

GARSENDa. Strzała florencka i lombardzka
to strzała jest bękarcka ~
ni ziębi mnie ni parzy ~
znać mi się jej nie zdarzy.

FRANCZESKA przeglądając suknie.
Piękny ten brokat w złote granaciki ~
A w jaki sposób przybyłeś, Giotto,
tu do Rimini?

KUPIEC. Wielkomożna pani!
Pełne jest przygód życie
każdego kupca. Przeto
korzystać musi z każdej chwili.
I mnie szczęśliwie tak się wydarzyło,
że mogłem bezpiecznie odbyć
tę moją podróż w świecie
pana Paola. Pewnie-ć
nasze koniska tak dalekiej drogi
nigdy w tak szybkim nie odbędą czasie.

Z panem Paolo rzadko się spoczywa ~
dzień każdy wielce jest długi ~ o długi!

(FRANCZESKA zdaje się spokojnie przeglądać materye, ale w jej oczach mimowolny zjawia się uśmiech. GARSENDĄ w kłęzącej postawie wybiera najpiękniejsze suknie.)

FRANCZESKA. Tak jechaliście szybko?

KUPIEC.

A jakże;

mogę powiedzieć: całkiem bez spoczynku,
wolno puściwszy uździenice. Rzeki
przebywaliśmy w bród, nieczekający,
aż opadnie woda. Pan Paolo
tak się zaś spieszył,
tak ostrogami spinał
swego rumaka, że zawsze przed nami
był całą milę. Zda mi się, że ważne
ma tutaj sprawy. Wziął urlop od miasta
i niby wrócić ma we dwa miesiące
albo też małego więcej
od chwili, gdy objął swój urząd.
Mogę powiedzieć, całe miasto w wielkim
zostawił bolu, bo już w Florencyi
żaden godniejszy rycerz
nie był, powiadam, naczelnikiem ludu.

FRANCZESKA. Wezmę ten brokat.

KUPIEC.

Tak, Wasza Wielmożność.

A Bernardino della Porta z Parmy,
wybrany w jego miejsce,
nie godzien ani włoska
z pana Paola głowy.

FRANCZESKA. Wezmę również
i ten aksamit.

KUPIEC. A tę kitajkę, przetykaną złotem...?

FRANCZESKA. I owszem... owszem... Wielceć mi do gustu.
A czy to prawda, że wy Florentczycy
wciąż świątkujecie? Że u was dzień po dniu
uroczystości, biesiady i tańce?

KUPIEC. Prawda, madonno, wesoła to ziemia,
pełna uciechy
ta ziemia florencka.
Wszak kwiatem kwiatów jest nasza Florencya!

FRANCZESKA. Wezmę tę srebrem przetykaną taftę.
A pan naczelnik rad bywał widziany
śród pań? rycerzy?

KUPIEC. Owszem ~ towarzystwa
wszystkie się ubiegały,
by go zapraszać do siebie,
iż jest wielce dworny i wymowny,
ale, o ile mam wieści,
lubi samotność, był też nieco dumny,

tak widywano go rzadko
u biesiadnego stołu. W karnawale ~
wiem to od pana Betto dei Rossi ~
na drugim brzegu Arna, w okolicy
Santa Felicita, wżdyć z jakie tysiąc
zeszło się osób, wszyscy w białych sukniach ~
i ci pragnęli mieć pana Paola
królem miłości,
lecz on się na to nie zgodził.

FRANCZESKA. O, wezmę
i ten mieniący się karmazyn ~ śliczny,
i adamaszek ten w główki... Mówiłeś,
mój ty Giotto ~ ~ ~

(GARSENDĄ zbiera wybrane materye i odkłada je na stronę, potrzymawszy je poprzednio pod słońce, aby zobaczyć, jak się mienia.)

KUPIEC. Widziałem go często
razem z Gwidonem z panów Cavalcantich
dei Cavalcanti, który jest podobno
najznakomitszym logikiem na świecie
i największym
naturalistą-filozofem,
co w grobach szuka dowodów,
że Boga niema.

FRANCZESKA. Garsenda ~
tobie wybrałam aksamit
fioletowy...

GARSEDA. O dzięki, madonno!
Bardzo się czuję szczęśliwą.

KUPIEC. Przemiły fiolet,
subtelny w barwie jak — — —

FRANCZESKA. A ty Smaragdí?
Coś mówił, Giotto?

KUPIEC. Widziałem go nieraz
z dobrymi muzykanty —
głównie z muzykiem Casellą z Pistoí,
który jest mistrzem w układaniu pieśni
miłosnych...

FRANCZESKA. Tobie, Smaragdí, ten jedwab
brunatnozielonawy.
Dam-ci też nowe suknie Altichiarze
i Biankofiorze...

KUPIEC. Kolor
ten najmodniejszy, zwie się
kolorem „sroczki morskiej“, nadzwyczajny,
w złociste winogrona; dziesięć łokci
wzięła odemnie zeszłego tygodnia
madonna Guiglia degli Adimari.
A to we wzorki gęsie i w kapłonie
nóżki i w ucha niedźwiedzie i w pióra

aniołów i w gołąbki,
w kosańce ~ ~ ~ nowe kolory...

FRANCZESKA zrywając się, jak gdyby dusza jej nagle uleciała w dal.
Zostaw to tutaj, obejrzę je sobie
później, w spokoju...

(Wychyla się oknem ku jaśniejącemu morzu i patrzy, ręką przesłoniwszy oczy.)

Silne jest to słońce
marcowe, silne i szalone!
Łódź jakaś płynie z żaglem purpurowym...
stada jaskółek powracają do nas.

GARSENDA do kupca. Długo tu jeszcze zabawisz w Rimini?

KUPIEC. Trzy dni. A potem udaję się w podróż
aż do Barletty, a stamtąd popłynę
do Cypru...

(Niewolnica drgnęła, usłyszawszy imię swej ojczyzny.)

GARSENDA. Słyszysz, słyszysz,
Smaragdi?

SMARAGDI zaciekawiona. Kupcze, do Cypru popłyniesz?

KUPIEC. Udaję tam się co roku. Spólników
oraz składownię mamy w Famagoście.
Krocie tysięcy bierzemy co roku
za towar... Z Cypru jesteś?

SMARAGDI.

Racz odemnie

pozdrawić piękną górę Chionodes,
co ma na szczycie śniegi, a na stokach
gaje oliwne. Z Mitryjskiego źródła
napij się wody za me serce!

FRANCZESKA odwracając się. Na wyspę Cypr popłynę,
w Limissie do portu zawinę,
za pocałunek wysiedą żeglarze,
a sternik przedsię za miłość.

(Słychać wesołe narzędzi muzycznych przegrywki. FRANCZESKA zwraca się z ociężałą miękkością ku łożu, jak gdyby chciała spocząć.)

NIEWOLNICA. A któż tam królem? Czy jeszcze Ughetto?

KUPIEC. Ughetto umarł bardzo młodo. Krewniak
jego króluje, Hugo z Lusignanu.
I ukazały
wielkie się zbrodnie,
zdrady baronów, niewiast trucicielstwa,
przyszły szarańcze,
trzęsienia ziemi
i demoniacka zjawiła się Wenus.

(Ku drzwiom zbliża się granie, śmiechy i głosy. FRANCZESKA, zerwawszy się z łoża, staje pomiędzy dwiema zasłonami.)

SCENA CZWARTA.

Do komnaty wpadają wszystkie białogłowy z wyjątkiem Adonelli; za niemi
LEKARZ, ASTROLOG, GRAJEK GIAN FIGO i inni muzykanci, którzy

natychmiast zaczynają stroić swe narzędzia i na rozmaity intonować sposób. Lekarz ma na sobie długą aż po kostki suknię barwy ciemnopurpurowej; astrolog ubrany jest w płaszcz brunatny z odcieniem zielonawym i w czarny turban w żółte pręgi; GIAN FIGO zjawia się w kubraku szkarłatnym. Muzykanci wstępują na chórek i wybierają miejsca.

ALTICHIARA. Oto, madonno, maestro Almodoro!

ALDA. Wraz z nim, madonno, idzie i astrolog.

BIANKOFIORE. Jest i Gian Figo, trefniś, który pewne na melancholię ma lekarstwo:
powiastki, dykteryjki, proszki i przeróżne
wesołe krotochwile!

ALDA. Przybyli też grajkwie,
ażeby zagrać do tańca,
na flecie i piszczałce,
na lutni i monokordzie.

(FRANCZESKA stoi pomiędzy kotarami i patrzy przed siebie zadumana,
bez uśmiechu, milcząca.)

BIANKOFIORE wysunawszy się naprzód. A oto i wieniec
z fiołków.

(Z wdziękiem podaje wieniec z fiołków.)

Umie on rozwiać wszelką melancholię.

GARSENDA. O mistrzu Almodorze,
w twym płaszczu kryje się Gallenus
i Hippokrates razem z Awicenną —
co to jest melancholia?

LEKARZ podchodzi ku środkowi i uroczystą przybiera minę.

Melancholia

to coś z wilgoci, którą wielu zowie
czarną wątrobą; jest sucha,
natury ziemnej
i jesiennej. Nec dubium est quidam
melancholicus morbus
ab importore Diabolo.

(GIAN FIGO staje przed nim i zakrywa go całkiem szerokością swej postaci. Damy i grajkwie szepczą pomiędzy sobą i chichocą.)

GIAN FIGO. Gdy się twój dyabeł rodził,
to mój już dyabeł koło stołków biegał.
Melancholia, madonno,
znaczy: tak pić, jak Niemcy,
wyłgiwać się, jak Greki,
a, jak Francuzi, śpiewać,
tańcować, jak murzyni,
sypiać, jak Anglićzanie,
i tak się trzymać na nogach,
jak linoskoczek, messer Ferragunze.
Dostałem kiedyś od Waszej Miłości
dwie sztuki zanego szkarłatu;
lecz nowy kubrak przemienił się w stary;
czy Wasza Miłość nie posiada,
jeżeli łaska, dwóch sztuk aksamitu?

(Damy się śmieją. Gian Figo zerka ku towarom, poustawianym przy łożu.)

GARSEDA. Oto astronom! Teraz mówić będzie
wielki astronom syryjski,
który wie wszystko!

(Brodaty astrolog przybiera minę ponurą i mówi głosem, idącym jak gdyby
z ciasnego grobu.)

ASTROLOG. Nie każdy strzałę widzi, kto ma oczy,
lecz kto, nie widząc, zoczy,
ten ją wyciągnie stąd, skąd życie kroczy.

GIAN FIGO. Kpię z twojej mowy proroczej.

FRANCZESKA marszczy brwi i pochyla się ku Saracenowi.
Cóż ma oznaczać, mistrzu Izaaku,
twoja zagadka? Powiedz!

ASTROLOG. Kto spojrzy w wnętrze, ten, pani,
nic nie увидzi, chyba że chce widzieć.

GIAN FIGO. A zaś Friulczyk mówi:

Ten, kto pożąda damy, żąda pana,
a kto pożąda pana, ten jest filut!

A zaś Madama

Mogias z Egiptu w swej księdze,
co się nazywa: „Jak zdobywać serce“,
pisze, iż każda niewiasta
ma siedemnastu wrogów.

(Wchodzi ADONELLA, niosąca pięć narcyzowych wieńców, zawieszonych
na złocistym drucie.)

ADONELLA. Sokołnik przyniósł sokoła, madonno;
ma kilka piórek złamanych
i wyskubanych. Ciepłą
leczy go teraz wodą i bawełną.

ASTROLOG. Dziób sokołowi przeciąć, to zła rada;
lecz czasem dobrze się składa
stępieć mu szpony, gdy puch mu wypada.

FRANCZESKA. I znowu, mistrzu Izaaku,
przemawiasz zagadkami?

ASTROLOG. Nie każdy mówi, kto mówi; lecz śnicie
wzdyć jest milczeniem; bole chowa życie,
a zasię prawda w wróżbie ma ukrycie.

GIAN FIGO. Znakomicie!
Requiescat in pace. Amen. Dajcie
tutaj katafalk!
O saraceński Izaaku!
Największym jesteś z astronomów!
I w wróżbach jesteś biegły —
lecz powinienes dać mi wyjaśnienie —
powiedz: co łatwiej wiedzieć człowiekowi,
to, co minęło,
czy to, co przyjść ma? — odpowiedz!

ASTROLOG. Któżby, przegłupi człeku, nie znał tego,
co na swe widział oczy?

GIAN FIGO. Ano-ć ujrzymy, czy ty znasz to wszystko.
Powiedz mi zatem, coś robił
pierwszego marca przed rokiem?

(ASTROLOG się namyśla.)

GIAN FIGO. Albo mi powiedz, coś robił
przed sześciu miesiącami?

(ASTROLOG się namyśla. Damy się śmieją.)

GIAN FIGO mówi ogromnie szybko. Krótka i węzłowato:
jaka pogoda była przed kwartałem?

(MISTRZ IZAAK namyśla się, stojąc jak wryty. GIAN FIGO chwyta
go za kaftan.)

GIAN FIGO. Mój Izaaku!

Nie stój jak w zachwyceniu, z błędnym wzrokiem.
Trzymaj się ostro. Jaki statek
przybył do portu, a jaki odpłynął
dzisiaj przed miesiącem? Co wytrzeszczasz oczy?
Przed dwoma tygodniami
gdzieś obiadował? powiedz!
W domu czy poza miastem?

ASTROLOG. Poczekaj chwilę.

GIAN FIGO.

Poco? Nie chcę czekać.

No dalej — co robiłeś
o tej godzinie przed tygodniem?

ASTROLOG. Dajże mi wytchnąć trochę!

GIAN FIGO. Co? Mam dać wytchnąć tobie,
który znasz rzeczy przyszłe? A co jadłeś
pozaonegdaj?

ASTROLOG. Zaraz powiem.

GIAN FIGO. Jakie mi zaraz! gadaj!

ASTROLOG. Coś ci jest bardzo spieszno.

GIAN FIGO. Co znaczy: spieszno? Gadaj-że, co jadłeś
na obiad wczoraj? Odpowiedz!

(ASTROLOG pieni się ze złości i chce się od niego odwrócić. GIAN FIGO
trzyma go za kaftan.)

GIAN FIGO. Stać mi! popatrzeć mi w oczy!
Dziesięć na jeden zakładam się z tobą,
jako że nie wiesz, spisz-li czy też czuwasz?

ASTROLOG. Ja wiem, że nie śpię, i to wiem, że jesteś
najgłupszy z ludzi, jacy są na świecie.

GIAN FIGO. A ja ci mówię, że ty nie wiesz tego.
Chodź tu! Nie chowaj się za wiatr, wiejący
od Mongibello. Ponad tysiąc razy
przebiegłeś, mówię ci, schody
w dzwonnicy u Świętej Kolumby —
ile też mają one stopni? Chodź tu!

Nie wyrwiesz mi się! Częstoś jadł nespole —
ile też pestek jest w takim owocu?

(ASTROLOG, wściekły, uwalnia się wśród śmiechu otaczających, z rąk
Giana Figa.)

GIAN FIGO. A jeśli tego nie wiesz,
jakże się możesz znać na sprawach nieba
i na kobietach i na obcinaniu?
Do powroźnika idź, każ sobie z brody
ukręcić sznurek i powieś się, proszę,
na jednej z najbliższych gwiazd.

BIANKOFIORE. Madonna się zaśmiała!
Gian Figo sprawił, że uśmiech zawitał
u naszej pani. Idź, lekarzu miły,
do swego domu — idź razem z łaciną
i z swymi leki. Dziś pierwszego marca —
pieśń pragnie tańca, taniec pragnie pieśni.
Hej! Simonetto! zagraj!

(Grajkowie na trybunie zaczynają od przygrywki. Zebrani cofają się wstecz, aby miejsce zrobić dla tańca. Adonella zdejmuje wieniec narcyzowe z złoci-
stego pręta i rozdziela je pomiędzy towarzyszek, które się w nie stroją.
Dla siebie zatrzymuje wieniec, mający jako szczególną oznakę dwa skrzydła
jaskółcze. Alda wyjmuje z gniazdka cztery pomalowane jaskółki z drzewa,
umieszczone na krótkim trzonku i daje każdej z towarzyszek, które w po-
zyty tanecznej podnoszą je lewą ręką do góry. Tylko Adonella, mająca
wieniec z jaskółczymi skrzydłami, otrzymuje piszczałkę, naśladującą świergot
jaskółek w odlocie. A podczas, gdy tamte tańczą i śpiewają, ona, w pewnych
odstępach czasu, udaje, do rytmu, świergot, zwiastujący wiosnę.)

ALDA. W tym dniu pierwszego marca,
jaskółki, czeladzi boża,
powracające z za morza,
radosnej,
promiennej wiosny
najwcześniejsze gońce,
rozkosz i wonie
niesiecie i słońce!
W sukience czarnej i białej
znowuście zawitały
W naszym tanecznem gronie!
O czasie ty wspaniała,
o ty godzino wiosny!

ALTICHIARA. Przyszedł marzec końć rany,
luty już pierzchnął srogil
Rzuciłyśmy płaszcz futrzany,
wdziewamy jedwab drogi.
Na kwietnie biegniemy rozłogi,
gdzie rzeka się rozlewa,
gdzie się ku niej chylą drzewa
śpiewające ~
idziem bawić się na łące
z kochankami,
tam, gdzie stropy
lśnią niebieskie ponad nami,
tam, gdzie zioła
woń dokoła

leją słodką, bo je stopy
depce wesoła nagiemi,
rozmiłowana wiosna.

GARSEDA. Patrzajcie na postać ziemi ~

jak jest zmieniona, jak hoża!
By perła blaski jasnymi
lśni się oblicze morza,
skowronek wzleci w przestworza,
hen! w najgórniejsze niebiosy!
Brzmia już po gajach kosy
i dzika dłoń wichury
w swej mocy ponurej

zawzięta,

rozrzuca gniazdka im świeże...

Ptaszeta!

Jaskółki! wasz świergot szczęśliwy
jest jako dźwięk cięciwy,
a wasz ogonek jak pierze
łuku ~ o dziwy! ~
co trafia nas z ręki wiosny!

BIANKOFIORE. O ty gromadko wesoła!

Wraz z nami tańczyć dziś macie!

Pociechy naszego koła,
w białej i czarnej szacie!

W tej naszej strojnej komnacie
niech rozśpiewaną mocą

rozbrzmiewa dniem i nocą
wieść o Izoldzie, tym kwiecie
ziemi irlandzkiej. Bez troski,
rozradowane, w tych wiankach zwijecie
potem gniazdeczko, bo zasię
ta pani w rajskiej krasie,
ten cudny obraz boski,
to nie Franczeska, zda się,
to ~ ~ ~

(Tanecznice zwracają się nagłym ruchem ku Franczesce i; w jednym szeregu,
wyciągają ku niej dłoni z jaskółkami i, bez robienia przystanku wpadają
w ostatni wyraz stancy Białkofiory:)

WSZYSTKIE RAZEM. Wiosna!

(Przy słowach „Niech w naszej strojnej komnacie“ zjawia się we drzwiach
NIEWOLNICA. Podczas, gdy grajkowie ostatnie wydobywają dźwięki, ona
zbliża się cicho do swej pani i szepce jej coś do ucha, co ją odrazu wprawia
w niepokój.)

FRANCZESKA gwałtownie.

Biankofiore, Altichiara, Alda, Adonella,
Garsenda! Wielce wdzięczna
za ten wasz piękny taniec,
daję wam nowe suknie ~
oto je macie! bierzcie!

(Nachyla się nad rozrzuconemi materyami i rozdziela je pomiędzy oto-
czenie.)

Tobie! tobie! tobie!

(GRAJEK skrada się również ku niej.)

I tobie również! Bierz to,
mój Gian Figo i naucz się milczeć.
A to, Garsendo, może być dla grajków —
niech sobie świeże uszyją kapoty
w prążki czerwone i żółte.
Przynieś, kupcze,
dwie jeszcze piękne sztuki — mistrz Izaak
weźmie to sobie i mistrz Almodoro.
A teraz idźcie,
poprzez dziedziniec, śpiewający współ
pieśń o jaskółkach. Potem wrócisz, kupcze,
Garsenda cię zawoła.
Możesz zostawić towar.
Aż do wieczora bawcie się w dziedzińcu.
Ty, Adonella, prowadź ich! Żegnajcie!
Szczęśliwej wiosny wam życzę!

(Muzykanci zstępują z estrady i grając wychodzą. Gian Figo w podskokach za nimi. Reszta, skłoniwszy się Franczesce, wychodzi, z darowanemi materyami w ręku, w ślad za dźwiękami muzyki, wśród szeptów i śmiechu. NIEWOLNICA pozostała i składa porozrzucane materye. FRANCZESKA oddaje się wzruszeniu. Wzburzona przechadza się po komnacie. Nagłym ruchem zwraca się ku alelowi i zsuwa zasłony, które dotychczas rozwarłe pozwalały widzieć łóżnicę. Potem staje przy pulpicie i rzuca wzrokiem na otwartą księgę; odwróciwszy się nagle, podołkiem sukni strąca lutnię, która z dźwiękiem pada na ziemię. Wypadek ten napęnia ją przestraczem.)

FRANCZESKA. Nie! nie! Smaragdi! Idźże, idź i powiedz,
by nie przychodził.

(Słysząc oddalające się granie. Niewolnica rzuca swe zajęcie i zwraca się ku drzwiom.)

FRANCZESKA z ruchem, jak gdyby ją chciała zatrzymać.
Smaragd!

(NIEWOLNICA wychodzi. Po kilku chwilach jakaś ręka odchyła portyery.
Zjawia się PAOLO MALATESTA; drzwi zamykają się za nim.

SCENA PIĄTA.

Oboje w pierwszej chwili spoglądają na siebie, nie mogąc znaleźć słów; rumieniają się. Słysząc jeszcze oddalające się granie wewnątrz pałacu. Przez okno przelewa się do komnaty blask zachodzącego słońca.

FRANCZESKA. Witam was, panie mój szwagrze!

PAOLO. Oto przyszedłem, posłyszawszy granie,
by was powitać z powrotem.

FRANCZESKA. Powróciliście rychło — razem z pierwszą
jaskółką. Me towarzyszki
śpiewały piosnkę taneczną
na przywitanie marca. Był tu również
i pewien kupiec florencki, przyjechał
wraz z waszą świtą. On pierwszy mi przyniósł
wiadomość o was.

PAOLO. Zato o was dawno
Nie było wieści. Nic ja nie słyszałem
o was od chwili strasznego wieczoru,

gdyście mi dali owy puhar wina,
przy pożegnaniu, życząc mi szczęśliwej
chwili powrotu.

FRANCZESKA. Nie pomnę już tego.

Dużom się, panie, modliła.

PAOLO. Nie pamiętacie?

FRANCZESKA. Dużom się, dużom modliła.

PAOLO. Jam dużo cierpiał.

Jeżeli prawda, że ci, którzy cierpią,
przezwyćżają,
to jam powinien przezwyćżyć.

FRANCZESKA. Co?

PAOLO. Moją dołę, Franczesko.

FRANCZESKA. I wróciliście?

PAOLO. Chcę żyć.

FRANCZESKA. Nie umierać?

PAOLO. Czy pamiętacie, jak wzywałem śmierci,
co mnie nie chciała? Może to przynajmniej
jeszcze baczyście?

(FRANCZESKA zwraca się ku oknu, jak gdyby chciała niepowstrzymanej
ujść namiętności.)

FRANCZESKA. Paolo!

Dajcie mi spokój!

Słodko jest żyć w zapomnieniu —
przynajmniej chwilę, zdaleka od burzy,
która nas łamie.

Nie przywołujcie, proszę,
cienia tych czasów w tę światłość wiosenną,
która mi gasi pragnienie,
niby ten napój rzeźwiący,
kiedym przez cudny przechodziła strumień.

Teraz ja myśleć wolę,
że moja dusza uciekła
od tych wybrzeży, ażeby się schronić
tu, gdzie muzyka jest cichą nadzieją.

Wolę zapomnieć o złem,
któregom wczoraj doznała,
którego doznam jutro,
choć pragnę widzieć, by całe me życie
z jego wszystkimi żyłami,
z dniami wszystkimi

i ze wszystkimi odległymi sprawy
znalazło spokój choć na jedną chwilę,
by strumień

w głębinach morza,
które się do mnie uśmiecha,
jeśli nie ludzi mnie łza, co w mych oczach
drży, a zaś upaść nie zdoła.

Dziś już spokojne to morze,

wczoraj tak dziko wzburzone,
dzisiaj błyszczące jak perła.
Dajcie mi spokój.

PAOLO. Słyszę melodyę wiosny —
pieśń spływającą z waszych ust na świat ten,
który jadący słyszałem
w poświstach wiatru,
przy każdym skręcie, przy każdym zawrocie,
na szczytach wzgórz
i na skrajach lasów
i pośród szumu potoków,
gdy moja żądza,
skulona w siodło,
zdała się palić grzywą
rozszałałego rumaka;
gdy moja dusza,
niby wstrząsana pochodnią,
żyła-li szaleń
i kiedy wszystkie jej myśli,
z wyjątkiem jednej, tak! z wyjątkiem jednej,
gasły pozamną, jak popiół.

FRANCZESKA. Popiołem
są wasze słowa, Paolo, i niema
w nich miłosierdzia i dotychczas w dzikim
szaleństwie wiatru żyje wasza dusza
i wlecze za sobą

me przerażenie.

Błagam was, błagam,

dajcie mi spokój,

o ty mój piękny, słodki przyjacielu,

przynajmniej jedną tę chwilę,

bym mogła w sobie dawną uspić winę

ach! i zapomnieć o wszystkim

i patrzeć w wasze oblicze,

jak ongi, za pierwszym razem,

w oblicze nieznajomego.

Albowiem jednej tylko rosy pragnę

moje wyschnięte powieki —

mieć znów przed sobą cudowne zjawisko

tego pierwszego spojrzenia i znowu

czuć, że jej łaska powraca,

jak nieraz we śnie czuła, że się zbliża

jutrznia poranna —

czuć, że się dla niej kryje ukojenie

w cieni świeżego wieńca — — —

PAOLO. W tym fiołkowym wieńcu

widziałem was wczoraj na łące,

gdzie, wyprzedziwszy mą świtę,

spocząłem, żądny samotni.

Słyszałem tylko dzwonienie

rzędu mojego wierzchowca,

który się pał na murawie; widziałem

poprzez zagajnik wieżyce Maldoli.

Wami rozbrzmiewał
w blaskach poranku
wszystek świat wokrag. Widziałem was w fiołkach,
i z wargi waszej popłynęły słowa:
„wielce-ć przebaczam, boś wielce ukochał“.

FRANCZESKA. Tak, powiedziane były te wyrazy,
i wielka spłynęła z nich radość...

(Wzrok Paola błądzi po komnacie.)

FRANCZESKA. Nie rozpatrujcie się w rzeczach umarłych,
co się wydają radością,
a są-li wstydem i bolem.
Nie zwarzy ich jesień
i nie odświeży ich wiosna!
Patrzcie na morze, na morze,
które wraz z Bogiem dawało świadectwo
słowom wielkim, jaśniejącym
poza obrębem bitwy,
poza granicą dzikiego rozkrzyku,
a jeden z żagli płynął,
sam z swoją płynął dolą —
czyście widzieli? I wówczas
straszną przeszliśmy próbę.
Siądźcie przy oknie;
a nie uzbrojon, by mordować ludzi,
lecz bez srogości weźcie dziś, Paolo,

weźcie tę wiązkę
wasilkowego ziela.

(Wyrывa z wazonu krzew wasilkowego ziela i daje Paolowi, który zbli-
żając się do niej, potknął się o zawiasy drzwi zapadnych.)

FRANCZESKA. Potknęliście się o pierścieniec wrótni,
które do dolnej prowadzą komnaty.

(PAOLO nachyla się nieco, ażeby zobaczyć, o co się potknął.)

FRANCZESKA podając mu ziele.

Weźcie to ziele... Powąchajcie... Pachnie.

Zasadziła je Smaragdi w tej wazie
k'pamięci swego ojczystego Cypru,
a podlewając je, śpiewa:

„Tobie ja ścielę
to wasilkowe krzewie, —

śpij sobie na niem,
zrywaj, gdy zechcesz,
chłoń jego wonie

ach i pamiętaj o mnie!“

Ponoć w Florencyi każda z pań ma w oknie
kwiat wasilkowy: Czy to prawda? Może
opowiecie mi coś o waszem życiu?

Usiądźcie tutaj. Mówcie mi o sobie.

Jakeście żyli?

PAOLO. Dłaczego
mam znów odświeżać w sercu

nędzę mojego życia?
Bolem mi było i smutkiem
to, co dla innych bywało rozkoszą.
Bywałem w domu słynnego śpiewaka —
zwie się Casella —
gdzie się gromadzą znakomici męże —
między innymi Gwido Cavalcanti,
jeden z najpierwszych rycerzy, lubiący
przemawiać w rymach, i messer Brunetto,
uczony mowca,
który powrócił z Paryża,
i pewien młodzian
z Alighierich, nazywa się Dante.
Szczególnie drogim stał mi się ten młodzian,
bo pełen był myśli
i o miłości i bólu i cały płonął,
słyszający śpiewanie.
I nieraz
do mego serca, co zawsze zamknięte,
niespodziewana płynęła zeń rozkosz,
albowiem śpiew przeuroczy
sprawiał, że nieraz cicho się rozpłakał
i ja, to widząc, płakałem z nim razem.

(Oczy Franczeski napełniają się łzami, głos jej drży.)

FRANCZESKA. Co? płakaliście?

PAOLO.

Franczesko! Franczesko!

FRANCZESKA. Wyście płakali? Paolo, niech będzie
błogosławiony ten, co was nauczył
płakać! Paolo, o spokój dla niego
modlić się będę.
Znowu was widzę, słodki przyjacielu,
takim, jak ongi!
Łaska spłynęła na moje powieki.

(Jakby przemieniona z wielkiej radości, łagodnym ruchem zdejmuje wianek
z głowy i kładzie go na znajdującą się obok otwartą księgę.)

PAOLO. Dlaczego wianek zdejmujecie z głowy?

FRANCZESKA. Bom nie dostała go od was, jak wyście
dostali ongi odemnie
różę ze sarkofagu.
Uczułam,
że już fiołki nieświeże.

(PAOLO wstaje, zbliża się do pulpitu i dotyka się fiołków.)

PAOLO. Prawda. Pomnicie? Owego wieczora
w krwi skąpanego i ogniu, chcieliście
mieć w podarunku odemnie
jaki hełm piękny. Dałem wam z wybornej
wykuty stali.
A stał i złoto nie więdną, jak kwiaty.
Lecz wyście hełm ten wypuścili z ręki.
Czy pamiętacie?
Ja go podniosłem. I od tego czasu

we czci go miałem
niby królewską koronę.
Gdy wkładam go sobie na skronie,
czuję, jak we mnie wyrasta potęga
i jak w mej głowie żadna się nie rodzi
myśl, co niebyłaby z ognia.

(Nachyla się nad księgą.)

Jakież to słowa spotkały me oczy!
„I większe na was spłynęły bogactwa,
niżeli świata całego dziedzictwo.“
Cóż to za książka?

FRANCZESKA. Przedawna opowieść
o Lancelocie z Jeziora.

(FRANCZESKA wstaje i zbliża się do pulpitu.)

PAOLO. Jużście
ją przeczytali?

FRANCZESKA. Nie, doszłam w czytaniu
do tego miejsca.

PAOLO. Tu, do tego znaku?

(Czyta:)

„Nie chce niczego odemnie...“ Czytajcie
dalej.

FRANCZESKA. Spójrzycie na lśniące to morze!

PAOLO. Jedną, Franczesko, przeczytajcie stronę.

FRANCZESKA. Patrzcie, to stado jaskółek,
cień rzucające na to morze lśniste!

PAOLO. Czytajmy, Franczesko.

FRANCZESKA. I jak się żagiel ten pali,
jak gdyby w ogniu!

PAOLO czyta. „O zapewne, pani! —
rzekł Galeotto — on się nie ośmielił
i bojaźliwym będąc, żadnej od was
nie będzie żądał miłosnej przysługi,
ale ja błagam za niego, a choćbym
nawet nie błagał, to wybyście sama
z własnej musiała popołgować woli,
gdyż bogatszego nie znajdziecie skarbu.
A ona rzekła — — —“

(PAOLO bierze Franczeskę za rękę i lekko ją ciągnie ku sobie.)

Teraz wy czytajcie,
co mu odrzekła. Jesteście Ginewrą.
Czujecie, jak pachną
fiołki,
rzucone przez was? Czytajcie! czytajcie!

(Skronie ich zbliżają się ku sobie, nachyliłi się nad książką.)

FRANCZESKA czyta. A ona rzekła: Wiem-ci o tem dobrze
i tak uczynię, jak mi rozkażecie.

I Galeotto odpowiedział: dzięki!
Pragnę was prosić, abyście go swoją
obdarowali miłością“.

(Przerywa.)

PAOLO. Czytajcie dalej.

FRANCZESKA. Nie, już słów nie widzę.

PAOLO. Czytajcie dalej... „Zapewne...

FRANCZESKA. Zapewne

przyobiecuję wam i to — odpowie —;
tylko niech do mnie należy już cały,
tak jak ja cała należę do niego.
I niechaj będą wymazane wszystkie,
wszystkie przewiny...“ Dosyć już, Paolo.

PAOLO czyta głosem złamanym i drżącym.

„Dzięki wam, pani, dzięki — odpowiedział. —
Pocałujcie go teraz w moich oczach
na znak poczęcia prawdziwej miłości...“
Teraz, co rzekła ona — tak, co ona
odrzekła teraz — o, tutaj, w tem miejscu...

(Białe ich twarze tak się nachyliły nad książką, że ich policzki prawie
dotykają się wzajemnie.)

FRANCZESKA czyta.

— — odrzekła: przecz ja mam się dawać prosić,
gdy pragnę tego, jak i wy — —“

PAOLO czyta dalej głosem stłumionym. I zasię
odeszli na bok i ona-ć królowa
ujrzy rycerza, iże nic go więcej
już nie rozpala, prócz żądzy całunku. —
i wraz ująwszy go za brodę, długi
na uściech jego złożyła całunek.“

(PAOLO czyni tak samo z Franczeską i całuje ją. A gdy się usta ich roze-
szły, FRANCZESKA chwieje się na nogach i pada na łożę.)

PAOLO. Franczesko!

FRANCZESKA gasnącym głosem: Paolo!

ZASŁONA.

AKT CZWARTY

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia salę ośmioboczną o ścianach z szarego kamienia, z których pięć znajduje się wprost widowni. W górze głązy, ozdobione freskiem, przedstawiającym jednorożców w złotym polu. W głębi, w ścianie widać wielkie oszklone okno z widokiem na góry. W wnętrzu okna stoi krzesło. W drugiej ścianie, zbiegającej się z poprzednią pod kątem krzywym, widać, po prawej, drzwi żelazne, prowadzące do lochów. Pod ścianą przeciwną, po prawej, ławka z wysoką poręczą, przed nią długi a wąski stół z jedzeniem i winem. W dwóch następnych ścianach znajdują się drzwi; jedno z nich, po lewej, tuż przy stole, prowadzi do komnaty Franczeski; drzwi z prawej wychodzą na krużganek i schody. Naokoło ścian żelazne pocho-dnie. Na listwach pozawieszane kołczany, łuki, pasy i rozmaite gatunki broni; o ścianę oparte włócznie, oszczepy, dzidy, lance, topory, proce.

SCENA PIERWSZA.

FRANCZESKA siedzi w wnętrzu okna, przed nią stoi MALATESTINO.
JEDNOOKI.

FRANCZESKA. Oprawcą jesteś, tak, Malatestino.

Kołysek twoją wyciosano, widać,

z starego bloku toporem, co na nim
ściął był niejedną głowę.

MALATESTINO śmiejąc się kurczowo. Bratowo,
macie-li strach przedemną?
Bardziej do smaku jest wam ten, którego
miętka kołyska zawieszoną była
na łąku dźwięczącej lutni?

FRANCZESKA. Krwiożercze z ciebie chłopię,
wywierające zemstę na sokole.
Czemuś go zabił, chociaż był ci drogi?

MALATESTINO. Z sprawiedliwości!
Wypuściłem go na żórawie; ptak ten
wzbił się do góry; ponad nim
uleciał sokół i ujrzał pod sobą
młodego orła: rzucił się na niego
i tak go przybił do ziemi, tak przygniótł,
aż go i zdusił.
Myśląc, że żóraw, pobiegłem
i zobaczyłem orła.
Zamordowałem sokoła
za to, że zabił swego władcę.

FRANCZESKA. Jesteś szalony!

MALATESTINO. Ubił swego władcę —
więc sprawiedliwość się stała.

FRANCZESKA. Nie, to złośliwe
było szaleństwo, tak, Malatestino!

MALATESTINO. Szaleniec chodzi ze swoim szaleństwem
— trwa to czas jakiś, ale nie nazawsze.

FRANCZESKA. Czemuś tak dziwny?
Łakomy jesteś wszelkiej krwi i ciągle
czyhasz, każdemu wróg!
W każdym twem słowie
kryje się ciemna groźba.
Jak dziki zwierz, mordujący
ktokolwiek zbliży się k'tobie.
Skąd ty się wziąłeś? Matka
czyż nie karmiła cię mlekiem?
A jesteś takie chłopię!
Ledwie mech pierwszy widać ci na licu.

MALATESTINO z gwałtownym wybuchem.
Drażnisz mnie, bratowo!
Tak, myśl o tobie drażni ustawicznie
mojego ducha — tyś jest
przyczyną mojej złości!

(FRANCZESKA wstaje i chroni się w zagłębieniu okna, jak gdyby chciała
ujść zasadzki. Opiera się o ścianę, na której błyszczą poustawiane oszczepy.)

FRANCZESKA. Malatestino, strzeż się! brat twój przyjdzie!
Nie masz-li wstydu?

MALATESTINO postępując za nią. Jak łuk mnie naciągasz,
który na jedną godzinę
strzela po tysiąc razy
i trafia jak najdalej.
Strasзлиwa jest twa ręka,
władnąca moją mocą
i rzucająca ją przeciw wszystkiemu,
cokolwiek żywie; uciekam,
a ty mnie gonisz!
Jak mgła, tak mnie znienacka
otulasz w swoje kłęby,
gdziekolwiek jestem — w polu,
na drogach i wśród skał,
gdy ruszam na nieprzyjaciół.
Tobą oddycham w tumanach
burzy. Ten obłok, co z ziemi
wynosi się stratowanej,
twoją przybiera postać;
szalonem tętnisz życiem
i cała się rozwiewasz
pod kopytami zdyszanych rumaków,
śród śladów kopyt, napełnionych krwią!
Teraz cię mam już! mam już!

(FRANCZESKA cofa się wzdłuż ścian i dochodzi do żelaznych drzwi, ku
którym obraca się tyłem.)

FRANCZESKA. Nie tykać mi się, szaleńcze, lub zaraz
zawołam brata! Odejdź!... Mam nad tobą

litość! Pacholę jesteś!
Odejdź, jeżeli nie chcesz,
by cię ukarał.
Zepsute jesteś chłopię!

MALATESTINO. Kogo chcesz wołać?

FRANCZESKA. Brata!

MALATESTINO. Którego?

(FRANCZESKA drży, usłyszawszy jęki, wydobywające się z lochów przez
drzwi, o które się była oparła.)

FRANCZESKA. Któż to tam jęczy? Słyszałeś?

MALATESTINO. Ktoś, co ma umrzeć.

FRANCZESKA. Montagna
dei Parcitadi.

(Ponowny jęk dobywa się z podziemi.)

MALATESTINO. I ja ci mówię: strzeż się!

Strzeż się, Franczesko! Dziś jeszcze
wypowiesz wyrok na siebie.

FRANCZESKA. Nie mogę słuchać; jęczy, co noc jęczy —
jak wilk, tak wyje — —

Do mej komnaty jęk się ten przedziera.

Coś mu uczynił?

Czyś wziąć go kazał na tortury?

MALATESTINO. Posłuchaj! Giovanni
jedzie wieczorem na swą podesteryę
w Pesaro: widzę, żeś mu w drogę
przygotowała jedzenie.

(Wskazuje na stół.)

Posłuchaj —
ja mogę dać mu strawę nieco lepszą.

FRANCZESKA. Co ty zamierzasz?

MALATESTINO. Racz popatrzeć na mnie —
i jednym okiem widzę bardzo dobrze.

FRANCZESKA. Co ty zamierzasz? Grozisz mi? Lub knujesz
zdradę przeciwko rodzonemu bratu?

MALATESTINO. Zdradę! Myślałem,
moja bratowo, że wargi twe spłoną
na taki wyraz, lecz widzę,
że są nietknięte, a tylko
nieco pobladłe... Snać mój sąd był mylny.
Mówiłem nieprzytomnie —
ale raz jeszcze powiadam...

(Słysząc ponowny jęk z więzienia.)

FRANCZESKA drżąc z przestachu. Jak jęczy!
Ach! jak on jęczy? Któż go tak katuje?
Jakaś ty nową
wymyślił dla niego mękę?

Czyś замуrował go żywcem? Czyż będzie
jęczał tak całe życie?
Idź! niech przestanie coprędziej!
Uwolnij go z tych tortur!
Nie mogę już słuchać tych jęków!

MALATESTINO. Idę, już idę! Sprawię, byście mieli
tę jedną noc spokojną,
sen jak najgłębszy, bez strachu —
albowiem sama spać będziecie w noc tę,
gdyż Giovanni udaje się w drogę,
dziś, do Pesaro.

(Podchodzi ku ścianie i z pośród broni wybiera sobie topór.)

FRANCZESKA. Co zamierzasz czynić?

MALATESTINO. Uczynię kata ze siebie,
stosownie do waszej woli,
moja bratowo!

(Bada ostrze topora, otwiera potem żelazne drzwi, poprzez które głęboką
widać ciemnię.)

FRANCZESKA. Czy może
idziesz mordować? Zbyt długo
czekałeś na to, oprawco!
Od tego wieczora,
gdym opatrzyła cię sama,
a ty szalałeś przeciw rodzonemu
ojcu! Dziś jeszcze słyszę cię! Wszak gryzłeś

rękę, co niosła-ć lekarstwo, co ciebie
pielęgnowała, gdyś był chory, rękę,
co ci koła ból! A! niech przeklęta
będzie ta chwila, gdym się nachyliła
nad twem posłaniem, aby cię pocieszyć.

MALATESTINO. Franczesko! Franczesko!

Słuchaj! jak pewną
śmierć jest w tem ostrzu broni, którą teraz
trzymam w mym ręku, tak pewnem jest życie
w tem słowie, które dziś jeszcze
mogłabyś wypowiedzieć —
życie o żyłach, pełnych krwi — czy słyszysz? —
życie z wichurą i z dniami zwycięstwa.

(FRANCZESKA odpowiada powoli, głosem spokojnym, jak gdyby odrazu
wolna od lęku i przerażenia.)

FRANCZESKA. Jakież to słowo? I któż wypowiedzieć

mógłby to słowo?
Wszak-ci ty żyjesz krzykiem,
kiedy ja żyję-li ciszą! Ten więzień
nie tak daleki i samotny,
jak ty samotnym jesteś i dalekim,
biedny oprawco, pijany razami,
które zadajesz, i jękiem.
Los zawsze jest milczący.

MALATESTINO. Ach! gdybyś mogła popatrzeć w oblicze

losu, co zawisł nad człekiem!
Wewnątrz mej głowy zwija się kłęb myśli —
nagromadzone gromy,
które uderzyć mają. —
Słuchaj! o słuchaj! oby twoja ręka
raz jeszcze dotknęła mojej!
Obym mógł widzieć tve włosy
raz jeszcze nachylone
nad mą gorączką, i — — —

(Słysząc przeciągły jęk w podziemiu.)

FRANCZESKA.

Strasznie!

Strasznie!

(Cofa się w głąb okna, siada z łokciami, wspartymi na kolanach, głowę ukrywszy w dłońiach.)

MALATESTINO chytrze. To na was spadnie!

(Wyciąga pochodnię z obręczy, kładzie topór na ziemię, bierze krzesiwo, dobywa ognia, zapala pochodnię, mówiąc:)

Idę! już więcej słyszeć nie będziecie.

Chcę, byście mieli

nockę spokojną i sen przegłęboki.

I mego ojca także uspokoję,

lęka się bowiem wciąż, że uciec może!

A Giovanni godny mu przywiezie

okup, jadący przez Gradarę.

Tak! dobry wieczór, bratowo!

(FRANCZESKA siedzi bez ruchu, jak gdyby nic nie słyszała. MALATESTINO bierze topór i z zapaloną pochodnią w lewej, kocim krokiem kieruje się w głąb podziemi. Znika. Drzwi zostawia otwarte. Franczeska wstaje i widzi, jak ostatnie błyski giną w ciemnościach. Nagle podchodzi ku drzwiom i zamyka je z przestrawieniem. Drzwi żelazne zaskrzypiały w ciszy. Franczeska odwraca się, z głową pochyloną postępuje kilka kroków naprzód, jak gdyby wielki przygniatał ją ciężar.)

FRANCZESKA pocichu, w zadumie. Sen przegłębok!

SCENA DRUGA.

Poprzez wielką bramę słysząc szorstko głos Gianciotta. FRANCZESKA nagle się zatrzymuje.

GIANCIO'TTO. Panu Paolo powiedz, memu bratu,
że za godzinę jadę do Pesaro
wierzchem
i że go czekam.

(Wchodzi KULAWIEC, cały w zbroi. Spostrzega małżonkę i podchodzi ku niej.)

GIANCIO'TTO. Droga małżonko! czekaliście na mnie?
Czemu tak drżycie? Czemu taka błąda?

(Bierze ją za rękę.)

Zimna jesteście, jakby z przerażenia.
Przecież?

FRANCZESKA. Malatestino
był tu przed chwilą i posłyszał jęki
więźnia, co w lochach

od dni już kilku jęczy przeokropnie.
Widząc, że mnie to przeraża,
w złość popadł nagłą i uzbrojon w topór,
przez drzwi te zeszedł do kaźni,
aby go zabić przeciw woli ojca,
który mu wielce zawadza. O, srogi
jest, panie mężu, i krwiożerczy
i mnie nie kocha.

GIANCIO'TTO. Przestańcie już bać się,
moja małżonko! Gdzież wasza odwaga?
Mężną byliście w bitwie,
spoglądaliście, jak nasi stronnicy
padali z szyją przebitą; śmiejąco
wywijaliście greckim ogniem w rękę.
Czyż wam zależy tak na życiu wroga?
Tak was przestrasza jęk i ostry topór?

FRANCZESKA. Godnie jest walczyć w bitwie,
lecz wstręt mi czyni skrytobójstwo!

GIANCIO'TTO. Obmierzło mu już tak długo być stróżem,
czekać daremnie na okup, którego
zapłacić nie chce stary Parcítada,
ten brudny, stary skąpiec,
co, uciekając, zabrał także z sobą
przeróżne przywileje
i prawa gminy rimíńskiej. Dlaczego
mówicie, że was nie kocha?

FRANCZESKA. Nie wiem, tak mi się zdaje.

GIANCIO'TTO. Czy może źle się zachował?

FRANCZESKA. Chłopię to jeszcze; i jak młody brytan
pragnąłby tylko kąsać.

Panie małżonku! chodźcie się posilić,
nim dosiędziecie wierzchowca.

GIANCIO'TTO. Może Malatestino ~ ~ ~

FRANCZESKA. Daj Wasza Miłość temu spokój. ~ ~

Mówiłam od niechcenia.

„Serce ze stali i sucha wątroba“ ~

pamiętam wasze te słowa i noc tę,
gdyscie je powiedzieli.

On kocha swego wierzchowca,
dopóki się nie schwaci,

kocha swój szyszak, pokąd nieużyty...

Nie chcę was, panie, zaprzętać skargami.

Ma się ku wieczorowi,
trzeba się wam posilić.

Czy pojedziecie wybrzeżem?

(GIANCIO'TTO zamyślony idzie za Franczeską ku stołowi, zastawionemu jedzeniem. Zdejmuje szyszak, odpina kołnierz stalowy i podaje Franczesce, która to wszystko z niespodziewaną składa gracyą na jednej z ławek.)

FRANCZESKA. Będziecie mieli w drodze chłód przyjemny.

Przeimiłą będzie noc wrześniowa.

Księżyc się zjawi około północy.
Kiedy będziecie w Pesaro,
panie Podesto?

GIANCIO'TTO. Rano około trzeciej.

Będę się musiał zatrzymać na popas
u mego ojca w Gradarze.

(Odpina sobie pas, na którym wisí miecz i podaje go żonie.)

FRANCZESKA. A Wasza Miłość jak długo zabawi
w drodze?

(Z lochów dobywa się straszliwy jęk Montagni. FRANCZESKA drży i z rąk
wypuszcza miecz, który wypada z pochwy.)

GIANCIO'TTO. Stało się! Nie drżymy, moja żono!

Będzie już cisza. Oby Bóg tak wszystkie
pościnał głowy naszych nieprzyjaciół!

Wicher już teraz przestanie rozsiewać
wraże nasienie pomiędzy

głazy rimińskie. I w całej Romani

oby ich zniszczył Bóg w tym roku krwawym,
jeżeli taka jego wola —

a wówczas pierwsze święto wielkanocy

będą gwelfowie z Calboli święcili
krwią ghibellińską

Aldobrandynów degli Argogliosi.

(Nachyla się, aby podnieść miecz, co wypadł z pochwy.)

Zmarł papież Marcin i król Karol przed nim

poszedł do raju. Złe dla nas!
A zasię Pietro di Stefano, który
w Honoryuszu dał nam wielkorządcę,
nie jest przyjacieł nasz,
ni Polentanów, ni waszego ojca,
Franczesko! Rękę w pogotowiu
trzeba na mieczu trzymać wyostrzonym.

(Czyni ruch nagim mieczem, który trzyma w ręku, przygląda się rękojeści
i potem chowa go do pochew.)

Ten mi się nie ugnie!

(Chowa miecz do pochew.)

FRANCZESKA. Daj mi go, panie!

Już go raz drugi nie upuszczę.

A teraz siadźcie, posilcie się w drogę.

(GIANCIOTTO daje miecz Franczesce i siada na ławie przy stole.)

GIANCIOTTO. Oto, moja żono,

ciągle o wojnie wam prawię, a dotąd
nigdy wam kwiatka nie dałem. Ach! twardzi,
twardzi jesteśmy. Do rąk waszych białych
dałem wam szyszak i miecz,
Malatestino zdobył się przynajmniej
na sokolika, Paolo
da wam zapewne kwiaty.
Jako naczelnik florenckiego ludu
w wszelkiej się wprawił dworności,
tylko że stracił nad brzegami Arna

swoją ciężką, woli wypoczynek,
niżli trudy. Czas trawi codziennie
z swymi grajkami.

(Łamie chleb, nalewa sobie wina, podczas gdy FRANCZESKA siada na-
przeciw niego, przy stole, brodę oparłszy na główni miecza.)

Lecz i wy, Franczesko,
wielce lubicie muzykę w komnacie.
Czyż towarzyszki wasze nigdy się nie znużą
ciąglem śpiewaniem? Głos ich
powinien był zagłuszyć
jęk Parcítady. Wrychle
zmienicie twierdzą Malatestów
w gaj, pełen słowików.

(Je i pije.)

FRANCZESKA. Ja i moja siostra
Samarytana wyrosłyśmy w domu,
w naszej Rawennie, wśród śpiewu.
Gardło ze złota miała nasza matka.
Już od najpierwszej młodości
Krzepiła nam dusze muzyką,
jak woda z źródła krzepi trawy.
I matka nasza mawiała:
„Słodkie śpiewanie broni nas od licha“.

GIANCIO'TTO. Zaś moja matka mawiała:
„A wiesz ty, jaka niewiasta najlepsza?
Ta, która przędząc myśli o kądzieli,

ta, która przedzie równo i bez węzłów,
ta, która przedząc, przedzy z rąk nie puści,
co przedzę równo owija na motek,
co wie, czy kądziel próżna jest czy pełna“.

FRANCZESKA. Czemuście sobie, nie wybrali, panie,
takiej niewiasty na żonę?

(Słychać pukanie do drzwi żelaznych. FRANCZESKA zrywa się na równe
nogi, rzuca miecz na stół i chce uciekać.)

Wraca Malatestino.

Nie chcę go widzieć! nie chcę!

GŁOS MALATESTINA. Któż to mi zawarł dzwierze?

Wyście, bratowo, zamknęli?

(Uderza nogą w drzwi.)

GIANCIO'TTO. Czekaj, poczekaj, otworzę!

GŁOS MALATESTINA. Ach! Giovanni! otwieraj!

Dojrzały owoc niosę ci na drogę.

Figę wrześniową.

Bardzo jest ważka!

(KULAWIEC idzie otwierać. FRANCZESKA przez kilka chwil podąża
oczami za jego kulejącym krokiem, potem wraca się ku drzwiom, prowa-
dzającym do jej komnaty. Exit.)

GŁOS MALATESTINA. Spiesz się!

GIANCIO'TTO.

Już idę!

SCENA TRZECIA.

GIANCIOOTTO otwiera drzwi; na wąskim progu zjawia się MALATESTINO, trzymający w lewej ręce zapaloną pochodnię, w prawej zaś na pętlicy głowę Montagni, zawiniętą w chustę.

MALATESTINO podaje bratu pochodnię.

Masz to, braciszku, zagaś!

(GIANCIOOTTO przydeptuje pochodnię i gasi.)

MALATESTINO. Była z tobą
twoja żona?

GIANCIOOTTO szorstko. Była.
Czego chcesz od niej?

MALATESTINO. A zatem wiadomo-ć,
jaki ci owoc przynoszę.

GIANCIOOTTO. A ojca
miałeś odwagę nie słuchać?

MALATESTINO. Patrz ino,
jaka jest ciężka! Spójrzysz!

(Podaje pętlicę Kulawcowi, który ją bierze i waży w ręku, a potem puszcza na ziemię. Głowa z głuchym pada łoskotem na ziemię.)

Tobie ją daję. Głowa
Montagni dei Parcitadi. Bierz ją,
przytroczone do siodła,
a przejeżdżając przez Gradarę, daj ją

wielkomożnemu ojcu i tak powiedz:
„Malatestino posyła ten zastaw,
byście nie mieli wątpienia
o jego bystrej czujności.
To was upewni, że więzień nie zemknie.
A za to

skarogniadego dacie mu wierzchowca,
tego z gwiazdkami na trzech nogach — dawno
obiecaliście mu ten podarunek,
przytem i siodło wysadzane złotem“.
Co za gorąco!

(Pot ociera z czoła. GIANCIOTTO siada ponownie do stołu.)

Mówię ci, gdy ujrzał
płomień pochodni, jał sapać, jak rumak,
kiedy się stracha. Daj mi pić!

(Jednym haustem wypija pełną czarę. GIANCIOTTO siedzi ponury, żuje
w milczeniu, nie mogąc połknąć jada, jak byk przeżuający. Morderca zaj-
muje miejsce, na którem siedziała Franczeska.)

(Skrwawiony tłumok bezwładnie leży na ziemi. Przez wielkie okno widać
słońce, zachodzące za Apeninami; w blaskach jego złocą się szczyty i obłoki.)

Zły jesteś?

Czy może chciałeś, abyśmy czekali
jaki rok jeszcze na okup
Perdecittady? Mówię-ć, że daremnie
byłoby czekać; a to jest tak pewnem,
jak to, że dukat jest żółty.
Od dnia dzisiejszego
Malatestowie nie będą litości

mieli nad nikim,
dopokąd starczy im kłów!
Wszakże-ć to niema jeszcze dwóch miesięcy,
kiedy w Cesenie ojciec nasz — rzecz dziwna —
nie ściągnął skóry z wrażeń szpon Konrada
da Montefeltro, a i Filipuccio,
bękart, dotychczas jeszcze żyw!
Niech będzie pochwalon
brat Alberigo,
gdyż umie jednym zamachem
ścinać i pień i latorośl.
Czas już, by każdy ghíbellin
był takim dla nas owocem,
jak oto dzisiaj kawaler Godente.

(Bierze miecz, leżący na stole i dłonią uderza w pochew.)

Ten-ci jest owoc na każdą biesiadę
spokoju i zgody.

Nie gniewaj się na mnie,
mój Giovanni! Wiorny-ć jestem,
Ty się nazywasz Jan Kulawiec,
a ja się zowię Jednooki.

(Milczy chwilę, potem złośliwie:)

Za to Paolo zwie się Piękny.

(GIANCIOTTO podnosi głowę i wzrok zatapia w oblicze młodzieńca. Śród
ciszy słysząc brzęk ostróg, któremi Giancesotto uderza w posadzkę.)

GIANCIOTTO. I ty się, widzę, stałeś gadatliwy.

(MALATESTINO chce sobie jeszcze nalać wina. Brat trzyma go silnie za puls.)

GIANCIOOTTO. Nie pij już więcej! Odpowiadaj, cożeś
zrobił Francesce? powiedz,
czemś ją obraził?

MALATESTINO. Ja? Czy to ona ci mówiła?

GIANCOTTO. Coś mi się mienisz na twarzy.

MALATESTINO. Co ci mówiła?

GIANCOTTTO. **Odpowiadaj!**

MALATESTINO z udanym uśmiechem. Nie mogę odpowiedzieć.

GIANCOTTO. Cóż ty znów knujesz przeciw niej? Odpowiedz!

MALATESTINO nagle ożywiony, z błyskiem w kłującej żrenicy.

Ona-ć mówiła i, mówiąc, nie miała zmienionej twarzy?

GIANCIOTTO. Strzeż się, Malatestino!

Popatrz mi prosto w oczy!

Jam-ci kulawy, ale zawsze prosto

idę przed siebie. Ty zaś

krzywemi chodzisz drogami

i usiłujesz tłumić odgłos kroków.

Strzeż się, bo cię pochwycę

i nie wywiniesz mi się!

A teraz to jedno-ć mówię:
„biada, kto chciałby dotknąć mojej żony!”
Wiesz o tem dobrze, boś sam tego dożył,
że więcej upływa czasu
pomiędzy spięciem ostrogą
berberyjskiego ogiera
a jego staniem dęba,
niż między słowem mem a moim czynem.
Rozważ to sobie!

MALATESTINO głosem przyciszonym i z spuszczoną powieką.

A jeśli z gniewem ujrzy brat, że inny
dotyka żony jego brata, jeśli
uczyni wszystko, by zapobiedz hańbie,
mów, czy jest winien?
I jeśli potem oskarżą go jeszcze,
że złe zamiary knuje przeciw żonie,
mów, żali słuszne jest to oskarżenie?

(GIANCIOTTO zrywa się przeraźliwie i ściska pięść, jak gdyby chciał
ubić młodzieńca. Wnet się jednak powstrzymuje i opuszcza ręce.)

GIANCIOTTO. Malatestino! na katusze piekieł!

Jeżeli nie chcesz, ażebym to drugie
wyrwał ci oko, przez które twa chytra,
podstępna dusza jeszcze świat obraża,
tak odpowiadaj! mów, coś widział?

(MALATESTINO wstaje i cichym kocim krokiem podchodzi ku drzwiom
w pobliżu stołu. Stoi przez kilka chwil, nadsłuchując, potem nagłym

ruchem otwiera drzwi i patrzy. Nie widać nikogo. Wraca i siada znów naprzeciw brata.)

GIANCIO'TTO. Gadaj!

MALATESTINO. Tylko bez groźby! Nie boję się ciebie!

Wiedz o tem, bracie:

iżem nie nosił przyłbicy,

tak jestem ślepy,

ty zasię w domu swym nosisz

przyłbicę z nausznicami,

zakrywającą i oczy i brodę,

i nic nie widzisz, nic! W twój mózg z żelaza

nie wpije żadne się ostrze podejrzeń.

GIANCIO'TTO. Bez paplaniny! do rzeczy! do rzeczy!

Gadaj, coś widział! Wymień mi nazwisko!

MALATESTINO. Zali ci nie jest dziwnem,

że ktoś, kto w grudniu wyjechał, odrazu,

niespodziewanie porzuca swój urząd

i wraca do nas już w lutym?

(Słychać trzeszczenie srebrnego pucharu, który Ganciotto łamie w rękach.)

GIANCIO'TTO.

Paolo!?

Nie! nie! to nie on!

(Zrywa się na równe nogi i oddala od stołu, chodzi po komnacie ponury, ze wzrokiem zamglonym. Przypadkiem potrąca chustę z głową Montagní. Zbliża się do wielkiego okna, skąpanego w odbłaskach posępnego zachodu.

Siada na krześle i chwytą się za głowę, jakby chciał myśleć w jedno skupić ognisko. MALATESTINO bawi się tymczasem mieczem, nawpół wyciągnąwszy go z pochwy. Potem go znowu wsuwa napowrót.)

GANCIOTTO. Chodź Malatestino!

(Młodzieniec zbliża się lekko i szybko bez hałasu, jakby miał nogi z filcu. GANCIOTTO trzyma go obiema rękoma, wciska między swe zbrojne kolana i mówi z nim oddech na oddech.)

GANCIOTTO. Czy jesteś pewny? widziałeś?

MALATESTINO. Tak!

GANCIOTTO. Co? i kiedy?

MALATESTINO. Wchodził kilkakrotnie.

GANCIOTTO. Wchodził — gdzie wchodził?

MALATESTINO. Wchodził do komnaty.

GANCIOTTO. Co więcej? Nic to! Wszak-ci to bratowa.

Wchodzić ma prawo. Zresztą są z nią razem
jej towarzyszki. Widziałeś,
jak przyprowadzał grajków...

MALATESTINO. W nocy... Daj spokój! Nie ściskaj! Na Boga!
Żelazne masz golenia!

Puść mnie!
(Zwinnie uwalnia się od niego.)

GANCIOTTO. Czym dobrze słyszał?

Mówiłeś — — powtórz!

MALATESTINO. W nocy!

Tak! tak! widziałem... w nocy!

GANCIOTTO. Żebra ci zgruchocę,
jeżeli kłamiesz!

MALATESTINO. Przychodził w nocy, powracał o świcie!
Tyś wtedy ruszył był na Urbinatów.

GANCIOTTO. Na proch cię zetnę, gdy kłamiesz!

MALATESTINO. Mam ci pokazać naocznie?

GANCIOTTO. Pokaż, jeżeli nie chcesz
paść w mych śmiertelnych uściskach.

MALATESTINO. Czy chcesz tej nocy?

GANCIOTTO. Chcę!

MALATESTINO. A będziesz umiał udawać?
Będziesz się umiał uśmiechać?
Ty się na uśmiech nie zdobędziesz.

GANCIOTTO. Zemsta nauczy uśmiechu,
gdy nie nauczyło szczęście!

MALATESTINO. A będziesz umiał całować
i ją i jego, nie gryząc?

GANCIOTTO. Tak! będę umiał, bo pomyślę sobie,
że już umarli!

MALATESTINO. W uściskach trzymać ją musisz,
rozmawiać z nimi i nie drżeć.

GIANCIO'TTO. Bawisz się moją katuszą! O, strzeż się,
ból ma dwa ostrza!

MALATESTINO. Na Boga!
Puść mnie! nie ściskaj!

GIANCIO'TTO. Dobrze! — Więc powiedz,
jakie masz plany? prędko!

MALATESTINO. Będziesz się musiał pożegnać
z nimi i dosiąść wierzchowca i z całą
wyjechać świtą bramą San Genesio
w kierunku do Pesaro.

Ja na koń siadę wraz z tobą.

Powiedz, żeś zgniewał się na mnie
za oną głowę Montagni, że musisz
pojechać ze mną do Gradary,
stawić przed ojca, aby mnie ukarał
albo przebaczył. W ten sposób
będą myśleli, że zostaną sami.

Potem, w noc późną,
pozostawimy swych ludzi, my zaś
wrócimy w miasto bramą gattolańską,
nim jeszcze wszędzie miesiąc.

Damy znak Riziemu.

Ja się z tem sprawię, a ty najszybszego

dosiądz bieguna i weź też ze sobą
płatów sukiennych, może będzie trzeba
owinąć niemi kopyta,
bo wiesz, że nocą
drogi wydają echo
i że kamienie, mój bracie,
umieją zdradzać.

GIANCIO'TTO. Zobaczę.

Pewnym-li jesteś, że ich schwycę?

MALATESTINO.

Przestań,

przestań mnie ścisnąć! Mam też
na myśli niewolnicę —
tę z Cypru, ona to właśnie
spełnia tu służbę rajfurki.
Chytra i sprawna jest w czarach.
Widzę ją nieraz, jak węszy.
Schwycę ją w sidła i uduszę...
To moje sprawy... Ty zaś,
nie myśl o niczem, dopóki
nie staniesz we drzwiach!

GIANCIO'TTO.

Na twą głowę! powiedz,
czy uda mi się ich pochwycić?

MALATESTINO.

Puść mnie!

Puść mnie, na Boga! Nie mnie ci tak dusić!

(Przez drzwi z prawej słyhać głos PAOLA.)

GŁOS PAOLA. Tyś — Giovanni?

(KULAWIEC puszcza Malatestina i, ogromnie pobladły, staje na równe nogi.)

MALATESTINO.

Uważaj! uważaj!

Tylko się nie zdradź!

(Gdy PAOLO otwiera drzwi, MALATESTINO udaje, jak gdyby był wściekły na Gianciotta, krzyczy:)

Puścisz mnie nareszcie!?

(Udaje, jak gdyby go ręce bolały w pulsach.)

To twoje szczęście, żeś jest pierworodny!

Inaczej... Dobrze, Paolo, żeś nadszedł!

SCENA CZWARTA.

PAOLO ma na sobie długą, bogatą suknię, sięgającą poza kolana, do kostek, w biodrach ujętą pasem, wysadzany drogimi kamieniami; za pasem sztylet damasceński. Włos kędzierzawy, nieprzedzielony, spada mu w swobodnym nieładzie na czoło, osłaniając je niby obłokiem.

PAOLO. Co się tu stało?

MALATESTINO.

Patrzaj!

Giovanni gniewa się na mnie,
iżem nareszcie utracił cierpliwość
i uciszyłem na wieki Montagnę,
nie mogąc dłużej słuchać jego jęków,
— a i Franczesce trudno było sypiać —
nie mogąc słuchać
tych jednostajnych wieści,

które mi ojciec przysyłał:
„A strzeżesz-li go dobrze?
A umiesz strzedz jak trzeba?
Z pewnością ci uciekniesz!
Ty dasz mu uciec! Z pewnością dziś jeszcze
Zbiegnie z więzienia i ty go nie schwycisz“.
Obmierzło mi to! Przez Bóg żyw! jest głowa.

PAOLO. Sam ty go ściałeś?

MALATESTINO. Sam, i znakomicie!

(PAOLO przygląda się chustce z głową, bacząc, aby się nie poplamieć krwią,
przesiłekającą przez chustkę.)

MALATESTINO. I ty się także usuwasz
z obawy, aby nie splamieć
sukni? O, nie wiedziałem,
że dwie posiadam siostry
tak delikatne!

GIANCIOTTO. Przestań się przekomarzać.

Paolo! żądam, by się udał ze mną
do ojca, do Gradary,
by się usprawiedliwił,
że był mu nieposłuszny.
Co o tem myślisz?

PAOLO. Zda mi się, dobrze będzie, jeśli z tobą
pojedzie.

MALATESTINO. Owszem! owszem!

Lecz wezmę z sobą ten zastaw!

Przytroczysz go do siodła —

siodło wytrzyma.

(Bierze chustę za pętlicę.)

Gniewu

ojca się wcale nie boję. Nasz rodzic

ogromnie się ucieszy,

gdy mu rozwinę chustkę — to wam mówię.

I da mi na wojnę

rzymskiego skarogniadosa,

a zaś na łowy obdarzy mnie siwkciem.

GIANCIOOTTO. Gotuj się w drogę, nie zwlekaj, bo wieczór
będzie za chwilę.

(MALATESTINO podnosi zawiniątko i chce odejść.)

PAOLO do Giovanniego. Ludzi

widziałem twoich gotowych do jazdy —

czekają tylko hasła, aby siadać.

(Obaj bracia podchodzą do zagłębienia okna i stają naprzeciw promieni za-
chodu. Siadają.)

MALATESTINO odchodząc. O jaka ciężka! A jest bez szyszaka.

Parcitadowie zawsze wyglądali

jak bydło na rzeź! Wielkie

rogate głowy! Paozzo,

woń się rozpływa wódki lawendowej

za twoim śladem... Uważaj, uważaj,
bym cię nie splamił krwią.

(Exit.)

PAOLO. Zawsze ma szpony gotowe, by drapać.

Nasi żołnierze
mawiali, że we śnie
zamyka zawsze tylko jedno oko,
a zasię drugie ma zawsze otwarte.
A ja dziś myślę, że nigdy nie sypia
i że nerw jego srogości
wiecznie naprężon.
Stworzon jest na to,
aby zdobywać władzę
i zginąć od miecza —
ten nasz kochany braciszek —
Boże go wspieraj! Ty zasię
masz oto zostać podestą Pesara.
Nasz ojciec na skałę pesarską
spogląda z swojej Gradary
jako na pewną swą zdobycz. Niedługo
da mu ją, bracie,
twoja waleczność i twa mądrość.

GIANCIO'TTO.

Niema

jeszcze i roku, kiedyś ty, Paolo,
został w Florencyi naczelnikiem ludu,
tak ja dziś po urząd podesty.

Niedługoś bawił nad Arnem. Ja za to
zabawię dłużej, bo snąć się nie godzi
odbiegać swego urzędu. Lecz żał mi
zostawiać Franczeskę samą
na taki długi czas.

PAOLO. Raz po raz możesz przyjeżdżać. Pesaro
nie tak daleko.

GIANCIOTTO. Podeście
nie służy prawo wyjazdu,
póki trwa urząd, ty wiesz to, a także
nie wolno brać mu ze sobą małżonki,
więc tobie powierzam mą drogą,
kochaną żonę, tobie,
który zostajesz.

PAOLO. Zawsze
takem ją kochał, jak siostrę.

GIANCIOTTO. Wiem to, Paolo.

PAOLO. Bądź pewny,
że strzedz ją będę dobrze.

GIANCIOTTO. Wiem to, Paolo. Z Rawenny
tyś mi ją przywiózł dziewczicą
do mego łóża, strzegłeś
od wszego zła.

PAOLO. Zarządzę,
by moja Orabile
przybyła z Ghiaggioli
tu do Rimini dla jej towarzystwa.

GIANCIO'TTO. A bacz-że na to, Paolo,
aby się pokochały
obie bratowe.

PAOLO. Nieraz
Franczeska słała jej dary.

GIANCIO'TTO. Idź ją zawołać. Już późno.
Słońce już zaszło, a ja będę zmuszon
uczynić postój w Gradarze,
zasię o trzeciej trzeba być w Pesaro.
Sam ją zawołaj. Siedzi w swej komnacie —
zrażona srogością
Malatestina. Idź ją uspokoić,
by się nie bała, że zostanie sama.
Idź, idź, zawołaj.

(Wstaje i rękę kładzie na ramieniu Paola, jakby chciał go zachęcić. PAOLO zwraca się ku drzwiom, KULAWIEC pozostaje i, nieruchomy, zabójczą towarzyszy żrenicą aż do progu krokom pięknego męża. Załedwie Paolo znikł za drzwiami, KULAWIEC podnosi rękę do góry, jak do przysięgi. Potem podchodzi do stołu i bierze połamany puhar, aby go ukryć. Odwraca się i wzrok jego pada na otwarte drzwi żelazne. Idzie, rzuca puhar w ciemnię i zamyka.)

SCENA PIĄTA.

(W drugich drzwiach zjawia się FRANCZESKA przy boku szwagra.)

FRANCZESKA. Wybaczcie mi, panie,
iżem tak nagle odeszła. Lecz znacie
powód.

GIANCIO'TTO. Znam powód, ma droga małżonko.
Żal mi jest bardzo,
iżście tyle musieli wycierpieć
z winy mojego
nieszczęśliwego brata. Lecz już wszystko
takem zarządził, aby wam był spokój,
a jemu kara. Biorę go do ojca,
dziś, do Gradary. Poszedł
gotować się do jazdy.
Za chwilę wyruszym z miasta.

FRANCZESKA. Gniew będzie żywił ku mnie,
jeśli nań skargę wniesiecie przed ojcem.
Przebaczcie mu, proszę,
Wszakże to jeszcze chłopię.

GIANCIO'TTO. Nie, lepiej będzie, jeżeli
pojedzie ze mną, dzisiaj, dla waszego,
moja małżonko, spokoju. Paolo
zostanie z wami. Jemu was powierzam.
I Orabile zjawia się na dłuższy

czas do Rímíno. Sam to przyobiegał.
Szybko i często
wieści dochodzić was będą z Pesaro,
a i ja żywię nadzieję, że również
będę miał częstą wiadomość z Rímíno.

FRANCZESKA. Z pewnością, panie. Wyrzucicie ze serca
wszelki niepokój.

GIANCIO'TTO. A i wy nie dajcie
przystępu żadnym żałobom. Weselić
będą was śpiewy i granie i piękne
suknie i drogie pachnidła.
Córce Gwídoná nie przystoi kądziel.
Racście pamiętać, że słowa matczyne
dlatego tylko powtarzał, by uśmiech
na waszych wywołać ustach.
Krzywa mi za to nie jesteście —
żali nieprawda, żono?

FRANCZESKA. Zdawało mi się, że we waszych słowach
ukryty mieści się wyrzut.

GIANCIO'TTO. Stare to słowa, zrodzone
między starymi murami Verucchia,
dziś zbyt ciasnego gniazda Malatestów.
Dzisiaj już w naszym domu
jeśli się przędzie,
to purpurowe nici

i na złocistej kądzieli. O droga
moja małżonko, niechże was uściskam.

(FRANCZESKA idzie naprzeciw niemu. GIANCIOTTO bierze ją w ramiona i całuje. PAOLO stoi we drzwiach milczący.)

GIANCIOTTO. Zegnam was, przenigdy
nie wydaliście mi się tak przepiękną
i tak przesłodką, jak dzisiaj, a jednak
trzeba wyjeżdżać.

(Gładzi ręką włosy żony, potem wypuszcza ją z objęć.)

O bracie mój, strzeż jej,
i niech jej strzegą niebios. Chodź do mnie
i dał mi porękę wierności.

(PAOLO się zbliża. Ściskają się.)

GIANCIOTTO. Gdzie mój pancerny kołnierz?

FRANCZESKA podaje mu zbroję.

Jest tutaj.

GIANCIOTTO nakłada sobie kołnierz. Proszę cię, zapnij, Paolo.

(PAOLO zapina. FRANCZESKA podaje mu hełm.)

GIANCIOTTO. Czy przypominasz sobie,
bracie mój, wieczór ów na wieży Mastra
i strzał twój z łuku?

Czy pamiętacie, Franczesko?

To było o tej porze.

Wówczas Cignatta zginął. Dziś Montagna

drżały pod niebios sklepieniem.

(FRANCZESKA bierze miecz ze stołu i przypasuje mu go do boku.)

Piliśmy z jednej czary.

(Cały już w zbroi.)

Napijmy się i teraz!

(Patrzy, czy nie upadła na ziemię.)

(Nalewa wino do czary i podaje Franczesce.

Niech Bóg ci

użyczy szczęścia!

pić tego wina, nie jestem przywykła.

GIANCIO'TTO. Haust tylko jeden, jak wówczas, a potem dajcie szwagrowi, by i on się napił.

(FRANCZESKA pije haust i podaje Paolowi.)

PAOLO. Szczęścia podeście Pesara!

(Pije, wtył odrzuciwszy kędziory włosów. U drzwi, po prawej, słysząc głos MALATESTINA, który nagle otwiera drzwi i staje w progu, cały w zbroi.

Zdała, w dziedzińcu, słysząc trąbkę.)

MALATESTINO.

Gotowy

jestem, Giovanni! Oto znak, by siadać!

Na koń! na koń!

ZASŁONA.



AKT PIĄTY

ART 1917

AKT PIĄTY.

Scena przedstawia ozdobną komnatę, w której widać łożę z kotarami, trybunę dla muzykantów i pult z zamkniętą księgą. Cztery świece woskowe płoną w jednym z żelaznych kandelabrow; dwa świeczniki stoją zapalone na małym stoliczku. Przez otwarte okna widać jasną, pogodną noc. Na poręczy okna stoi wazon z ziołem wasilkowem; tuż obok leży talerz złocisty, napełniony świeżemi winogronami.

SCENA PIERWSZA.

Przez odchylone kotary widać FRANCZESKĘ, w ubraniu spoczywającą na łożu. Towarzyszki w białym stroju, z lekkimi, białemi przepaskami naokoło twarzy, siedzą na małych stołeczkach, rozmawiając szeptem, aby nie przeszkadzać pani. Obok nich, na ławce, stoi pięć srebrnych lampek.

ADONELLA. Sen ją zmógł. Usnęła.

(BIANKOFIORE podchodzi po cichu do łoża; przypatruje się chwilę, potem wraca do swego stołeczka.)

BIANKOFIORE. Tak, śpi. Ach! jakżeż piękna!...

ALTICHIARA. Razem z nadejściem lata
wzrosła jej urodziwość.

ALDA. Niby jak kwiat lawendy.

GARSENDA. Albo jak mak.

BIANKOFIORE. O piękne
nie odchodź od nas lato!
Noce już teraz bywają chłodniejsze.
Czujecie powiew?

ALDA. Idzie
od morza. Co za rozkosz!
(Twarzą zwrócona ku oknu, wciąga w siebie powietrze.)

ADONELLA. Nadchodzi pani Jesień,
figi i winogrona
przynosi nam w podółku.

BIANKOFIORE. Ha! wcześnie dojrzewają
figi i winogrona.

ALTICHIARA, wskazując na złoty półmisek, do Adonelli.
Podaj nam winogrona!
Zaraz je zjemy, Adonello!

ADONELLA. Co za łakomiec!

ALTICHIARA. Ślina z ust ci idzie.

(ADONELLA przynosi z półmiska, stojącego na oknie, piękne winne grono; wraca potem do swego stołeczka i podnosi grono do góry, które towarzyszy-
szki zaczynają obrywać i zjadać.)

BIANKOFIORE. Muszkatułowe! słodkie!

ALDA. Nie rzucajcie łupin!

ALTICHIARA. Zjada się wszystko: łupinę i ziarnka.

GARSENDĄ. A, ta jest nieco kwaśna!

BIANKOFIORE. Widać, że rosła w cieniu.

(Obrywają winne jagody, milcząc przez chwilę.)

ADONELLA. Co za milczenie!

ALDA. Cisza!

Słyszycie? Statek w górę
podnosi swą kotwicę.

BIANKOFIORE. Tej nocy nasza pani
śpiewać nam nie kazała.

ALTICHIARA. Widać, zmęczona.

ALDA. I więzień
nareszcie przestał jęczeć.

GARSENDĄ. Ano, bo, wiecie, pan Malatestino
kazał mu głowę ściąć.

ALDA. Co? nadoprawdy?

GARSENDA. Tak, dzisiaj wieczór.

ALDA. Skąd wiesz?

GARSENDA. Mówiła mi o tem Smaragdi.

Widziałam-ci też sama:

Kiedy odjeżdżał od nas Giovanni,

przypiął do siodła

tłumok; w nim była głowa

ścięta!

ADONELLA. A dokąd ma ją
zawieźć?

ALTICHIARA. Do kogo ma ją
zawieźć?

BIANKOFIORE. W tej chwili jadą
pobrzeżem morza,
popod gwiazdami
jadą z tą głową
ściętą.

ADONELLA. A dokąd teraz
mogli zajechać?

ALDA. Do piekieł! I oby
tam pozostali — na zawsze!

GARSENDA. Ach! jakżeż
tu się oddycha inaczej w tym domu,

kiedy już niema Ślepca
i tego Kulawego.

ALTICHIARA. Cicho, by cię madonna
nie usłyszała...

GARSENDA. Jak to?
nie odetchnęła-ż i nasza madonna?

ALDA. A pan Paolo czy pozostał?

ALTICHIARA. Cicho!

(FRANCZESKA wzdycha przez sen.)

ADONELLA. Przebudzi się!

(Rzuca gałązkę winogronną poza okno. BIANKOFIORE wstaje ponownie
i zwraca się ku alkowię; bada, czy Franczeska śpi.)

BIANKOFIORE. Nie! nie! śpi ciągle!
Tylko przez sen tak wzdycha.

ADONELLA. Coś śni.

ALDA. Garsenda! a czy wie madonna,
że więzień przestał jęczeć,
ponieważ ścięto mu głowę?

GARSENDA. Zapewne!

BIANKOFIORE. Może śni o tem właśnie.

ADONELLA. Kto wie, o której skończy się godzinie
nasze czuwanie tej nocy?

ALDA. Czyś senna?

ALTICHIARA. Na schodach czeka na nią Simonetto,
ten, co to grywa na piszczałce.

ADONELLA. Ejże!
A kto na ciebie czeka? Kto? Sokolnik
Luzzo z gwizdawką ze skóry?

ALDA. Sza! cicho!
Zbudzicie panią!

BIANKOFIORE. Powiedz,
Garsenda, ciekła krew? Co?

GARSENDA. Skąd?

BIANKOFIORE. Z tłumoka
przy siodle.

GARSENDA. Ciemno już było w dziedzińcu,
niezbyt wyraźnie widziałam. Wiem tylko,
że myć posadzkę musiała Smaragdi,
tam, wiecie, w sali
z jednorożcami.

BIANKOFIORE. Teraz już będą gdzieś pod Kattoliką.

GARSENDA. Boże ich trzymaj zdala i już więcej
nie pozwól im tu wracać.

BIANKOFIORE. Koń pewnie dęba staje,
czując, jak mu się kołysze u siodła
ta trupia głowa!

ADONELLA. Jakżeż tej nocy pachnie kwiat wasiłku.

ALTICHIARA. A jak on urósł! Wnet się nie pomieści,
patrzcie, w tej wazie.

BIANKOFIORE. Ty znasz to, Garsenda:

Opowiedz-że nam o Elizabecie
onej z Messyny, co się zakochała
w młodzieńcu z Pisy, w tym, co go to bracia
zamordowali potajemnie — ona
znalazła ciało kochanka i głowę
odcięła od tułowia
i umieściła ją w wazonie z ziemią
i potem zasadziła
w tej ziemi krzak wasiłku
i polewała go swojemi łzami.
Opowiedz-że nam, Garsenda, po cichu,
aż się przebudzi.

(FRANCZESKA silniejsze wydaje westchnienie i niespokojnie porusza się
na łożu. Towarzyszki przestraszają się.)

ALDA. Wzdycha
i coś majaczy. Sen ma jakiś przykry.

GARSENDA. Ot, na wznak leży i piersi jej gniecie
zmora.

ALTICHIARA. A może ją zbudzić?

BIANKOFIORE. Nie, lepiej
tego nie czynmy. Źle budzić znienacka
serce, co widzi...
A wszakże my nie wiemy,
jaką ujrzała prawdę.

ADONELLA. Niewolnica
musi jej zawsze wszystkie sny wykladać.

SCENA DRUGA.

(FRANCZESKA wydaje okrzyk przerażenia, wyskakuje z łóżka, jak gdyby chciała przed dzikim uciekać pościgiem; rękami czyni ruchy naokoło bioder, jak gdyby uwolnić się pragnąc od czyjegoś chwytu.)

FRANCZESKA. Nie! nie! to nie ja! To nie ja! Ratunku!
Już mnie chwytają zębami! Już z wnętrza
wyjmują
serce!... Ratunku,
Paolo!

(Zapędma się, potem nagle staje, miarkuje się, bleda, przerażona, podczas gdy towarzyszki starają się ją uspokoić.)

GARSENDA. My tu jesteśmy, madonno!
Popatrz, madonno, my jesteśmy tutaj!

ALTICHIARA. Niech się nie lęka Wasza Miłość.

ADONELLA.

Niema

tutaj nikogo. My tu
jesteśmy. Nikt cię ukrzywdzić nie myśli.

FRANCZESKA jak we śnie. Com mówiła? Com wołała?
Com zrobiła? O mój Boże!?

ALDA. Sen jakiś przykry miała Wasza Miłość.

GARSENDA. Teraz już minął. My tutaj jesteśmy.
Wszędzie już spokój.

FRANCZESKA. Czy późno?

BIANKOFIORE. Potem zrosiło-ć się czoło.
(Ściera jej pot z czoła.)

FRANCZESKA. Późna to noc? Garsenda,
Biankofiore, Alda... całkiem białe
jesteście.

GARSENDA. Będzie coś około czwartej,
madonno.

FRANCZESKA. Długom spała? A Smaragdi?
Gdzie jest Smaragdi?
Nie powróciła jeszcze?

BIANKOFIORE. Nie powróciła.

FRANCZESKA. Czemu nie powróciła?

BIANKOFIORE. A dokąd Wasza Miłość ją posłała?

FRANCZESKA. Czyście czuwały? Może
sen otumaniał wasze zmysły?
Nie widziałyście, jak weszła?

GARSEDA. Nie! nie! madonno!
Nie zmrużyliśmy oka, czuwałyśmy!

ADONELLA. Może wróciła i śpi pode drzwiami,
jak zwykle.

FRANCZESKA. Zobacz, Adonello, może
jest tam!

(ADONELLA idzie ku drzwiom, odchyła portyerę, otwiera drzwi i zagląda.)

ADONELLA. Smaragdi! Nic nie odpowiada.
Niema nikogo. Ciemno wszędzie.

FRANCZESKA. Wołaj,
wołaj raz jeszcze.

ADONELLA. Smaragdi!

FRANCZESKA. Weź światło!

(GARSEDA bierze jedną z lamp, zapala ją przy jednym z świeczników,
i idzie ku drzwiom i razem z towarzyszkami bada, czy niema niewolnicy.)

FRANCZESKA. Powinna była wrócić już oddawna.

Może spotkało ją coś złego? Pan Bóg
może wie co. Dobrego nic pewnie nie będzie.

BIANKOFIORE. Męczy cię jeszcze, przestrasz snu, madonno.

ALTICHIARA. Niech Wasza Miłość odetchnie
świeżem powietrzem. Jasna
noc i pogodna.

FRANCZESKA. Księżyc
zeszedł?

ALDA. Zapewne zeszedł za górami,
ale na morzu jeszcze go nie widać.

(GARSENDA i ADONELLA wracają; jedna z nich gasi lampę.)

FRANCZESKA z przestachem. Co? jest? wrócił?

GARSENDA. Nie, niema nikogo,
madonno!

ADONELLA. Ciemno naokół i cicho!
Śpi cała służba.

GARSENDA. Widziałyśmy tylko...
(Nagle urywa.)

FRANCZESKA. Kogo? powiedzcie! Kogo?

GARSENDA wahająco. O madonno,
kogoś... co stał tam... stał tam nieruchomy

tuż popod murem...

jak posąg jaki... sam... Pas mu się świecił...

O nie... nie... madonno!

Niech-że się Miłość Wasza tak nie lęka!

(Zbliża się do Franczeski i cichym mówi jej głosem.)

Messer Paolo.

FRANCZESKA zmieszana. Czego chciał?

ADONELLA.

Czy włosy

uczesać na noc, madonno?

FRANCZESKA.

Nie trzeba.

Spać mi się nie chce, poczekam.

ALDA. Czy rozsnurować trzewiki?

BIANKOFIORE.

Czy może

złać pachnidłami?

FRANCZESKA. Zostanę, jak jestem.

Spać mi się nie chce... Poczekam

tak na Smaragdi.

ALTICHIARA. Pójdziemy jej szukać.

GARSENDI. Tak jest co wieczór biedaczka zmęczona,
że gdziebądź zawsze kładzie się i zaśnie.

A może ją znajdziemy

na schodach.

FRANCZESKA. Idźcie! idźcie!

A ja tymczasem tu poczekam. Świecę
postaw mi, Aldo.

(ALDA przynosi świecznik ze stoliczka i stawia go na pulpicie, na którym
leży książka.)

FRANCZESKA. Idźcie! Takie białe

jesteście wszystkie! Idźcie!

Nie zmarło jeszcze lato?

Nie widziałyście dzisiaj popod wieczór
ulatujących jaskółek?

Ja byłam dziś gdzieindziej —
patrzałam ku szczytom gór,
za które schodziło słońce.

Nie wszystkie jeszcze odleciały? Prawda?

Być może jutro odlecą już od nas
drugie ich stada. Pobiegnę na wieżę,
aby je widzieć. A wy mi będziecie,
śpiewać kanzonę do tańca, jak wówczas
w dniu pierwszym marca. A czy macie jeszcze
kilkę jaskółek, tych pomalowanych,
w siódlach?

ALDA. Są jeszcze, madonno, są jeszcze.

FRANCZESKA. A jutro do tańca

czarny mi przyniesiecie
stanik na białą suknię,

ażebym była podobna
do „wesołego stworzonka“.

BIANKOFIORE.

I owszem.

FRANCZESKA. Idźcie już, idźcie.

(Otwiera książkę. Każda z biało ubranych dziewcząt bierze małą lampkę srebrną, zawieszoną na małym pałaku. ADONELLA podchodzi pierwsza do wysokiego kandelabra i, podnosząc się na palcach, zapala lampkę przy jednej z świec. Potem się kłania i odchodzi. FRANCZESKA śledzi ją oczami.)

FRANCZESKA. Już, Adonello, idziesz?

(GARSENDA z tym samym ruchem, co Adonella.)

FRANCZESKA.

I ty idziesz,

Garsendo?

(ALTICHIARA czyni to samo.)

FRANCZESKA. Idziesz już, Altichiaro?

(ALDA z tym samym ruchem.)

FRANCZESKA. Idziesz już, Aldo?

(Exeunt omnes.)

(Ostatnia zostaje BIANKOFIORE; i ona taksamo chce zapalić swą lampkę; ale że jest mniejsza od innych, nie dostaje do płomienia.)

FRANCZESKA.

Mała, mała jesteś,

Biankofiore; nie sięgniesz płomienia,

aby zapalić lampkę.
Przedelikatnaś, mała gołąbeczko!

(BIANKOFIORE odwraca się z uśmiechem.)

FRANCZESKA. Chodź-że tu do mnie!

(Dziewczyna się zbliża; FRANCZESKA gładzi jej włosy.)

Moja jasnowłosa!

Podobna jesteś cokolwiek do mojej
Samarytany. Pamiętasz
Samarytanę?

BIANKOFIORE. Tak, madonno.

Nie zapomniałam jej słodczy. W sercu
niosę ją razem z aniołami.

FRANCZESKA.

Słodka

była ma siostra, prawda, Biankofiore?
Czemu jej nie mam dziś przy sobie? Czemu
już jej nie widzę ścielącej dziś w nocy
swoje łóżeczko przy mojem? Dlaczego
już mi nie biega bosa popod okna —
gołemi nóżki? Czemu już nie biegnie
pod okna mała gołąbka, wołając:
Franczesko! jutrznia już świeci! Koguty
sfrunęły z grzęd.

BIANKOFIORE. Łzy w oczach
ma Wasza Miłość!

FRANCZESKA. Drżysz, Biankofiore.

Naraz i ona się złąkla. Słyszałam
bicie jej serca. Mówiła: siostrzyczko,
słuchaj! pozostań ze mną, o pozostań
tu, gdzieśmy się urodziły!

Nie odchodź, siostro!

A jej rzekłam: weź mnie!

weź mnie ze sobą, weź!

Zakryj mnie swoim welonem.

BIANKOFIORE.

Madonno!

Zasmucasz serce moje!

Cóż to za melancholia

ogarnia Miłość Waszą?

FRANCZESKA.

Nie płacz! nie płacz!

Zbyt delikatnaś; zapal swoją lampkę.

BIANKOFIORE. Chce Wasza Miłość, ażebym została?

Spać będę przy twojem łożu.

FRANCZESKA. Nie, Biankofiore! Zapal swoją lampkę

i odejdz z Bogiem, idź! Samarytana

pewnie dziś myśli o swej siostrze.

(BIANKOFIORE zapala lampę przy jednym z świeczników i nachyla się
potem, chcąc Franczeskę pocałować w rękę.)

FRANCZESKA.

Odejdz!

Przestań już płakać! Smutne myśli przejdą.

Jutro zaśpiewasz... Idź już.

BIANKOFIORE zwraca się powoli ku drzwiom. Kiedy już ma wyjść, FRANCZESKA w pozie nadśluchującej, jak gdyby coś przeczuwała.

Nie odejdziesz,

Biankofiore?

BIANKOFIORE. Nie! zostanę z tobą,
madonno! Pozwól mi zostać przynajmniej
póki nie wróci Smaragdi.

FRANCZESKA waha się chwilę, potem:

Nie! odejdz!

BIANKOFIORE. Niech Bóg, madonno, ma cię w swej opiece!

(Ultima exit.)

SCENA TRZECIA.

Słychać zamykanie drzwi. FRANCZESKA, pozostawszy sama, podchodzi kilka kroków ku drzwiom, potem staje, nadśluchując.

FRANCZESKA. Niechże się stanie! To me przeznaczenie!

(Podchodzi ku drzwiom, zdecydowana.)

Zawołam!

(Waha się i wraca.)

Jeszcze stoi! Stał przy murze —

stał niby posąg, sam.

Pas mu się błyszczał w ciemni. Któż to mówił?

Któż to powiedział? Jakież to dalekie!

Pod hełmem twarz mu płomienieje cała.

(Wizye, nakształt błyskawic, przenikają jej duszę.)

Milczący patrzył wskrós dziurytów
swoich pacholców.
Strzała przeszywa mu głowę.
I już zmasane piętno zdrady!
Wychyla czarę, przechyliwszy głowę.
Ach! wszystko znika! znika!
Wróg w swojej garści trzyma
topór i tajemnicę!
„Macie mnie, kaci, macie!
Jestem po waszej woli!“
Ale żelazo ust nam nie rozdzieli:
tak! nie rozdzieli płomienia!

(Chodzi po komnacie, błędna i znękana, z błyskawicami w duszy.)

Tak! stopionego nie rozdzieli płomienia.

(Podchodzi do stoliczka, bierze srebrne zwierciadło i przegląda się w niem.)

O ty milczenie, ty wodo głęboka,
ty błądy grobie mej twarzy
śmiertelnej! Jakiż głos to
mówi, że nigdy nie była tak piękną?
I w samotności płomiennej
tych waszych oczu żyłam
z taką skrzydlatą mocą,
walcząc zdala, samotna...
I jeden tylko głos
rozbrzmiewa z wieży serca
i wszystka krew ucieka...
Ach!

(Słysząc ciche pukanie do drzwi. FRANCZESKA, przerażona, kładzie lustro na stoliku, gasi świecznik, podchodzi ku drzwiom, tłumiąc oddech, i woła przyciszonym głosem:

Smaragdi! Smaragdi!

GŁOS PAOLA. Franczesko!

(FRANCZESKA gwałtownym ruchem otwiera drzwi.)

SCENA CZWARTA.

FRANCZESKA z namiętnym oddechem rzuca się w objęcia kochanka.
Paolo! Paolo!

(PAOLO ubrany taksamo, jak wieczorem, z odkrytą głową. FRANCZESKA tuli mu się do piersi.)

PAOLO. O moje życie! Tęsknota ma k'tobie
nie była nigdy tak szaloną! Czułem,
że już do mego serca
wnikały słabiej duchy,
żyjące w twoich źrenicach. Ma władza
już się gubiła śród nocy, płynęła
z mojego serca wzburzonym
strumieniem krwi; ma dusza
tak była przerażona,
jak w onej tajnej godzinie,
kiedyś mnie z Bogiem przeszyla
twą strzałą

i tam zawiodła, skąd niema powrotu,
choćby człek wrócić zapragnął.
Żali nie dnieje? Zali już dnieje?
Wszystkie już gwiazdy zgasły w twych rozwianych
włosach w królestwie mroków, dokąd usta
już nie zdołają dotrzeć...

(FRANCZESKA przechyliła się coraz bardziej, a on całuje namiętnie jej
włosy.)

FRANCZESKA.

Przebacz! Przebacz!

I ty mi snąć już byłeś
daleki i milczący,
z żrenicą suchą i martwą, jak wówczas,
śród tych dzirytów martwych, nieugiętych.
I sen, straszniejszy, twardszy od topora,
przeciał mą duszę na dwoje
i jak pień rzucił straconą
na głaz. I przyszło na mnie jakieś widmo,
które oddawna widuję,
a które mnie pożera.
I byłam napełniona
przestrachem i przerażeniem ~
i drżącą mnie widziały towarzyszki moje
ach! i płaczącą!

PAOLO.

Płaczącą!

FRANCZESKA. Przebacz mi, przebacz, słodki

mój przyjacielu! Tyś mnie znów przebudził
i oswobodził z lęku!
Jeszcze nie nadszedł poranek;
jeszcze się gwiazdy nie ukryły w morzu,
lato nie zmarło jeszcze; i tyś moim
i jam jest cała twoją!
I radość jest zupełna
w naszego życia płomieniącym ogniu.

(Kochanek ją całuje z nienasyconą żądzą.)

PAOLO. Trzęsiesz się!

FRANCZESKA. Drzwi otwarte
i chłodne tchnienie nocy
zawiewa k'nam. Nie czujesz?
To chwila,
pełna milczenia,
co zimną sieje rosę
na grzywy rumaków w drodze.
Zamknij, Paolo, drzwi.

(PAOLO zamyka drzwi.)

FRANCZESKA. Czyś ty ich widział na swe własne oczy
odjeżdżających?

PAOLO. Widziałem.
Długom-ci patrzył z wieży, aż ostatnia
zniknęła w mrokach dzida.

Chodź, chodź, Franczesko! Długie są przed nami
chwile rozkoszy
z dziką melodią jesieni, z płomienną
kaskadą samotności,
z gwałtownym biegiem rzeki,
co nie ma ujścia żadnego
dla nieśmiertelnych swych pragnień;
ulatuująca chwila
lękliwą budzi mi żądzę
do życia tysiącem żywotów
z drżeniem powietrza, które pieści ciebie,
z burzliwym morza oddechem,
ze szaleństwem świata,
ażeby żaden z nieskończonych bytów,
które są w tobie,
nie był nieznany dla mnie,
abym nie umarł przedtem,
zanim z twych tajnych głębin
nie wydobędę
i nie skosztuję ostatnich
korzeni mojej rozkoszy.

(Ciągnie ją ku aksamitnym wezłowiom przy oknie.)

FRANCZESKA. Całuj mi oczy, rozcałuj mi skronie
i moje lica i szyję...
Tak... o... tak!...
rozcałuj puls i palce...
Tak! bierz mi duszę i odwróć ją tak,

ażeby tchnienie nocy
znów ją zawiodło ku temu,
czem była!
By ją zawiodło ku odległym rzeczom
to słowo nocy,
i aby szczęście, raz zakosztowane,
zamknęło mi serce,
abym widziała ciebie
tym, jakim byłeś, nie tym, jakim będziesz,
o ty mój piękny, słodki przyjacielu.

PAOLO. Zawiodę ciebie tam, gdzie zapomnienie.

Czas już nie będzie miał władzy
nad pożądaniem,
które przestanie być sługą.
Dzień z nocą stopi się w jedno
na ziemi, jak na wezglówiu,
i ręce świata nie będą już mogły
rozdzielić czarnych ramion z ramionami
białymi,
ani nie rozplączą
włosów i żył pospłatanych.

FRANCZESKA. Wszak mówi książka, której nie czytałeś:
„Jednem byliśmy w życiu, tak jesteśmy
godni być jednym i w śmierci.“

PAOLO.
księga zamknięta!

Niech będzie

(Wstaje, zamyka książkę na pulpicie i zdmuchuje światło.)

Nie czytaj! Gdzieindziej
jest napisane przeznaczenie: w gwiazdach
jest napisane, drżących
jak twoja szyja i tve pulsy
i twoje skronie,
może dlatego, że były
twoją koroną i twem przeznaczeniem,
kiedys w płomieniach schodziła
z niebios na ziemię. A z jakiej winnicy
— powiedz — zerwałaś to przepiękne grono?
Woń upojenia
mają i miodu,
jak żyły, nabrzmiące rozkoszą! Owoce
nocy! Miłości płomieniste stopy
wycisną słodki z nich napój. Daj usta!
Daj usta! Jeszcze! Jeszcze!

(FRANCZESKA podaje mu się na wezgiłowi nieprzytomna, zwyciężona.
Nagle, głęboką ciszę przerywa gwałtowny łomot w drzwi, jakby kto bił
w nie pięściami. Kochankowie zrywają się przerażeni.)

GŁOS GIANCIOTTA. Franczesko! otwórz! Franczesko!

(FRANCZESKA skamieniała z przerażenia.)

(PAOLO badawczo rozgląda się naokoło, trzymając rękę przy sztylcie.
Wzrok jego pada na obręcz drzwi zapadnych.)

PAOLO głosem stłumionym. Odwagi! męstwa! Ja się tu ukryję

za te zapadne drzwi,
a ty mu pójdziesz otworzyć.
Tylko mi nie drżyj! nie drżyj!

(PAOLO otwiera drzwi zapadne. — Pod uderzeniami Gianciotta podwoje zdają się rozpadać w kawały.)

GŁOS GIANCIOTTA.

Otwórz, Franczesko! Na twą głowę!

PAOLO.

Otwórz!

Otwórz! idź! ja zasię
poczekam tutaj pod oknem. Na krzyk twój
skoczę, jeżeli cię ruszy.
A tylko nie drżyj! Odważnie!

(PAOLO schodzi, podczas tego FRANCZESKA, nadśłuchując, chwiejnym zbliża się krokiem do podwoi.)

GŁOS GIANCIOTTA.

Otwórz, Franczesko! na twą głowę, otwórz!

SCENA OSTATNIA.

GIANCIOTTO w pełnej zbroi, okryty kurzem, wpada, jak szalony, przez otwarte podwoje do komnaty i szuka brata. Naraz go spostrzega, ponieważ PAOLO głową i ramionami wystaje ponad posadzkę, daremnie usiłując uwolnić suknię od żelaznej zapory schodów, do której się przyczepiła. FRANCZESKA, spostrzegłszy go również, wydaje krzyk przeraźliwy, podczas gdy KULAWIEC rzuca się na cudzołożnika i pochwyćwszy go za włosy, zmusza do wyjścia na górę.

GIANCIO'TTO. Sameś się dostał w pułapkę,
ty zdrajco! Dobrzem cię chwycił
za grzywę!

FRANCZESKA rzuca się z groźnem obliczem na niego.
Puść go! puść go!
Na mnie się pomścij! na mnie!

(Małżonek puszcza swą zdobycz. PAOLO skacze na drugą stronę schodów i dobywa sztyletu. KULAWIEC zrywa się za nim, wyciąga miecz z pochwy i z strasznym rzuca się na niego impetem.)

(FRANCZESKA błyskawicznym ruchem rzuca się pomiędzy nich obu, ale ponieważ mąż zdradzony nie może powstrzymać już ciosu, szpada przeszywa pierś Franczeski. Franczeska zatacza się w kółko i pada w objęcia Paola, który sztylet wypuścił był z ręki.)

FRANCZESKA umierając. Ach! Paolo!

(KULAWIEC mityguje się na chwilę. Widzi żonę swą w objęciach Paola, który ustami swemi zamyka jej konające usta. Kulawiec, szalony z bólu i wściekłości, drugim ciosem zadaje śmierć bratu. Oba splecione ciała zataczają się i padają, bez najmniejszego jęku i nie rozłączając się, na podłogę.)

(KULAWIEC nachyla się w milczeniu i na jedno przyklęknąwszy kolano, na drugim łamie szpadę skrwawioną.)

EXPLICIT TRAGOEDIA.

TRAGICZNE DZIEJE
DOKTORA FAUSTA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
CHICAGO, ILL.

STANDARD BOOKS
1212 N. Dearborn St.
CHICAGO, ILL.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
CHICAGO, ILL.

STANDARD BOOKS
1212 N. Dearborn St.
CHICAGO, ILL.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
CHICAGO, ILL.

Przekładu niniejszego dokonałem na podstawie wydania z r. 1604, powtórzonego przez najlepszego Marlowe'a wydawcę, Aleksandra Dyce'a, uwzględniając w dopiskach najgłówniejsze zmiany i wstawki z edycji z r. 1616, powtórzonej również przez Dyce'a w „The Works of Christopher Marlowe with some account of the Author and notes by the Rev. Alexander Dyce (London: Routledge, Warne and Routledge, Farrington-street. 1859).

Podział na sceny wziąłem z wydania Havelock'a Ellisa, który przedrukował edycję z r. 1604. (Christopher Marlowe edited by Havelock Ellis with an introduction by I. A. Symonds. London T. Fisher Unwin — New York Charles Scribner's Sons).

J. K.

DRAMATIS PERSONAE:

PAPIEŻ.

KARDYNAŁ LOTARYNGSKI.

CESARZ NIEMIECKI.

KSIĄŻĘ ANHALTSKI.

FAUST.

WALDES,
KORNELIUSZ, } przyjaciele Fausta.

WAGNER, służący Fausta.

BŁAZEN.

BARTEK.

KUBA.

KSIĘŻNA ANHALTSKA.

LUCYFER.

BELZEBUB.

MEFISTOFEL.

DOBRY ANIOŁ.

ZŁY ANIOŁ.

SIEDM GRZECHÓW GŁÓWNYCH.

DJABLI.

DUCHY w postaci ALEKSANDRA WIELKIEGO i jego kochanki, HELENY
TROJAŃSKIEJ.

GOŚCINNY, HANDLARZ KONI, RYCERZ, STARY CZŁOWIEK, SZKO-
LARZE, MNISI i ŚWITA.
CHÓR.

W WYDANIU Z R. 1616 OPRÓCZ POWYZSZYCH:

RAJMUND, król węgierski.

KSIĄŻĘ SASKI.

BRUNO.

MARCIN,

FRYDERYK,

BENWOLJO (zam. „Rycerza“) } szlachta.

FURMAN.

KARDYNAŁOWIE.

ARCYBISKUP RHEIMSKI.

BISKUPI, KSIĘŻA, ŻOLNIERZE.

GOŚCINNA.

CIEŃ DARYUSZA.

TRAGICZNE DZIEJE DOKTORA FAUSTA.

Wchodzi CHÓR.

Ani wędrując śród pól trazymeńskich,
Gdzie Mars bojował z Kartagińczykami,
Ani igrając z ponętą miłości
Na dworach królów, gdzie się państwa psuły,
Ani się kąpiąc w blasku dumnych czynów —
Nie! Muza nasza, górnym gardząc wierszem,
Pragnie, panowie, przedstawić wam dzisiaj
Stan losów Fausta, złych albo też dobrych.
O sąd cierpliwy prosząc was, nasamprzód
O jego latach wspomnimy dziecięcych.
Z prostaczych w Niemczech zrodził się rodziców,
W mieście, nazwanem Roder *); potem, w wieku
Będąc dojrzałym, szedł do Wirtembergi **),

*) Roda w księstwie Sasko-Altenburskiem.

**) Zapewne „Wirtembergi“.

Dokąd przywołał go jeden z krewniaków.
Niebawem tak się wyćwiczył tu w świętej
Teologii, że, zbierając owoc
Swojej nauki, został odznaczony
Mianem doktora, jako że był przedni
W wszelkiej rozkosznej dyspucie na polu
Niebiańskiej wiedzy, której się oddawał.
W zarozumiałą tak się wbijał dumę,
Że skrzydła jego, rwąc go nad granicę
Swojego lotu, wrychle się stopiły —
Niebo sprzysięgło się na jego zgubę.
I tak, spadając w tej czartowskiej szkole,
Syty złocistych darów swej nauki,
Jął się w przekłętym nurzać czarnoksięstwie.
Nic już miłszego nie znał ponad magię,
Którą nad własne przenosił zbawienie.
Lecz oto patrzcie! siedzi w swej pracowni!
(Wychodzi).

SCENA I.

FAUST w pracowni.

FAUST. Porzuć te studia, Fauście, i rozpocznij
Wnikać w głębiny tego, co chcesz głosić.
Z pozoru tylko bądź już teologiem.
Zmierzaj natomiast do kresu wszechwiedzy,
Żyj i umieraj w Arystotelesie.

Analytyko słodka, ma rozkoszy!
Bene disserere est finis logices. (Czyta).
Dysputowanie czyż to kres logiki?
Czyż większych cudów nie daje ta sztuka?
Przestań więc czytać, dotarłeś do kresu!
Górnieszych rzeczy pożąda duch Fausta.
Żegnaj mi „on kai me on“; chodź, Galenie!
Wszak „Ubi desinit Philosophus ibi incipit Medicus“;
Bądź więc lekarzem, Fauście, gromadź złoto,
Cudowne leki wieczne-ć dadzą życie.
Summum bonum medicinae sanitas. (Czyta).
Zdrowie ciał naszych, oto cel fizyki ~
Czyś nie osiągnął, Fauście, tego celu?
Aforyzmami nie są-ż tve już słowa?
A twe recepty czyż się nie zmieniły
Niby w pomniki po miastach, gdzieś zbawił
Tysiące ludzi od strasznej zarazy?
Przecież li Faustem jesteś i człowiekiem.
Gdybyś to ludziom wieczny dać mógł żywot,
Gdybyś umarłych wskrzeszać mógł do życia,
Wówczas twój zawód byłby wart cośkolwiek.
Żegnaj, fizyko! ~ Gdzież Justinianus? (Czyta).
Si una eademque res legatur duobus, alter rem, alter valorem
Marny wypadku nędznych testamentów! (Czyta). [rei, &.
Exhaereditare filium non potest pater nisi, &.
I oto jaka treść jest instytucji
I prawa ciało powszechnie! Zaiste,
Nauka godna najemnych pacholców,

Ządnych cudzego łańna, przedsię dla mnie
Nazbyt służalcza, zbyt illiberalna;
Widać, najlepsza zawsze-ć teologia;
Zaglądnij, Fauście, w biblię Hieronima. (Czyta).
Stipendium peccati mors est. Ha! Stipendium &.
Nagrodą grzechu śmierć jest... Zbyt to srogie. (Czyta).
Si peccasse negamus fallimur et nulla est in nobis veritas,
A kto mówi, że jest bez grzechu, ten oszukuje siebie samego,
i niema w nim prawdy... Znaczy to jednak, że grzeszyć
musimy, a skutkiem tego i umierać.
Tak, umrzeć musimy wiekuistą śmiercią!
Cóż to za mądrość jest: Che sera sera —
Będzie, co będzie? Adieu, teologio!
Metafizyczne księgi czarodziejów
I nekromantów — to mi rozkosz boska!
Koła, linije, głoski, charaktery —
Oto ku czemu tęskni Faust najbardziej:
Jakież to światy korzyści, rozkoszy,
Władzy, honorów i wszelkiej potęgi
Witają uczniów tej szczytnej nauki!
Wszystko, co żyje między biegunami,
Podległe będzie mej władzy. Królowie
I cesarzowie panują li w swoich
Krajach, lecz wiatrom powiać nie rozkażą
Ni chmur z ich drogi nie zwrócą. Kto zasię
Potrafił zdobyć władzę w tej dziedzinie,
Ten władać będzie po granice ducha:
Wszechmocnym bogiem wielki jest czarodziej —

Natęż mózg, Fauście, abys stał się bogiem.
Wagnerze!

(Wchodzi WAGNER).

Idź-że, pozdrów mych przyjaciół,
Hermana Valdes i Korneliusza;
Proś ich uprzejmie, by tu przyszli.

WAGNER.

Idę. (Wychodzi).

FAUST. Rozmowa z nimi więcej mi pomoże,
Niż moje wszystkie mozolne ślęczenie.

(Wchodzą: DOBRY ANIOŁ i ZŁY ANIOŁ).

DOBRY ANIOŁ. Porzuć, o Fauście, tę księgę przekłętą —
Duszę ci kusi, nie zaglądaj do niej —
Na głowę twoją ściąga gniewy boże.
Wgłębiaj się w Pismo; tamto jest bluźnierstwem!

ZŁY ANIOŁ. Postępuj dalej, Fauście, w słynnej sztuce,
Zawierającej cały skarb Natury.
Bądź tem na ziemi, czem Jowisz na niebie,
Panem i władcą wszelakich żywiołów.

(ANIOŁOWIE wychodzą).

FAUST. Jakżeż ja jestem przepełnion tą myślą!
Czyż na mój rozkaz przyniosą mi duchy
To, co mi rozkosz sprawia? czyż mnie zbawią
Z wszech wątpliwości? dokonająż tego,
Czego dokonać chcę rozpaczłą wolą?
Po skarby złota wyślę ich do Indyj,

Po wschodnie perły w dale oceanów
Niechaj mi wszystkie przetrząsną zakątki
Nowego świata i zniosą tu do mnie
Drogie owoce, książęce łakocie;
Niechaj mi nową odczytają wiedzę
I obcych królów zdradzą tajemnice;
Żelaznym wałem każę im otoczyć
Mój kraj niemiecki i oblać cudnemi
Wodami Renu ten gród Wirtenberski;
W szkołach publicznych zgromadzą mi jedwab,
Iżby żakowie godne mieli suknie;
Za ich pieniądze zwerbuję żołnierzy,
Wypędzę z ziemi naszej księcia Parmy
I sam królować będę w tych dzierżawach.
A tak, usłużne me duchy sprawniejszą
Wynajdą dla mnie machinę wojenną,
Niż owy móżdziej na moście antwerpskim.

(Wchodzą: WALDES i KORNELIUSZ *).

Hermanie Waldes i Korneliuszu,
Racście mnie swoją zaszczycić rozmową.
Waldes, mój Waldes, i ty, mój Korneli,
Wiedźcie, że wasze zyskały mnie słowa
Dla tajnej wiedzy i dla praktyk magji:
Wstrętną i ciemną dla mnie filozofia,
Dla mądrych mózgów prawo i fizyka,
A zaś najgorsza wśród nich teologia,

*) Słynny Korneliusz Agrippa. Herman (w tekście German) nieznany.

Nędzna, niemila i pogardy godna:
Magia, tak! magia oto rozkosz moja!
Dajcie mi pomoc, drodzy, bym ją zdobył.
A ja, com pobił swymi syllogizmy
Kościół niemiecki, com sprawił, że pyszny
Kwiat wirtenberskiej młodzi dziś się garnie
Do mych problemów, jak duchy podziemne
Do Musaeusa, gdy zstąpił do piekieł ~
Ja chcę być mędrcecm takim, jak Agrippa,
Który swym cieniem wzbudza cześć w Europie.

WALDES. Fauście, te księgi, dowcip twój wraz z szkołą
Naszych doświadczeń sprawią, że nas wszystkie
Ludy ogłoszą za świętych. Prawdziwie,
Jako indyjscy murzyni Hiszpanom,
Tak i nam służyć będą każdej chwili
Duchy żywiołów; strzedz nas będą zawsze,
Jak lwy, gdy tylko tak się nam spodoba.
Przy naszym boku staną, jak niemieccy
Jeźdźcy, w dziuryty zbrojni, lub jak owi
Wielkoludowie lapońscy; a czasem
Jako niewiasty albo też dziewice,
Mające więcej wdzięku w swem obliczu,
Niżeli łono Królowej Miłości.
Z Wenecji dumną przywiodą nam flotę,
Złote przyniosą runo z Ameryki,
Napełniające skarbiec Filipowy.
Fauście uczony, bądź także odważny!

FAUST. Tak-ci ja pragnę tego, jak ty pragniesz
Zycia, Waldesie; więc nie mówmy o tem.

KORNELJUSZ. Przedziwy magji sprawią to, iż żadnej
Tak się nie oddasz nauce, jak onej.
Kto w astrologję wgrzebał się, kto umie
Obce języki i zna minerały,
Ten zna zasady, których żąda magja.
Nie wątpij, Fauście, iżę będziesz sławny,
Ze dla twej tajnej wiedzy będziesz bardziej
Poszukiwany, niż wyrocznia w Delfach.
Mówią mi duchy, że osuszają morze,
Że nam z rozbitych statków zniosą skarby,
Wszystkie bogactwa, które zagrzebali
Nasi przodkowie w twardem wnętrzu ziemi;
Fauście, odpowiedz: czegoż nam zabraknie?

FAUST. Niczego — mówię! Co za rozkosz dla mnie!
Pokaż mi kilka doświadczeń magicznych,
Bym je zaprzysiągł w jakimś ciemnym gaju
I mógł używać pełni tej radości.

WALDES. Do samotnego więc podążaj lasu,
Dzieła Bakona weź i Albanusa,
Psałterz hebrejski i Nowy Testament;
A co ponadto będzie ci potrzebne,
Powiemy-ć wszystko, zanim odejdziemy.

KORNELJUSZ. Wprzód go, Waldesie, wyćwicz w słowach sztuki;
Gdy będzie świadom wszystkich ceremonji,
Niech się mózg jego sam już w to zaprawia.

WALDES. Wprzód cię nauczę podstaw, a wnet będziesz
W tej naszej wiedzy mądrzejszy odemnie.

FAUST. Spożyjcie ze mną obiad, po obiedzie
Będziemy dalej wszystkie snuć szczegóły;
Nim jeszcze zasnę, spróbuję, co umiem:
Choćbym miał umrzeć tej dzisiejszej nocy,
Pragnę zaprzysiądz na tę nową sztukę.
(Wychodzą).

SCENA II.

Wchodzi dwóch SZKOLARZY *).

PIERWSZY SZKOLARZ. Dziwię się wielce, gdzie się Faust
podziewa, którego szkoła nasza przywykła otaczać ze swoim
sic probo.

DRUGI SZKOLARZ. Wnet się dowiemy, idzie jego sługa.
(Wchodzi WAGNER).

PIERWSZY SZKOLARZ. Hejże, hej, chłopczel! gdzie się mistrz
[twój podział?

WAGNER. Bóg to niebieski wie!

DRUGI SZKOLARZ. Jakto, ty nie wiesz?

WAGNER. Wiem, i owszem; ale to z tego nie wynika.

*) Prawdopodobnie scena ta odbywa się przed domem Fausta, gdyż
Wagner mówi o swoim panu, że siedzi przy obiedzie.

Przyp. wyd. tekstu angielsk.

PIERWSZY SZKOLARZ. Idźże, chłopysiu; daj spokój żartom i powiedz nam, gdzie on się podziewa.

WAGNER. A ja powiadam, że to bynajmniej nie jest koniecznym wynikiem założenia, ażebyście wy, panowie licencjanci, byli w tej kwestji jak w ciemę bici: dlatego raczcie przyznać swój błąd i słuchajcie.

DRUGI SZKOLARZ. A więc nie myślisz nam wcale powiedzieć, że ci jest wiadomo?

WAGNER. Macie wy o tem jaką wiadomość?

PIERWSZY SZKOLARZ. Tak, chłopysiu, słyszałem ciebie.

WAGNER. Spytajcie się moich towarzyszy, czy jestem złodziejem.

DRUGI SZKOLARZ. A więc nie chcesz nam tego powiedzieć?

WAGNER. I owszem, mój panie, powiem; lecz gdybyście nie byli tak w ciemę bici, jak jesteście, juścić w tej kwestji wcale byście się mnie nie pytali; bo czyż on nie jest corpus naturale? nie jest on także i mobile; a zatem czyż godziło się wam pytać mnie w tej kwestji? Ale ponieważ z natury jestem flegmatyczny, do gniewu niepochozny, a skłonny do rozpusty (chciałem powiedzieć, do miłości), dlatego nie wyszłoby wam na dobre, gdybyście się tak na jakie czterdzieści stóp zbliżyć zechcieli ku szubienicy; chociaż, prawdę powiedziawszy, nie wątpię bynajmniej, że po następnej posiedzeniu obaj wisieć będziecie. Taki odniósłszy nad wami tryumf, ustroję teraz minę

czcigodnego kaznodziei i powiem: Zaiste, drodzy bracia moi, mistrz mój siedzi przy obiedzie, tam w izbie, razem z Walde-
sem i Korneliuszem, jakby Wasze Miłości poinformowało o tem
to wino, gdyby tylko mogło mówić; niech was zatem Bóg bło-
gosławi, niech ma was w swojej świętej opiece, o drodzy bra-
ciszku moi, niechaj was chroni od złego, o braciszku
drodzy! (Wychodzi).

PIERWSZY SZKOLARZ *). Nie! obawiam się teraz, że oddał
się tej przekłetej sztuce, która owych dwóch zniesławiła po
świecie.

DRUGI SZKOLARZ. Choćby mi obcym był człowiekiem, a nie
tak blizkim, jak jest, jeszcze-bym go pożałował. Ale chodź,
powiadomimy o tem rektora, może go jego rada poważna od-
wiedzie od tego.

*) W wydaniu z r. 1616:

PIERWSZY SZKOLARZ. O Fauście!

Lękam się wielce, żeś, jak tom przeczuwał,
Oddał się cały tej sztuce przekłetej,
Która ich obu zniesławiła po świecie.

DRUGI SZKOLARZ. Gdyby był obcy mnie, a nie tak blizki,
Jeszcze bym jego pożałował duszy;
Trzeba rektora zawiadomić o tem —
Niech go swą radą odwiedzie od tego.

PIERWSZY SZKOLARZ. Wszystko daremne — wielce się tem trwożę.

DRUGI SZKOLARZ. Zobaczmy jednak, czy co pomódz może.

PIERWSZY SZKOLARZ. O, wielce się obawiam, że nic go już od tego nie odwiedzie.

DRUGI SZKOLARZ. Trzeba wszystkie wypróbować środki.

(Wychodzą).

SCENA III.

Wchodzi FAUST, aby czynić zaklęcia *).

FAUST. Teraz, gdy ziemi mroczny cień, spragniony

Widoku jasnych oczu Oriona,

Wzniósł się ku niebu z dziedzin anarktycznych

I dzień swym czarnym, jak smoła, oddechem

Wokrag zaciemnia, — teraz pocznij, Fauście,

Swoje zaklęcia, iżbyś się przekonał,

Zali złe duchy, widząc twoje modły

I twe ofiary, posłuszne ci będą.

W tem oto kole i z tyłu i z przodu

Znaczą anagramm imienia Jehowy

I wszystkich świętych skrócone nazwiska,

Oraz figury wszelkich sług niebieskich,

Przeróżne błędnych gwieździec charaktery,

Za których mocą zjawiają się duchy:

Nie trwóż się, Fauście; bądź odważny, spróbuj,

Czego dokonać może sztuka magji.

*) Scena ta odbywa się prawdopodobnie w lesie.

Przyp. wydawcy tekstu angielsk.

Sint mihi Dei Acherontis propitii! Valeat numen triplex Jehovahae! Ignei, aerii, aquatani spiritus, salvete! Orientis princeps Belzebub, inferni ardentis monarcha, et Demogorgon, propitiemus vos, ut appareat et surgat Mephistophilis. Quid tu moraris? Per Jehovaham, Gehennam, et consecratam aquam quam nunc spargo, signumque crucis quod nunc facio, et per vota nostra, ipse nunc surgat nobis dicatus Mephistophilis!

(Zjawia się MEFISTOFEL).

Wzywam cię, wróć się i zmień postać swoją;
Zbyt jesteś brzydki, iżbyś był mi sługą.
Jako braciszek wróć tu franciszkański,
Djabłu najlepiej w postaci świętego.

(MEFISTO wychodzi).

Widzę, że moc jest w moich boskich słowach;
Któżby w tej sztuce nie podążał dalej?
Jakżeż układny jest ten Mefistofel,
Jakże posłuszny i pełen pokory!
Taka potęga jest w moich zaklęciach.
Teraz w zaklęciach jesteś laureatem,
Podlega-ć teraz wielki Mefistofel:
Quin regis Mephistophilis fratris imagine*).

(Wraca MEFISTOFEL w przebraniu Franciszkanina).

MEFISTOFEL. A teraz, Fauście, czego chcesz odemnie?

FAUST. Masz towarzyszem być mi, pokąd żyję,
Czynić, cokolwiek Faustus ci rozkaże,

*) W wydaniu z r. 1616 trzy ostatnie wiersze opuszczone.

Choćbyś miał księżyc cofnąć z jego sfery
Lub oceanem zalać wszystką ziemię.

MEFISTOFEL. Jam-ci wielkiego Lucifera sługa,
Mogę być z tobą li na jego rozkaz,
Czynić to tylko, na co on przyzwoli.

FAUST. Nie on ci kazał zjawić się przedemną?

MEFISTOFEL. Nie, jam z własnego przybył tu popędu.

FAUST. Czyś się nie zjawił na moje zaklęcia?
Mów!

MEFISTOFEL. Tak, to był powód, ale — per accidens;
Bo gdy słyszymy, że ktoś bluźni Bogu,
Zręka się Pisma i Zbawcy Chrystusa,
Przylatujemy wówczas w tej nadziei,
Że zdobędziemy jego świętą duszę.
Jawim się tylko, gdy użyje środków,
Wystawiających go na potępienie.
Przeto najkrótszą drogą zakłść będzie
Odprzysięganie się od świętej Trójcy
I pokłon, dany Piekielnemu Księciu.

FAUST. Tak zrobił Faustus
I takiej dzisiaj trzyma się zasady,
Że niema pana dłań nad Belzebuba,
Któremu Faustus poświęcił się cały.
Już go nie straszy wyraz „potępienie“,

Albowiem Piekło zrównał już z Elizjum;
Duch jego starym służy filozofom!
Lecz dajmy spokój bajaniu o duszy;
Powiedz, co zacz jest pan twój, ten Lucifer.

MEFISTOFEL. Arcymonarcha i pan wszystkich duchów.

FAUST. Nie był-że ongi Lucifer aniołem?

MEFISTOFEL. Tak, i najmiłszy ongi Panu Bogu.

FAUST. A w jaki sposób stał się Księciem djabłów?

MEFISTOFEL. Pycha i czelność sprawiły, że Bóg go
Musiał odtrącić od oblicza niebios.

FAUST. A wy, żyjący z nim, kim wy jesteście?

MEFISTOFEL. Nieszczęsne duchy, padłe z Luciferem;
Przeciwko Bogu razem z Luciferem
Bunt podnieśliśmy i dziś z Luciferem
Na potępienie skazani.

FAUST. I dzisiaj
Gdzie wy jesteście?

MEFISTOFEL. W piekle.

FAUST. Jak to się dzieje, żeś dziś poza piekłem?

MEFISTOFEL. Nie, tu jest piekło! Jam nie poza piekłem.
Azali myślisz, że ja, którym patrzył

W oblicze Boga i pił rozkosz nieba,
Nie znoszę dzisiaj mąk tysiącznych piekieł,
Pozbawion będąc wiecznego zbawienia?
Daj spokój, Fauście, niewczesnym pytaniom,
Które mi grozą napełniając duszę.

FAUST. Tak się więc jątrzy wielki Mefistofel,
Że się rozkoszy pozbawił niebieskich?
Od Fausta ucz się hartu i dzielności
I dóbr nie żałuj, których nie posiadałeś!
Luciferowi ponieś tę wiadomość:
Na śmierć się wieczną skazał Faust, zwątpiwszy
O Jowiszowem bóstwie, swemu władcy
Powiedz, że odda mu na wieki duszę,
Jeśli dwadzieścia i pięć lat pozwoli
Żyć mu we wszystkich przedniejszych rozkoszach.
Ty nieodstępny bądź mi towarzyszem,
Daj, czego tylko zapragnę od ciebie
I odpowiadaj na wszystkie pytania,
Uśmiercaj wrogów mych, wspieraj przyjaciół
I bądź posłuszny zawsze mojej woli.
Ku potężnemu wróć Luciferowi
I w mej pracowni zjaw się o północy
I z swego mistrza zapoznaj myślami.

MEFISTOFEL. Zrobię to, Fauście.

FAUST. Gdybym miał tyle dusz, co gwiazd na niebie,
Wszystkiebym oddał Mefistofelowi.

Przezeń chcę zostać królem tego świata
I most przerzucę przez okrąg powietrza,
By z hucem ludu przebyć oceany.
Połączę wzgórze nad brzegiem Afryki
I wraz z hiszpańskim zjednoczę je lądem,
Iżby podległe były mej koronie.
Cesarz żyć będzie li za moją wolą
I wszelki inny mocarz w kraju Niemców.
Teraz, gdym zyskał to, czegom zapragnął,
Będę się dalej zagłębiał w mej sztuce,
Pokąd nie wróci do mnie Mefistofel.

(Wychodzi).

SCENA IV.

Wchodzi WAGNER i BŁAZEN.

WAGNER. A ino, chłopysiu, a ino — chodź-że, chodź.

BŁAZEN. A ino, chłopysiu, a ino! Do kroćset! Myślę sobie, żeś aspan widział już niejednego chłopysia z taką kozią bródką, jak ja — he?

WAGNER. Powiedzże mi, chłopysiu, a masz ty jaki dochodek?

BŁAZEN. A juści — a i wychodek także, tylko się aspan przypatrz nieco bliżej.

WAGNER. A, ty nieboraku! Popatrzcie tylko, jak nędza przedrwiwa sobie jego nagość! Ten łotrzyk goły jest i bez służby,

a tak głodny, że duszę swoją oddałby djabłu za pośladki baranie, choćby i niedopieczone!

BLAZEN. Co? Duszę oddałbym djabłu za pośladki baranie, choćby i niedopieczone? Nie, zacny mój druhu. Na Przenajświętszą Panienkę, jeśli bym tak drogo miał płacić, to juścić pieczone musiałyby być godne i w dobrym sosie do tego.

WAGNER. Zgódź się na służbę do nas, a chodzić będziesz, jak Qui mihi discipulus! *)

BLAZEN. Jakto? w wierszach?

WAGNER. Nie, mociumdzieju, w litych jedwabiach i wszojademie**).

BLAZEN. Patrzcie mi, co za pan z Psiej Wólki! Myślę, że ojciec nic ci więcej nie zostawił. Słyszysz asana?

WAGNER. Mówięć, chłopysiu: we wszojademie!

BLAZEN. Oho! Oho! We wszojademie! Juścić, gdybym służył u asana, niechybnie wszyby mnie zjadły!

WAGNER. Tak i tak cię zjedzą, czy będziesz służył czy nie. Ale, mociumdzieju, dajże spokój żartom i zwiąż się ze mną na lat siedm, bo inaczej wszystkie twoje weszki przemienię w duchydomowniki, co cię rozszarpiają na sztuki.

*) Dyce, wydawca tekstu angielskiego, twierdzi, że są to początkowe wyrazy poematu W. Lily'a „Ad discipulos carmen de moribus“.

Przyp. tłum.

**) W orygin. stavesacre: ostrożka, roślina, używana w owych czasach jako środek przeciw wszom.

BŁAZEN. Słyszysz asan? Oszczędź sobie asan trudu; weszki tak się u mnie zadowożyły, w takiej żyją z ciałem mojem zażyłości, jakby tam na całkowitym były wikcie!

WAGNER. Słyszysz asan? Przestań drwić, masz tutaj kilka złotych.

BŁAZEN. Cóż to za pieniądze?

WAGNER. Francuskie korony!

BŁAZEN. Wiesz, tyle warte, co angielskie liczmany. Co ja mam z tem począć?

WAGNER. Jakto, mój chłopysiu? Niech ci to będzie przypomnieniem godziny, w której cię djabli porwą.

BŁAZEN. Nie, nie! Masz tu swoje z powrotem.

WAGNER. Kiedy ja nie chcę!

BŁAZEN. Kiedy musisz!

WAGNER. Przywiedź świadków, żem ci je dał.

BŁAZEN. Przywiedź świadków, że ci je oddaję.

WAGNER. Owszem; przywiodę-ć zaraz dwóch djabłów, co cię schrupią — Kusego i Kuternogę.

BŁAZEN. Niech ino się tu zjawia, ten twój Kusy i Kuternoga, a ja ich tak sprawię, jak nikt, odkąd są djabłami. Słuchaj, gdybym tak jednego z nich utłukł, cóżby na to powiedział naród?

„Popatrzcie ینو, ten kawaler w tych pludrach zabił djabła“. Ano i juścić zwałbym się odtąd djablobójcą *).

(Wchodzi dwóch DJABŁÓW. BŁAZEN biega jak szalony i wrzeszczy).

WAGNER. Kusy i Kuternoga! odejdźcie!

(DJABŁY znikają).

BŁAZEN. Jakto? uciekli? Zemsta na nich! Mają podle długie szpony. To był djabeł i djablica. Powiem waćpanu, po czym ich poznałem; wszystkie djabły mają rogi, a wszystkie djablice...

WAGNER. Słusznie, mociumdzieju. A teraz ze mną.

BŁAZEN. I owszem, pójdę — ale czy nie zechciałbyś asan nauczyć mnie, jak się wywołuje takich wciernościów?

WAGNER. Wyuczę cię czego innego — będziesz mógł przedzierzgnąć się, w cokolwiek zechcesz; w psa, abo kota, abo mysz, abo szczura — w cokolwiekbądź.

BŁAZEN. Co? Chrześcianański człowiek ma być psem, abo kotem, myszą, abo szczurem? Nie, nie, mój panie! Jeżeli mam się przedzierzgnąć w cokolwiek, to chyba w jaką zgrabną, zwinną muszkę, abym mógł sobie polecieć i tu i tam, gdzie ینو mi się zechce.

WAGNER. Chodź, mój chłopysiu, chodź.

*) W wydaniu z roku 1616 scena ta nieco skrócona, nie wpływa to jednak na tok akcji; zestawilem ją niezmienną z edycji z r. 1604.

BLAZEN. Słyszałeś, Wagner, com powiedział?

WAGNER. Hejże! Kusy! Kuternoga!

BLAZEN. O Boże! dajże spokój tym wciornastym!

WAGNER. Łotrze — mów do mnie panie Wagner i lewe oko wbij djametralnie w moją prawą stopę, ażebyś mógł quasi vestigiis nostris insistere. (Wychodzi).

BLAZEN. Boże mi wybaczyć, ale ten człowiek mówi górnołotnie!
I owszem, pójdę za nim: będę mu służył — — —*)
(Wychodzi).

*) W wydaniu z r. 1616:

WAGNER. Więc cóż, mój chłopysiu? Będziesz mi służył?

BLAZEN. Tak, dobry Wagnerze, tylko odpędź tych djabłów (tego djabła).

WAGNER. Duchy, odejdźcie! (Exeunt DJABLI). Teraz, chłopysiu, chodź za mną.

BLAZEN. I owszem, panie; ale słuchaj, mistrzu: nie zechcesz mnie nauczyć sztuki zaklínania?

WAGNER. I owszem, mój chłopysiu, nauczę cię, jak się możesz przedzierzgnąć w psa, albo kota, albo szczura, albo w coś innego.

BLAZEN. W psa, albo kota, albo mysz, albo szczura! O dzielny Wagnerze!

WAGNER. Łotrze! mów do mnie: panie Wagner! i uważaj, abyś chodził prosto, i lewe oko wbij djametralnie w moją prawą stopę, ażebyś mógł quasi vestigiis nostris insistere.

BLAZEN. I owszem, panie; przyrzekam waści. (Exeunt).

SCENA V.

FAUST w pracowni.

FAUST. A teraz, Fauście,

Jesteś potępion i zbawion nie będziesz.

Na cóż ci myśleć o Bogu na niebie?

Precz, złudy puste! — a ty pocznij wątpić:

W Boga ty wątpij, wierz Belzebubowi;

Niema powrotu, bądź odważny, Fauście!

Czego się wahasz? Głos brzmi jakiś w uszach:

„Wyrzec się magji, wróć znowu do Boga!“

O, Faustus znowu powróci do Boga.

Jakto? do Boga? — On nie kocha ciebie.

Bogu ci służyć według własnej woli,

A wolą twoją kochać Belzebuba;

Jemu postawię ołtarz i świątynię

I noworodków krew mu ofiaruję.

(Wchodzą: DOBRY ANIOŁ i ZŁY ANIOŁ).

DOBRY ANIOŁ *). Porzuć, o Fauście, tę przeklętą sztukę.

FAUST. Skrucha, modlitwy, pokuta!... Co czynić?!

DOBRY ANIOŁ. Są jeszcze drogi, wiodące do nieba.

*) W wydaniu z r. 1616:

ZŁY ANIOŁ. Postępuj dalej, Fauście, w swojej sztuce.

ZŁY ANIOŁ. Złudzy, owoce księżycowych widzeń ~

Wnet oszaleje ten, kto w nie uwierzy.

DOBRY ANIOŁ. O niebie, Fauście, myśl, o sprawach bożych.

ZŁY ANIOŁ. Nie, o zaszczytach myśl i o bogactwach.

(ANIOŁOWIE znikają).

FAUST. Bogactwa!

Państwo Embdeńskie wrychle będzie mojem,

Gdy Mefistofel stanie przy mym boku.

Cóż Bóg tu znaczy? Fauście, wszystko dobrze!

Rzuć wątpliwości, przyjdź, Mefistofelu,

Od Lucifera przynieś wieść radosną;

Czyż to nie północ?... Przyjdź, Mefistofelu;

Veni, veni, Mephistophile!

(Zjawia się MEFISTOFEL).

Powiedz, co rzekł ci władzca twój, Lucifer?

MEFISTOFEL. Abym był Fausta nieodstępnym druhem,

Jeśli me służby okupi swą duszą.

FAUST. Wszakże na hazard ten już Faust się zdobył.

MEFISTOFEL. Lecz uroczyście musisz to poprzysiądz

I krwią swą własną podpisać cyrograf.

Gdyż tej pewności chce wielki Lucifer.

Jeśli odmówisz, powrócę do piekła.

FAUST. Mefistofelu, powiedz, na co twemu

Przyda się panu ma dusza?

MEFISTOFEL.
Jego królestwo.

Powiększy

FAUST. Przeto nas tak kusi?

MEFISTOFEL, Solamen miseris socios habuisse doloris.

FAUST. Jakiż wy także znosicie męczarnie,
Wy, co męczycie innych?

MEFISTOFEL. Takie same,
Jakich doznają dusze śmiertelników.
Lecz powiedz, Fauście, posiądeś twą duszę?
Sługą twym będę i druhem, dam tobie
Więcej, niż mózg twój zażądać wydoła.

FAUST. Mefistofelu, oddaję ci duszę!

MEFISTOFEL. A więc odważnie, Fauście, tnij się w ramię
I zwiąż swą duszę, iżby dnia pewnego
Zabrał ją wielki Lucifer, jak swoją;
Wówczas ty będziesz wielki, jak Lucifer.

FAUST (zaczyna się w ramię). Mefistofelu! z miłości ku tobie
Tnę się w to ramię i tą krwią swą własną
Luciferowi zapisuję duszę,
Przedniemu władzcy, panu wiecznej nocy!
Spojrzyj, jak krew ta cieknie mi z ramienia —
Niech ona będzie spełnieniem mych życzeń.

MEFISTOFEL. Lecz, Fauście,

W formie kontraktu zapisać ją musisz.

FAUST. Zrobię tak, owszem. (Pisze). Lecz, Mefistofelu,

Krew ma tężeje; pisać już nie mogę.

MEFISTOFEL. Przyniosę ognia, aby ją roztopić. (Znika).

FAUST. Cóż może znaczyć to mej krwi stężenie?

Azali nie chce, bym spisał ugodę?

Czemu nie cieknie, bym pisał na świeżo?

Faust ci oddaje duszę. Znów stężała.

Czyż ci nie wolno? Nie twojąż twa dusza?

Pisz zatem dalej: Faust oddaje-ć duszę.

(Wraca MEFISTOFEL z głownią).

MEFISTOFEL. Oto jest ogień... Siadaj przy nim, Fauście.

FAUST. Krew ma zaczyna znowu się klarować.

Teraz natychmiast sprawę tę zakończę. (Pisze).

MEFISTOFEL. Czegoż nie czynić, by wziąć taką duszę. (Siada).

FAUST. Consummatum est. Cyrograf gotowy.

Luciferowi Faust swą oddał duszę.

Lecz coś ten napis na ramieniu znaczy —

To „Homo, fuge!” — Dokąd mam uciekać?

Jeśli do Boga, on mnie w piekło strąci.

Rozum się mąci — tu niema ni słowa.

Co jednak widzę — napisano tutaj —

Tak — homo, fuge! Lecz Faust nie ucieknie.

MEFISTOFEL. Czemś rozweselić trzeba go w tej chwili. (Znika).

(MEFISTOFEL wraca w towarzystwie DJABŁÓW, którzy przynoszą ko-
rony i bogate szaty dla Fausta, tańczą, a potem znikają).

FAUST. Mefistofelu, powiedz, cóż to znaczy?

MEFISTOFEL. Ażebyś duszę swoją rozweselił
I abyś widział, co wydoła magja.

FAUST. Lecz ja czyż mógłbym wywołać te duchy?

MEFISTOFEL. Tak, lecz i stokroć większe spełniać dziwy.

FAUST. Za to i tysiąc dusz nie będzie dużo.

Mefistofelu, masz tutaj cyrograf —

Duszę i ciało oddaję ci w zastaw,

Lecz pod warunkiem, że wykonasz wszystko

Według umowy, którąśmy zawarli.

MEFISTOFEL. Na Lucifera przysięgam i piekło,
Że wszystkich naszych dotrzymam warunków.

FAUST. A więc posłuchaj, co-ć przeczytam: „Pod następującymi warunkami: Po pierwsze, iż Faustus ma być duchem w formie i substancji. Po drugie, iż Mefistofeles ma być jego sługą i na jego rozkazy. Po trzecie, ma dla niego spełniać i przynosić mu, czego żywnie zapragnie. Po czwarte, iż ma być w jego komnacie czy też domu jego niewidzialny. Na końcu, iż wymienionemu Janowi Faustowi ma się zjawiać w jakiejkolwiek postaci

i w jakimkolwiek kształcie on zechce. Ja, Jan Faustus z Wer-
tenbergi, doktor, oddaje niniejszem i ciało i duszę Luciferowi,
księciu Wschodu, i jego słudze, Mefistofelowi; a gdy upłynie
lat dwadzieścia i pięć, a wyżej wymienione artykuły naruszone
nie będą, odstępuję im całkowitą władzę, iżby sobie rzeczono-
go Jana Fausta zabrali, albo zabrać go kazali, jego duszę i ciało,
jego krew i kości wraz z jego dobytkiem i wyznaczyli mu miej-
sce u siebie, gdzie im się tylko spodoba. Co własnoręcznie pod-
pisuję. Jan Faustus“.

MEFISTOFEL. Czyż mi to dajesz jako swój cyrograf?

FAUST. Bierz i niech Djabeł za to ci zapłaci.

MEFISTOFEL. A teraz, Fauście, żądaj, czego zechcesz.

FAUST. Chcę się nasamprzód zapytać o piekło.

Gdzież jest to miejsce, które zowią piekłem?

MEFISTOFEL. Pod niebiosami.

FAUST. Ale w którym miejscu?

MEFISTOFEL. W wnętrzu żywiołów, tam, gdzie my wieczyste
Znosić musimy tortury. Toć powiem,
Ze piekło niema określonych granic
W jakimemś miejscu stałem; tam jest piekło,
Gdzie my jesteśmy, a gdzie zaś jest piekło,
Tam i my zawsze przebywać musimy;
Wreszcie, gdy cały świat się ten rozpadnie,

Gdy się oczyści wszelakie stworzenie,
Zostanie piekło tam, gdzie niema nieba.

FAUST. Zda mi się przecież, że piekło jest bajką.

MEFISTOFEL. Myśl tak, aż myśl twą zmieni doświadczenie.

FAUST. A więc ty mniemasz, że będę potępion?

MEFISTOFEL. Tak, niewątpliwie, mam bowiem cyrograf,
Którymś swą duszę dał Luciferowi.

FAUST. Tak, lecz i ciało; nie troszczę się o to.
Sądzisz, że Faust tak głupi, iżby wierzył
W jakieś męczarnie po życiu doczesnem?
Wszystko to bajki, starych bab wymysły.

MEFISTOFEL. Niech ja ci, Fauście, wystarczę za dowód,
Ze jest inaczej: skazan, żyję w piekle.

FAUST. W piekle — w tej chwili?
Jeśli to piekło, pragnę być potępion!
Co? mówiąc ze mną, chodząc i tak dalej?
Rzućmy te gadki; przywiedź mi kobietę,
Przenajpiękniejszą na niemieckich ziemiach,
Albowiem jurny jestem i chutliwy
I bez kobiety żyć tutaj nie mogę.

MEFISTOFEL. Przywieść kobietę?
Proszę cię, Fauście, nie mów o kobiecie.

FAUST. Nie, luby Mefistofelu, przywiedź mi kobietę, pragnę mieć kobietę.

MEFISTOFEL. Dobrze — będziesz ją miał. Czekaj tu na mnie, aż wrócę. Przywiodę-ć kobietę w imię Djabła. (Znika).

(MEFISTOFEL wraca z DJABLEM w postaci kobiety).

MEFISTOFEL. Jak ci się, Fauście, widzi twa niewiasta?

FAUST. Zaraza na nią — wszak-ci to jest kurwa!

MEFISTOFEL. Tak, Fauście,

Małżeńskie śluby — pusta ceremonia;

Jeśli mnie kochasz, nie mów o tem więcej.

Ja-ć najpiękniejsze sprawię kurtyzany,

Każdego rana przywiodę-ć do łóżka;

Którą twe oko polubi, posiądziesz,

Choćby niewinną była Penelopą,

Mądrą jak Saba, a taką nadobną,

Jako Lucifer jasny przed upadkiem.

Masz tutaj książkę, używaj jej mądrze:

(daje mu książkę)

Pociągnij linje te, będziesz miał złoto;

A gdy zakreslisz koło to na ziemi,

Wichry się zerwą, grzmoty, błyskawice;

Wymów pobożnie — o, te trzy wyrazy,

Wnet się przy tobie zbrojni zjawią męże,

Gotowi spełnić wszystko, co rozkażesz.

FAUST. Dziękuję ci, Mefistofelesie; ale ja pragnąłbym mieć księgę, w którejbym znalazł wszystkie czarnoksiężkie zaklęcia; iżbym mógł wywoływać duchy, gdy zechcę *).

MEFISTOFEL. Masz to w tej księdze.
(odwraca stronnice).

FAUST. Chciałbym mieć księgę, w którejbym widział charaktery i planety niebieskie, iżbym mógł poznać ich ruchy i położenia.

MEFISTOFEL. I to masz tutaj.
(odwraca stronnice).

FAUST. Nie, daj mi jeszcze księgę, w którejbym zobaczył wszystkie rośliny, zioła i drzewa, rosnące na ziemi.

MEFISTOFEL. Masz je tutaj.

FAUST. O, waść się mylisz.

MEFISTOFEL. Nie, zaręczam ci.
(zwraca się ku niemu).
(Wychodzi).

*) W wydaniu z r. 1616:

FAUST. Mefistofelu, dzięki za tę księgę;
Będzie mi cenną tak, jak moje życie. (Exeunt).

Reszta aż do sceny szóstej opuszczona.

SCENA VI.

Wchodzi FAUST i MEFISTOFEL.

FAUST. Patrząc na niebo, wielką czuję skruchę
I klnę tu ciebie, zły Mefistofelu,
Iżeś mnie okradł z tych świętych rozkoszy.

MEFISTOFEL. Co, Fauście,
Myślisz, że niebo jest czemś tak wspaniałem?
Ani połowy nie jest-ci tak piękne,
Jak ty i inni, żyjący na ziemi.

FAUST. Czem mi dowiedziesz tego?

MEFISTOFEL. Dla człeka było stworzone, dlatego
Człowiek piękniejszy jest, niżeli niebo.

FAUST. Jeśli dla człeka, więc także i dla mnie.
Zrzeknę się magji, będę pokutował.

(Wchodzą: DOBRY ANIOŁ i ZŁY ANIOŁ).

DOBRY ANIOŁ. Pokutuj, Fauście, a Bóg się zlituje.

ZŁY ANIOŁ. Bóg się zlitować nie może; tyś duchem.

FAUST. Któż mi do ucha szepcze, żem jest duchem?
Jeślim jest czartem, Bóg się ulituje —
Bóg się zlituje, jeżeli się skruszę.

ZŁY ANIOŁ. Tak, ale Faustus nigdy się nie skruszy.
(ANIOŁOWIE znikają).

FAUST. Serce me twarde, skruszyć się nie mogę.

Ledwie wymówić mogę niebo, wiarę,
Strasżliwe echa grzmiały mi w moich uszach:
„Potępion jesteś, Fauście!” Miecze, noże,
Trucizna, stryczki i zatrute stale
Leżą przedemną, by mnie zabrać z ziemi;
Dawnobym zabił siebie, ale słodka
Żądza rozkoszy zwycięża mą rozpacz.
Czyż mi nie śpiewał Homer o miłości
Aleksandrowej? o śmierci Oeony?
Czyż ten, co mury zbudował tebańskie,
Nie zagrał dla mnie na rozkosznej harfie,
Czyż mi nie nucił wraz z Mefistofelem?
Przecż mi umierać lub podle rozpaczać?
Nie! Faust się nigdy nie odda pokucie —
Mefistofelu, chodź, pomówmy znowu
O astrologji boskiej tajemnicach.
Powiedz, są-ż jeszcze sfery nad księżycem?
Czyż jednym globem są ciała niebieskie?
Czyż są z tej samej substancji, co ziemia?

MEFISTOFEL. Jako żywioły, tak są też i sfery*),
Wzajemnie w swoje wplatają się kręgi,

*) W wydaniu z r. 1616:

Jako żywioły, tak są też i sfery;
Ode księżycy do nieb empirejskich etc.

I Fauście,
Naokół jednej li wirują osi,
Mającej kres swój na wielkim, dalekim
Biegunie świata; Saturn, Mars i Jowisz
To nie imiona zmyślane, lecz gwiazdy.

FAUST. Lecz powiedz! czyż one mają tylko jeden ruch, *situ et tempore*?

MEFISTOFEL. Wszystkie poruszają się razem od wschodu do zachodu w dwudziestu czterech godzinach naokoło biegunów świata; ale się różnią w swym ruchu naokół biegunów zodiaku.

FAUST. Sza!

Takich mądrości świadom jest i Wagner.

Mefistofelu, nie masz nic lepszego?

Któż podwójnego ruchu planet nie zna?

Pierwszy się kończy w czasie zwykłej doby.

A zaś co do drugiego sprawa ma się tak: Saturn w trzydziestu latach; Jowisz w dwunastu; Mars w czterech; Słońce, Wenus i Merkury w jednym roku; Księżyc w dniach dwudziestu i ośmiu. Ha! to są łapanki żakowskie. Lecz powiedz mi, czyż każda sfera ma swoje *dominium et intelligentia*?

MEFISTOFEL. Tak.

FAUST. A ile mamy tutaj niebiosów czy też sfer?

MEFISTOFEL. Dziewięć: siedem planet, firmament i niebo *empirejskie*.

FAUST*). Dobrze, lecz odpowiedz mi w tej kwestyi: Czemuż nie mamy tutaj konjunkcyj, opozycyj, aspektów, eklips w jednym czasie, dlaczego w niektórych latach mamy ich więcej, a w niektórych mniej?

MEFISTOFEL. Per inaequalem motum respectu totius.

FAUST. Dobrze, przyjmuję odpowiedź. Powiedz mi, kto stworzył świat?

MEFISTOFEL. Nie chcę.

FAUST. Luby Mefistofelu, powiedz!

MEFISTOFEL. Nie doprowadzaj mnie do irytacji, nie powiem.

FAUST. Łotrze, nie jesteś obowiązany powiedzieć mi wszystkiego?

MEFISTOFEL. To, co nie jest sprzeczne z naszym królestwem; a to się sprzeciwia. Myśl, Fauście, o piekle, albowiem jesteś potępiony.

FAUST. Myśl, Fauście, o Bogu, który stworzył świat.

MEFISTOFEL. Pamiętaj o tem.

*) W wydaniu z r. 1616:

FAUST. Ale czy niema tu coelum igneum et crystallinum?

MEFISTOFEL. Nie, Fauście, to są tylko bajki.

FAUST. Do swego piekła zejdz, przeklęty duchu,
Ty, coś potępił biedną duszę Fausta.
Czyż nie za późno?

Wracają DOBRY ANIOŁ i ZŁY ANIOŁ.

ZŁY ANIOŁ. Za późno!

DOBRY ANIOŁ. Przenigdy
Nie jest za późno, jeśli Faust się skruszy.

ZŁY ANIOŁ. Jeśli się skruszysz, czarci cię rozszarpia.

DOBRY ANIOŁ. Skrusz się, a z głowy i włos ci nie spadnie.
(ANIOŁOWIE znikają).

FAUST. O Chryste, Zbawicielu!
Racże wybawić biedną duszę Fausta.
(Wchodzą: LUCIFER, BELZEBUB i MEFISTOFEL).

LUCIFER. On cię nie zbawi, bo jest sprawiedliwy.
Ja tylko jeden troszczę się o ciebie.

FAUST. Ktoś ty, patrzący na mnie tak straszliwie?

LUCIFER. Jestem Lucifer,
A to współwładzca mój w królestwie piekieł.

FAUST. Fauście, przybyli zabrać twoją duszę!

LUCIFER. Myśmy przybyli, aby ci powiedzieć,
Że nam złorzeczysz. Mówisz o Chrystusie,
Wbrew przyrzeczeniu: O Djabie ci myśleć!

FAUST. Nie będę myślał o Bogu, przebaczcie!

Nigdy ku niebu Faust nie zwróci oczu,
Nie przyzwie Boga, modlić się nie będzie,
Lecz spali Pismo Jego i zabije
Tych, co mu służą, a zaś swoim duchom
Każe rozwalić wszystkie ich kościoły.

LUCIFER. Zrób to, a my ci za to sowitą damy nagrodę. Fauście, przybyliśmy tu z piekieł, aby ci wesołą sprawić krotoczwilę: siądz, a niebawem zobaczysz wszystkie Siedem grzechów głównych w ich własnych postaciach.

FAUST. Taką to wielką sprawi mi uciechę,
Jaką miał Adam w Raju w pierwszej chwili
Swego stworzenia.

LUCIFER. Nie mów o Raju ani o stworzeniu, lecz patrz na widowisko, mów o Djabie, o niczem więcej.

(Wchodzi SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH).

A teraz, Fauście, spytaj ich o poszczególne nazwiska i o ich przymioty.

FAUST. Kimże ty jesteś — ty pierwsza?

PYCHA. Jestem Pycha. Nie mam żadnych rodziców. Jestem jak pchła Owidiusza *). Wciskam się we wszystkie kąty kurwy; siedzę jej na głowie, jako peruka **), albo jak wachlarz z piór;

*) Alluzja do średniowiecznego *Carmen de Pulice*, przypisywanego Owidjuszowi. Przyp. wyd. tekstu angielsk.

**) W wydaniu z r. 1616: albo jak naszyjnik wisząc jej na szyi, etc

całuję jej usta, a potem zamieniam się w starą koszulę i robię z nią, co mi się żywnie podoba. Prawdziwie — czego ja z nią nie robię! Lecz, fe! cóż to jest za smród! Nie powiem już ani słowa, choćbyście mi dali nawet tyle, ile wart jest król, jeżeli natychmiast nie zlejecie ziemi perfumą i nie zakryjecie jej dywanem.

FAUST. A kto ty jesteś — ty druga?

CHCIVOŚĆ. Jestem Chciwość. Spłodził mnie stary kutwa w skórzanym worku. A gdybym mogła mieć jaką żądzę, pragnęłabym, iżby ten dom zmienił się wraz z wszystkimi mieszkańcami w kupę złota, iżbym je mogła wpakować do sakwy. O moje słodkie złoto!

FAUST. A kimże jesteś ty — trzeci?

GNIEW. Jestem Gniew. Nie miałem ani matki ani ojca. Wyskoczyłem z gardzieli lwa, mający zaledwie godzinę żywota; i od tego czasu biegam po świecie z tą pochwą rapierów*), raniący siebie samego, jeżeli nikt się nie znajdzie, coby chciał bić się ze mną. Urodziłem się w piekle; a strzeżcie się, bo juścić jeden z was będzie zapewne mym ojcem!

FAUST. A kto ty jesteś, ty — czwarta?

ZAZDROŚĆ. Jestem zazdrość, zrodzona z kominiarza i z sprzedawczki ostryg. Nie umiem czytać i dlatego pragnę, iżby spalono wszystkie księgi. Schudłam, patrzący, że inni jedzą. Bodałby głód nawiedził ten świat, iżby pomarli wszyscy, a ja jedyna została

*) Pochwa z dwoma rapierami.

Przyp. wyd. tekstu angielsk.

przy życiu! Zobaczyłbyś, jakbym wtedy utyla. Ale czyż ty musisz siedzieć, gdy ja stoję? Wstańże do licha!

FAUST. Odejdź ty, ścierko zawistna! Kimże ty jesteś, ty — piąta?

OBŻARSTWO. Jestem Obżarstwo. Rodzice moi umarli oboje, zostawiając mi djabła za całą schedę; nie wielki to dochód — wystarczy zaledwie na trzydzieści obiadów dziennie i dziesięć przekąsek — chuda biesiadka, nie nasyci natury. O, królewskiego jestem pochodzenia. Mój dziad zwał się imię pan Połec pan na Słoninie, a babka moja Głowa Świńska na Burgundzkim Winie; ojcami chrzestnymi byli imię pan Piotr Wędzony-Śledź i Marcin Wół Świętomarciński*); o, a moja matka chrzestna, znana i ukochana w każdym porządnym grodzie, zwała się imię pani Małgorzata Marcowe-Piwko. Znasz teraz, Fauście, moją progeniturę. Nie zaprosisz mnie na wieczerzę?

FAUST. Nie, wolałbym, iżby cię powieszono: pożarłabyś mi wszystkie moje wiktuały.

OBZARSTWO. Niech cię djabli porwą!

FAUST. Ciebie niech porwą, obżartusie! A kto ty jesteś — ty szósta?

LENISTWO. Jestem Lenistwo. Wylęgåłam się na rozgrzanym piasku nadbrzeżnym, gdzie się dotąd wylegiwam; a wyście

*) Około świętego Marcina zaczynano w Anglii wędzić i peklować prowianty mięsne, przeznaczone na zimę. Przyp. wyd. tekstu ang.

LUCIFER. Zegnaj mi, Fauście i myśl o Szatanie.

FAUST. O Luciferze, żegnaj!

(Exeunt LUCIFER i BELZEBUB).

Chodź, Mefistofelu.

(Exeunt *).

*) W wydaniu z r. 1616 następuje scena:

Wchodzi BARTEK z książką.

BARTEK. Słuchaj, Kuba! dogładnij tam koni, dopóki nie wrócę. Zwędziłem jedno z czarnoksiężskich dzieł doktora Fausta; trzeba teraz próbować sztuki złodziejskiej.

(Wchodzi KUBA).

KUBA. Słuchaj, Bartek! Musisz wrócić i wyjechać z końmi.

BARTEK. Co! Ja wyjechać z końmi!? Ani mi się nie śni! Mam inne sprawy na myśli! Niech sobie konie wyjadą same, kiej chcą! (Czyta:) A per se, a; t, h, c, de; a per se, a; Demi orgon gorgon. — Precz ode mnie, ty niehadukowany, ciemny koniucho!

KUBA. A niech cię gad ukąsi! Cóżes to zwędził? Książkę? Nie wyczytasz przecie ani słowa!

BARTEK. Zaraz się przekonasz! Wyjdź mi z koła! Bo ani się spodziewasz, jak cię prasnę z powrotem do stajni!

KUBA. To mi się podoba, naprawdę! Dałbyś spokój błażnowaniu, bo jak wróci mój pan, to ci porządne sprawi zakłęcie!

BARTEK. Mój pan mi sprawi zakłęcie! Ja ci coś powiem: niech ino mój pan się tu zjawi, to przyprowadzę mu taką parę rogów, jakich nie widziałś w życiu.

KUBA. Nie potrzebujesz tego robić, postarała się już o to moja pani.

(Wchodzi CHÓR).

CHÓR. Uczony Faustus,

Pragnący poznać tajnie astronomji
W Jowiszowego firmamentu księdze,
Wzniósł się na szczyty Olimpu i siadł tam
W promiennym wozie światłości, ciągnionym
Przez zaprząg smoków z jarzmami na karku*).

BARTEK. Ejże, są tutaj ludzie u nas, którzy tak głęboko wniknęli w tę materję, jak wielu innych, gdyby tylko chcieli mówić.

KUBA. Niech cię morówka! Zawszem sobie myślał, że przecież nie za darmo tak się włóczysz za nią. Ale proszę cię, Bartek: tak naprawdę, powiedz, czy to rzeczywiście jest dzieło czarnoksiężkie?

BARTEK. Powiedz, co mam ci zrobić, a zrobię to w te tropy; 'żeli chcesz tańczyć nago, to zdejmij ze siebie suknię, a ja cię zaczaruję od razu; abo, 'żeli chcesz ze mną pójść do szynku, tak ci dam białego wina, czerwonego wina, burgundzkiego wina, szampańskiego, muszkatułowego, małmazji, wytrawnego, zobaczysz, braciszku, zobaczysz i nie zapłacisz za to ani półgrosza.

KUBA. O mój zacnoszu! Błagam cię, chodźmy w te tropy, spragniony jestem jak pies.

BARTEK. No to i chodźmy! (Exeunt).

*) W wydaniu z r. 1616, znajduje się następująca wstawka:

Chmury tu widzi, gwiazdy i planety,
Dzierżawy niebios i strefy gorące,
Od promiennego rogu miesięcznego
Aże po jasną wyż *Primum Mobile*.
Tutaj, wirując w bezmiernych okręgach

Pragnąc się teraz oddać kosmografji,
Potem, jak myślę, chce przybyć do Rzymu,
Aby papieża ujrzeć razem z dworem
I być obecnym na świętego Piotra
Uroczystości, którą dziś obchodzą.

(Wychodzi).

SCENA VII.

Wchodzi FAUST i MEFISTOFEL.

FAUST. Takeśmy oto, mój Mefistofelu,
Przebiegli cudnie piękny gród Trewiru,
Gór wspaniałymi otoczon szczytami,
Wałem krzemiennym, głębokością jezior —
Gród, niedostępny księżęcym zdobywcom;
Dalej przez Paryż, okrążywszy Francję,
Men ujrzelśmy, jak wpada do Renu,
Którego brzegi lśnią zielenią winnic;

Ponad wklęsłością bieguna, od wschodu
Ku zachodowi biegły jego smoki,
By go po ośmiu dniach przywieść do domu.
Niedługo w cichem zabawił ustroniu,
Aby po trudach dać spoczynek kościom.
Do nowych badań uczuwa podniechę:
Tak więc, usiadłszy znów na grzbiecie smoka,
Poprzez powietrzne mknącego przestworza,
Pragnie się teraz oddać kosmografji etc.

Do Neapolu potem i Kampanji,
Tam, gdzie olbrzymie widnieją budowle,
Gdzie prostych ulic piękne leżą bruki,
Krające miasto w cztery równe części:
Tu widzieliśmy złoty grób Marona,
Który w noc jedną w twardej wykuł skale
Drogę na miłę angielską; do Padwy
I do Wenecji potem, gdzie wspaniała
Strzela świątynia w górę, aż ku gwiazdom*).
Tak Faust przepędził czas aż do tej chwili.
Teraz mi powiedz, cóż to za miejscowość
Ona-ć przed nami? Jakom ci rozkazał,
Czyś mnie już przywiódł w obręb murów Rzymu?

MEFISTOFEL. Tak, Fauście; a ponieważ nie chcemy być bez dachu, wybrałem na mieszkanie dla naszego użytku prywatne komnaty Jego Świątobliwości.

FAUST. Godnie nas przyjmie, myślę, Ojciec święty.

MEFISTOFEL. Niema o czem mówić, mój człecze; zadowoleni będziemy z jego pieczeńi.

A teraz, Fauście, iżbyś się przekonał,
Jakie są cuda w Rzymie dla twych oczu,
Wiedz, iż na siedmiu wzgórzach gród ten stoi,

*) W wydaniu z r. 1616 znajduje się następująca wstawka:
Z barwnych kamieni mająca posadzkę
I dach, przedziwnie wyrobiony z złota.

Podtrzymujących te jego posady:
Przez środek miasta płynie Tyber kręty,
Przecinający je na dwie dzielnice:
Na rzece cztery okazałe mosty,
Bezpieczne przejście dające do wszystkich
Kwadratów Rzymu; nad jednym, co zwie się
Ponte Angelo, wznosi się ów zamek,
Którego murów strzeże tyle armat,
Tyle dwururnych dział, wykutych z spiżu,
Ile dni w jednym naliczymy roku.
Przypatrzyć się bramom, spojrzeć na piramidy*),
Które z Afryki przywiózł Juliusz Cezar.

FAUST. Na podziemnego Królestwa potęgę,
Na Styks, Acheront, na płomienne wody
Rozpalonego wiecznie Flegetonu
Przysięgam tobie, że pragnę zobaczyć
Świetny gród rzymski i jego pomniki.
A zatem chodźmy co prędzej.

MEFISTOFEL. Poczekaj, Fauście; wprzód zobacz Papieża,
Świętopietrzańską zobacz uroczystość **).

*) Mowa tu widocznie o obeliskach.

**) W wydaniu z r. 1616 scena ta i następne znacznie są rozszerzone i zmienione:

MEFISTOFEL. Poczekaj, Fauście, wprzód zobacz papieża,
Świętopietrzańską zobacz uroczystość,

Mnichów tam ujrzysz z wygoloną głową,
Dla których summum bonum dobra pieczeń.

FAUST. Zadowolony jestem, że to ujrzę,
Że w ich szaleństwie znajdę krotoczwilę.

Którą z przepychem wielkim, okazale
Obchodzą dzisiaj ku papieża chwale
W Rzymie i Włoszech całych.

FAUST. Doskonale!

Podobasz mi się, mój Mefistofelu!
Dopóki żyję, pragnę mieć to wszystko,
Co tylko serce człeka rozwesela.
Dwadzieścia cztery lata mej swobody
Pragnę w rozkoszy przebyć i uciecze,
Iżby nazwisko Fausta przejasnemi
Lśniło płomieniami po wszelakiej ziemi.

MEFISTOFEL. Dobrze powiadasz, Fauście! Chodź więc ze mną,
A wnet uciechę będziesz miał przyjemną.

FAUST. Nie, nie, poczekaj, cny Mefistofelu!
Wprzód spełnij prośbę mą, potem pójdziemy.
Wiesz, żeśmy w czasie ośmiu dni widzieli
Oblicze niebios i ziemi i piekła:
A tak wysoko poniosły nas smoki,
Że, kiedym spojrzał w dół, tak mi się ziemia
Nie wiele większą zdała od mej dłoni.
Królestwa świata widzieliśmy tutaj,
Wszystko, co może uradować oczy.
Chcę i w tem udział wziąć: papieskie lice
Niech mojej sztuki ujrzy tajemnicę.

Mefistofelu, zaczaruj mnie teraz,
Bym niewidzialny był, abym mógł czynić,
Co mi się tylko podoba, w tym Rzymie.

(MEFISTOFEL zaczarowuje go).

MEFISTOFEL. Dobrze; lecz wprzód niech ujrzą twe oczy,

Jak się ich pochód tryumfalny toczy.

Niech na twą sztukę papież się przeżegna.

Gdy mu zamącisz pyszną uroczystość;

Niech, jako małpy, staną jego mnichy,

Wpatrzeni śmiesznie w potrójną koronę;

Księży w łysinę poklep okazała,

Potężne rogi przypraw kardynałom,

Lub jakichkolwiek zażądaj krotochwíl,

A ja ci wszystko spełnię! Idą... W Rzymie

Wielce zasłynie dzisiaj twoje imię.

(Wchodzą KARDYNAŁOWIE i BISKUPI z pastorałami w ręku. MNISÍ i KSIĘŻA śpiewają pieśni procesyjne; potem, otoczony ŚWITĄ, PAPIEŻ, RAJMUND, król węgierski, ARCYBISKUP RHEIMSKI i BRUNO w łańcuchach).

PAPIEŻ. Dajcie podnózek.

RAJMUND. Brunonie saksoński,

Czekaj, aż Papież wejdzie po twych plecach

Na uroczysty tron świętopietrzański.

BRUNO. Ja nie przed tobą, dumny Luciferze,

Ale przed Piotrem uginam się szczerze.

PAPIEŻ. Przed świętym Piotrem i przed moją sławą

Pochyl, Brunonie, swą głowę nieprawą.

Niech zagrzmia surmy! Papież na Brunonie

Kładzie swą stopę, by zasiąść na tronie!

(Podczas siadania na tronie grają surmy).

MEFISTOFEL. Tak, Fauście, teraz

Czyń, co-li zachcesz, nikt cię nie rozpozna.

(Odgłos dzwonu. PAPIEŻ i KARDYNAŁ LOTARYNGSKI zjawiają się
w otoczeniu MNICHÓW na uczcie).

Jak niebo skrada się wełnianą stopą,
Nim dłoń żelazną spuści na grzesznika,
Niechaj tak samo i nasza uśpiona
Spadnie dziś zemsta na dzieło Brunona.
Kardynałowie, ty z Francji i z Padwy,
Do przeświątego idźcie Konsystorza,
Aby przeczytać w naszych dekretaljach,
Co na trydenckim powzięto soborze
Przeciwko ludziom, którzy, nie wybrani,
Chcą, na bezprawia wkroczywszy bezdroże,
Zohydzać władzę papieską. Nałożę
Godziwą karę: wróćcie z odpowiedzią.

KARDYNAŁ FRANCUSKI. Idziemy, panie.

(Exeunt KARDYNAŁ FRANCUSKI i PADEWSKI).

PAPIEŻ. Panie Rajmundzie! (Mówią ze sobą szeptem).

FAUST. Spiesz się, mój drogi, cny Mefistofelu,

Z kardynałami idź do Konsystorza;

Gdy się wczytają w zabobonne księgi,

Wraz ich zmęczeniem pobij i sennością —

Niech tak głęboko zasną, byśmy obaj

Mogli pomówić w ich własnych postaciach

Z onym cesarza dumnym przeciwnikiem,

Abyśmy, depcąc całą jego świętość,

Zdjęli z Brunona niewolne kajdany

I na niemieckie powiedli go łąny.

PAPIEZ. Przybliż się, Panie lotaryngski, proszę.

FAUST. Siądnijcie, a czart wam zwędzi to z przed nosa.

PAPIEZ. Cóż się dzieje? Któż tutaj mówi?... Zobaczcie, fratres.

MEFISTOFEL. Tak, Fauście, idę.

FAUST. Spraw się co prędzej:

Kłąć będzie Papież, że ma Fausta w Rzymie.

(Exeunt FAUST i MEFISTOFEL).

BRUNON. Prawem, Papieżu Hadrianie, sądz mnie,

Wszakżeż wybrany byłem przez cesarza.

PAPIEŻ. Za czyn ten z tronu złożymy cesarza

I lud wyklniemy, który mu podlega —

Ekskomunika na niego i ciebie:

Wszystkie wam obu weźmiem przywileje

I wykluczmy z obcowania świętych.

Zbyt się twój cesarz pyszni swoją władzą,

Głowę podnosi powyżej obłoków

I, niby wieża, wyrasta nad Kościoł.

Lecz my zdepcemy tę zuchwałą czelność,

Jak nasz poprzednik, papież Aleksander,

Co stopę złożył na karku Frydryka,

Tę do tryumfu złotą myśl dodawszy:

„Dziedzice Piotra podepcą cesarzy,

Po strasznym grzbiecie żmii kroczyć będą,

I lwa i smoka powalą na ziemię

A bazyliuszka odtrąca bez trwogi“.

Tak ja dumnego zgmiotę schizmatyka

I mocą swojej apostołskiej władzy

Rychło królewskich pozbawię go rządów.

MNISI. Tu niema nikogo — za pozwoleniem Waszej Świątobliwości.

PAPIEŻ. Panie, oto smakołyk, przysłany mi przez biskupa me-
djolańskiego.

BRUNO. A papież Juljusz przysiągł Zygmunto-
wi
Za się i wszystkich swych następców rzymskich,
I że w cesarzach będą mieć swych panów.

PAPIEŻ. Juljusz nadużył świętych praw Kościoła,
Dekrety jego ostać się nie mogą.
Wszystka na ziemi władza czyż nie dla nas?
Stąd, chociaż chcemy, mylić się nie możemy.
Na pas ten srebrny spojrzij: siedem złotych
Ma on pieczęci, przypieczętowanych
Siedmią pieczęci na znak siedmiorakiej
Naszej potęgi, danej nam przez nieba,
Byśmy wiązali lub rozwiązywali,
Abyśmy mogli sądzić, karać, znosić
Wszelkie wyroki, jak nam się podoba:
Przeto się ugnij ty i on, świat cały,
Lub bądźcie pewni naszej strasznej klątwy,
Co spadnie na was ciężką karą piekła.

(Wraca FAUST i MEFISTOFEL w postaci KARDYNAŁÓW FRANCUSKIEGO
i PADEWSKIEGO).

MEFISTOFEL. No, powiedz, Fauście, czy źle wyglądamy?

FAUST. Mefistofelu, takich kardynałów,
Jak my, dotychczas żaden nie miał papież.
Lecz, póki tamci drzemią w Konsystorzu,
Chodźmy powitać czcigodnego ojca.

FAUST (zabiera ze stołu). Dziękuję waszmości.

PAPIEŻ. Co się tu dzieje? Któż mi to z przed nosa zabiera potrawy?... Czyż nie zechce nikt wybadać tego? Panie, smakółk ten przysłał mi kardynał florencki.

BRUNO. O Panie, spojrzuj: są kardynałowie.

PAPIEŻ. Witam czcigodnych ojców; odpowiedzcie,

Co ustanowił przenajświętszy sobór
W sprawie Brunona tego i cesarza,
Co niegodnego jęli się przymierza,
By czci i władzy pozbawić Papieża?

FAUST. Prześwięty Ojciec rzymskiego Kościoła!

Za jednomyślną zgodą zgromadzenia
Twoich prałatów zadekretowano,
I że niemiecki cesarz oraz Bruno
Są uważani jako schizmatycy
Oraz kacerze*), którzy mieli czelność
Zakłócić spokój Kościoła; a dalej,
I że ten Bruno z własnego popędu,
A nie przynaglony przez niemieckich panów,
Po twój potrójny chciał sięgać dyadem
I sięć przez śmierć twą na stolcu Piotrowym,
Tak ogłaszają święte dekretalja,
By go pozwano o grzeszną herezję
I na płomiennym spalono go stosie.

PAPIEŻ. To mi wystarczy; weźcie go pod straż swą
I zaprowadźcie na Ponte Angelo

*) W oryginale Lollards — zwolennicy herezji Wickleffa.

FAUST. Prawdęś powiedział; zabiorę sobie i to. (Ściąga ze stołu).

PAPIEŻ. Cóż to? znowu?! Panie, piję na two zdrowie.

FAUST. A ja na zdrowie Waszmości. (Ściąga puhar ze stołu).

I w najpewniejszej zamknijcie go wieży.

Jutro, zasiadłszy w naszym Konsystorzu,

W gronie czcigodnych naszych kardynałów,

Zadekretujem o śmierci lub życiu.

Zabierzcie z sobą potrójną koronę

I w naszym skarbcu schowajcie kościelnym.

Spieszcie się teraz, cni kardynałowie,

Błogosławieństwo me na waszej głowie.

MEFISTOFEL. Tak nie był żaden czart pobłogosławion.

FAUST. Mefistofelu, chodź! Na kardynały

Spadnie napewne za to cios niemały.

(Muzyka; przygotowują biesiadę; FAUST i MEFISTOFEL wracają w własnych postaciach).

MEFISTOFEL. A teraz, Fauście, gotuj się do śmiechu.

Niebawem będą śpiochy kardynały

Sądzić Brunona, który na rumaku,

Szybszym od myśli, pędzi poprzez Alpy

Ku urodzajnym dzierzawom niemieckim,

By stroskanego powitać cesarza.

FAUST. Papież ich przeklnie za to ich ospalstwo,

Które przespało Bruna wraz z koroną.

Teraz, by Faustus rozweselił umysł

I z ich głupoty miał swą krotoczwilę,

Proszę cię, luby, racz mnie zaczarować,

Iżbym się ruszał wśród nich niewidzialny

I robił wszystko, co mi się spodoba.

KARDYNAŁ LOTARYNGSKI. Panie, zapewne jakaś dusza wydoszła się z Czyśca, ażeby Świątobliwość Waszą błagać o wybawienie.

PAPIEZ. Być może; zarządzcie, fratres, nabożeństwo, iżby pohamować szaleństwo tej czyścowej duszy. Raz jeszcze, Panie, proszę, jedźcie.

|(PAPIEZ się żegna).

MEFISTOFEL. Stanie się, Fauście; proszę cię, uklękniź:

Oto swą rękę kładę na twem czole,
W zaczarowanym już stanąłeś kole.
„Weź naprzód pas ten, a w tej porze
Nikt cię zobaczyć już nie może.
Planetów siedem, przestwórz mglisty,
Piekło i Furyji włos ognisty,
Płomyk Plutona i Hekaty
Posępne drzewo w takie szaty
Dziś cię otulą, tu w tym domu,
Ześ niewidzialny już nikomu!“
A teraz, Fauście, przed Jego Świętością
Czyń, co-ć się widzi, nikt cię nie rozpozna.

FAUST. Dzięki; a wy się strzeżcie, braciszkuwie,
By wam nie ściekła krew po łysej głowie.

MEFISTOFEL. Dosyć już, Fauście, idą kardynały.

(KARDYNAŁOWIE FRANCUSKI i PADEWSKI wracają z księgą).

PAPIEZ. Witam was, witam, cni kardynałowie!

Siadźcie! Rajmundzie, siadaj! A wy, księża,
Patrzcie, azali wszystko jest gotowe,
Jak tego wielka żąda uroczystość.

FAUST. Jakto, żegnacie się? Raz jeszcze
Racztwie spróbować, a ja wam pokażę.

(PAPIEZ ponownie się żegna).

Dobrze, to drugi raz, za trzecim razem
Dam ci porządną naukę.

(PAPIEZ żegna się po raz trzeci; FAUST wycina mu policzek; wszyscy
się rozpierzchają).

Mefistofelu, chodź; cóż teraz będzie?

KARDYNAŁ FRANCUSKI. Może nasamprzód Wasza Świątobliwość
Raczy zobaczyć, co w sprawie Brunona
Oraz cesarza orzekł zbożny synod?

PAPIEZ. Cóż mi dziś o tem? Czyż nie powiedziałem,
Ze się zbierzemy jutro w Konsystorzu,
Aby orzeknąć o godziwej karze?
Powiedzieliście przecie, jako Bruno
I ten przeklęty cesarz są uznani
Przez przenajświętszy sobór za kacerzy
I schizmatyków, więc pocóż ta księga?

KARDYNAŁ FRANCUSKI. Myśmy rozkazów takich nie słyszeli.

RAJMUND. Nie zaprzeczajcie, wszyscyśmy świadkami,
I że Brunona wydano wam w ręce,
A zasię jego potrójny dyadem
Ma być w kościelnym umieszczony skarbku.

OBAJ KARDYNAŁOWIE. Nie, na świętego Pawła! nic nie wiemy!

PAPIEZ. Umrzecie, na Piotra,
Jeśli w te tropy nie stanie przede mną.
Do kaźni z nimi, zakujcie ich w dyby!

MEFISTOFEL. Nie wiem, co będzie; zapewne nas teraz przeklną
dzwonem i księgą i świecą.

FAUST. Dzwon, świeca, księga, dzwon i świeca!

Z tyłu i z przodu przekląć trzeba Fausta!

Teraz zakwicz wieprz na to wesele,

Zaryczy osioł i zabecz ciele*).

(Wchodzą MNISI celem odprawienia modłów).

Za taką zdradę, fałszywi prałaci,

Wasza mi dusza piekłem dziś zapłaci!

(Exeunt KARDYNAŁOWIE pod strażą).

FAUST. Ci już bezpieczni!... U Jego Świątości

Nigdy nie było tak wesołych gości!

PAPIEZ. Arcybiskupie Rheimsu, siadźcie z nami!

ARCYBISKUP. Dzięki niech przyjmie Wasza Świątobliwość.

FAUST. Jedźcie, a diabeł sprzątnie wam to wszystko.

PAPIEŻ. Któż tutaj mówi? Popatrzcie się, księża!

Mości Rajmundzie, jedź! Medyolański

Raczył mi biskup przysłać ten przysmak.

FAUST (ściągając przysmak). Dziękuję Waszej Miłości.

PAPIEZ. Któż to mi zwędził ten przysmak ze stołu?

Czemu milczycie, łotry?

Arcybiskupie! Oto przedni przysmak —

Od francuskiego mam go kardynała.

FAUST. I ja to lubię. (Ściąga przysmak ze stołu).

PAPIEŻ. Zali kacerze są przy nas, że taka

Spotyka hańba naszą Świątobliwość!

Podajcie wino!

*) Dwóch ostatnich wierszy niema w wydaniu z r. 1616.

PIERWSZY MNICH. Chodźcie, bracia, należy tem nabożeństwem spełnić nasz urząd. (Śpiewają):

Przeklęty niech będzie ten, kto Jego Świątobliwości zabrał półmisek ze stołu! Maledicat Dominus!

Przeklęty niech będzie ten, który Jego Świątobliwości wymierzył policzek! Maledicat Dominus!

FAUST. Owszem, Faustowi wyszło także w gardle.

PAPIEŻ. Mości Rajmundzie!

Piję na Wasze zdrowie!

FAUST. A ja na zdrowie Waszej Miłości. (Ściąga kubek).

PAPIEŻ. Ktoś mi i wino ściągnął! Hej, gałgany,

Wyszukać-że mi proszę tego łotra,

Albo pomrzecie, klnę się na mą świętość!

Mości panowie, raczcie mi wybaczyć

Tę niespokojną biesiadę.

ARCYBISKUP. Za pozwoleniem Waszej Świątobliwości, zapewne jakaś dusza wydostała się z Czyśca, ażeby Świątobliwość Waszą błagać o przebaczenie.

PAPIEŻ. Być może. Powiedzcie księżom, niech odprawią modły, by tego ducha okiełzać szaleństwo.

(Exit jeden ze świty. PAPIEŻ się żegna).

FAUST. Cóż to? Musicie żegnać każdy kąsek? —

Nie! A więc masz to! (Uderza PAPIEŻA).

PAPIEŻ. Ktoś mnie uderzył! Ratunku, waszmoście!

Precz stąd wynieście moje ciało! Wieczna

Niech spadnie klątwa na taki postępек!

(Exeunt wszyscy, z wyjątkiem FAUSTA i MEFISTOFELA).

Reszta, jak w wydaniu z r. 1604.

Przeklęty niech będzie ten, który ojca Sandelo uderzył w łysinę!
Maledicat Dominus!

Przeklęty niech będzie ten, który zakłócił nasze nabożeństwo!
Maledicat Dominus!

Przeklęty niech będzie ten, który Jego Świątobliwości zwędził
wino! Maledicat Dominus! Et omnes sancti! Amen!

(MEFISTOFEL i FAUST biją mnichów i rzucają ogień pomiędzy nich;
MNISI uciekają).

(Wchodzi CHÓR *).

CHÓR. A gdy się Faustus напоił widokiem
Przedziwnych rzeczy i dworów królewskich,
Przerwał swą podróż, powrócił do domu,
Gdzie nań ze smutkiem czekali druhowie,
Wszyscy najbliżsi jego towarzysze.
Teraz czułem witali go słowy
A rozprawiając o wszystkim, co przeżył,
O jego drogach po ziemi i niebie,
Pytali go się w sprawach astrologji,
A Faust tak mądre dawał odpowiedzi,
Iż rozum jego budził podziw w wszystkich.
Sława się jego rozeszła po świecie,
Tak, że go nawet cesarz Karol Piąty
Pomiędzy swoje zaliczył dworzany.
Co tutaj działał, tego nie wysłowię,
Wasze się oko samo o tem dowie.

(Exit).

*) W wydaniu z r. 1616 opuszczony.

SCENA VIII.

Wchodzi BARTEK koniucha z książką w ręku.

BARTEK. A dyć to czyste dziwy! Ukradłem jedno z czarno-księzkich dzieł doktora Fausta i, naprawdę, myślę, że poszukam kilku kół dla mego własnego użytku. Sprawię, żeby dzieuchy wszystkie naguteńko zatańczyły obertasa przede mną; spodziewam się, że w ten sposób zobaczę więcej, aniżeli kiedykolwiek widziałem albow przeczuał.

(Wchodzi KUBA i woła BARTKA).

KUBA. A chodź ino, Bartek, chodź! Jegomość czeka na konie; chce, żebyś mu porządnie wszystko wyczyścił. Kłóci się o to z jejmością i posyła mnie, ażebyś się zjawił w te tropy.

BARTEK. Trzymaj się mocno, trzymaj się mocno, bo inaczej na puch się rozwiejesz; kości się twoje rozlecą. Mam w ręku znakomitą księgę.

KUBA. Chodź-że, co tobie po książce? Czytać przecie nie umiesz.

BARTEK. A jakże! Mój jegomość i moja jejmość zaraz się przekonają, że czytać potrafię — on na swoim łbie, a ona na moich sekretnych praktykach. Urodziła się na to, żeby się ze mną trochę pokumać, bo inaczej cała moja sztuka djabła będzie warta.

KUBA. A cóż to jest za księga?

BARTEK. Co za księga!? Najnieznośniejsza księga czarnoksiężka, jaką kiedykolwiek siarczysty wynalazł djabeł!

KUBA. A potrafisz z tą księgą czarnoksiężkie robić sztuki?

BARTEK. Potrafię z łatwością, co ino zechcę; przedewszystkiem potrafię z niczego stworzyć trunek Hipokratesa i oberżę w Europie. To pierwsze moje czarnoksiężkie dzieło.

KUBA. Nasz ksiądz proboszcz powiada, że to jest nie!

BARTEK. I owszem, Kuba; ale wiesz, Kuba, umiem jeszcze więcej; jeżeli masz pociąg do Kaśki Piecuchównej, naszej kucharzychy, to możesz ją obracać na swą własną potrzebę, ile razy ci się zachce, i to o północy.

KUBA. O mój dzielny Bartłomieju, mam mieć Kaśkę Piecuchównę na swoje własne potrzeby? Kiedy tak, to djabła twojego będę żywił za darmo końskim chlebem, dopóki ino będzie żył*).

BARTEK. Dosyć tego, miły Kubo; chodźmy wyczyścić sobie buty; brudne mamy łapy; a potem w imię djabła do czarnoksiężkiego dzieła. (Exeunt).

SCENA IX.

Wchodzą BARTEK i KUBA z srebrnym puhaem.

BARTEK. Widzisz, Kuba, nie powiedziałem ci, że nam się księga doktora Fausta przydała? Ecce signum, oto zdobycz koniuchów. Konie nasze nie dostaną siana, dopóki to w naszych rękach**).

*) Dawni Anglicy, jak stwierdza Buller, karmili konie chlebem.

**) W wydaniu z r. 1616 scena ta posiada zmiany, nie wpływające na bieg rzeczy, dlatego ich nie uwzględniłem.

KUBA. Uważaj, Bartek! Idzie oberżysta.

BARTEK. Sza! Orżnę go supernaturalnie.

(Wchodzi OBERŻYSTA).

Panie gościnnie, spodziewam się, że wszystko zapłacone; chodźmy, Kuba.

OBERŻYSTA. Powoli, mocłumpanie: zanim sobie pójdziecie, musicie mi zapłacić za ten puharek.

BARTEK. Ja i puharek? słyszysz, Kuba? Ja i puharek! Drwię sobie z waści, jesteś waść etc.*). Ja i puharek! Szukaj waść!

OBERŻYSTA. Ano, nie inaczej, za pozwoleniem waści!
(Obszukuje go).

BARTEK. I cóż asan na to?

OBERŻYSTA. Słoweczko do twojego towarzysza. To asan ukradł!

KUBA. Co? ja? ja? Szukaj asan do woli!
(OBERŻYSTA obszukuje go).

A widzisz asan, nie wstyd asana, pocciwych ludzi obciążać tak materją prawdy?

OBERŻYSTA. Jeden z was ma puharek przy sobie.

BARTEK. Kłamiesz, panie gościnnie; mam go przed sobą. (na stronie). Ja asanu dam, żeby tak posądzać uczciwych ludzi!

*) Aktor miał prawo uzupełniać zdanie do woli. Buller powiada, że w starej sztuce „Tryall of Chevalry“ (1605) znajduje się uwaga sceniczna: „Exit Błazen, mówiący cokolwiek“.

Uważaj! drwię sobie z waścinego puharka! Odstap ode mnie!
Wzywam cię w imię Belzebuba. (na stronie do Kuby): Uważaj,
Kuba, na puharek.

OBERZYSTA. Co waść powiadasz?

BARTEK. Powiadam, co myślę. (Czyta z książki): Sanctobulorum
Periphrasticon. — Nie! Ja asana zaraz połączę, panie gościnnie.
(na stronie do Kuby): Uważaj na puharek! (Czyta): Polypragmos
Belseborams framanto pucostiphos tostus, Mephistophilis etc.

(Wchodzi MEFISTOFEL, kładzie im ropy na plecy i potem wychodzi.

BARTEK i KUBA biegną po scenie).

OBERŻYSTA. O nomine Domini! Co powiadasz, Bartek? Nie
masz puharka?

BARTEK. Peccatum peccatorum! Czcigodny panie gościnnie, masz
tutaj puharek! (Oddaje puharek OBERZYŚCIE, który wychodzi).

BARTEK. Misericordia pro nobis! Co ja mam robić? Czcigodny
djable, przebacz! A już nigdy nie zakradnę się do twojej księżnicy!

(Wraca MEFISTOFEL).

MEFISTOFEL. Monarcho piekieł, przed którego licem *)

Klękają z trwogą wielkie potentaty,

Którego ołtarz oblegają dusze,

*) W wydaniu z r. 1616:

Książęce rotę piekielnego państwa,

Jakżeż mnie smucą chamów tych zakłęcia! etc.

Jakżeż mnie dręczą chamów tych zakłęcia!
Przybyłem tutaj z Konstantynopola
Dla przyjemności tych przeklętych drabów.

BARTEK. Co? z Konstantynopola? Miałeś waść daleką podróż.
Możebyś zabrał sobie do sakwy sześć groszy na obiad i potem
się zabrał?

MEFISTOFEL. I owszem, chamy; za waszą pychę przemienię je-
dnego z was w małpę, a drugiego w psa, a potem sobie pójdę.
(Exit).

BARTEK. Co? w małpę? A i owszem! Będę miał ładną krot-
chwilę z chłopakami! Zgarnę sobie orzeszków i jabłek do syta!

KUBA. A ja mam być psem.

BARTEK. Wierzę, że ani na chwilę nie wyciągniesz łba z garnka
z polewką *).

(Exeunt).

*) Po drobnych zmianach, przeważnie stylistycznych, w wy-
daniu z r. 1616 scenę tę kończy:

MEFISTOFEL. Teraz na ognia wiecznego płomieniach
Wzniósłszy się w górę, polecę coprędzej
Na dwór Wielkiego Turka, do Faustusa.
(Exit).

(Wchodzi MARCIN i FRYDERYK, każdy osobnem wejściem).

MARCIN. Hejże, ichmoście! hej, porucznikowie!
Na posterunki, czekać na cesarza!
Dobry Frydryku, każ sprzątnąć pokoje;

SCENA X.

Wchodzi CESARZ i RYCERZ ze świtą.

CESARZ. Mości doktorze Fauście, słyszałem cuda o twojej znajomości czarnej sztuki, tak że w mojem cesarstwie i wogóle w całym świecie niema nikogo, ktoby się mógł porównać z tobą

Jego majestat przybędzie do sali —
Baczcie, by wszystko było zgotowane.

FRYDERYK. A gdzie jest Bruno, nasz wybrany Papież,
Który na grzbiecie Furji uciekł z Rzymu?
Zali cesarza dziś on nie odwiedzi?

MARCIN. Tak, a z nim razem czarodziej niemiecki,
Uczony Faustus, chluba Witembergi*).
W sztuce magicznej dziw całego świata,
Pragnący oczom wielkiego Karola
Przedstawić szereg jego dumnych przodków,
Wywołać również królewskie postacie
I podobizny szczere Aleksandra
Oraz przepięknej jego kochanicy.

FRYDERYK. Gdzie jest Benwoljo?

MARCIN. Twardo śpi jeszcze, zaręczam:
Podchmielił sobie nieco reńskim winem
Wczorajszej nocy za zdrowie Brunona,
Tak, że ten pijak nie wylazi dziś z łóżka.

FRYDERYK. Otwarte okno, trzeba go zawołać.

*) W wydaniu z r. 1616 czytamy Wittenberg, zamiast „Wertenberg“ z edycji z r. 1604.

w magji. Powiadają, że masz domowego ducha, dzięki któremu możesz zrobić wszystko, co zechcesz. Dlatego też pragnę, abys mi pokazał kilka dowodów swej umiejętności, iżby oczy moje dały świadectwo temu, co słyszały me uszy. Przysięgam ci też na honor mojej cesarskiej korony, że, cokolwiek uczynisz, ani sądowi ani karze podlegać nie będzie.

MARCIN. Hej, ho! Benwoljo!

(BENWOLJO wygląda oknem, w nocnem ubraniu, rozpięty).

BENWOLJO. Cóż to za djabeł was trapi?

MARCIN. Ciszej, jegomość, boć djabeł usłyszyl!

Albowiem Faust się zjawił dziś na dworze,

A u pięt jego tysiąc czyha Fury,

Aby wykonać, co im doktor każe.

BENWOLJO. Cóż to ma znaczyć?

MARCIN. Wyleż z pokoju, a potem zobaczysz,

Jakie czarodziej dziwne sprawi rzeczy

Wobec Papieża i wobec cesarza —

Czegoś równego nikt nie widział w Niemczech.

BENWOLJO. Czyż Papież nie ma dosyć tych czarodziejstw?

Zaledwie zdołał zejść on z grzbietu djabła —

Jeśli w nim dalej tak się kochać będzie,

Gotów z nim razem powrócić do Rzymu!

FRYDERYK. Powiedz: czy pragniesz ujrzeć tę zabawę?

BENWOLJO. Nie, to nie dla mnie!

MARCIN. A więc stój w oknie, a zobaczysz wszystko!

BENWOLJO. Owszem, jeżeli nie usnę tymczasem.

MARCIN. Cesarz się zbliża, ażeby zobaczyć,

Co może zdziałać czarnoksiężka sztuka.

RYCERZ (na boku). Zaiste, patrzy, jak prawdziwy czarnoksiężnik.

FAUST. Miłościwy władzco, jakkolwiek przyznać muszę, że stoję daleko poza moją sławą i że cokolwiekbym zdziałał, nie odpowie honorowi Twego cesarskiego majestatu, przecież, związany miłością i obowiązkiem, szczęśliwy będę, jeżeli uczynię, co mi Wasza Cesarska Mość rozkaże.

BENWOLJO. A zatem, idźcie towarzyszyć cesarzowi; ja tym razem zadowolony będę, wychyliwszy głowę przez okno; bo juścić powiadają, że jeżeli kto pił całą nockę, to mu djabeł rano nic zrobić nie może; jeżeli to prawda, to mam ja w głowie takie czarodziejstwo, które tak mu będzie patrzyło na palce, jak czarodziej, to wam ręczę.

(Exeunt FRYDERYK i MARCIN).

(Muzyka. Wchodzi KAROL, cesarz niemiecki, BRUNO, książę saski, FAUST, MEFI-STOFEL, FRYDERYK, MARCIN i ŚWITA *).

CESARZ. Podziwie ludzi, słynny czarodzieju,

Trzykroć uczony Fauście, witam cię!

Czyn, iżeś zdołał uwolnić Brunona

Z ręk jego wroga, a także naszego,

Więcej twojej sztuce dodaje świetności,

Niż gdybyś umiał nekromancką sztuką,

Do posłuszeństwa nagiąć świat ten cały:

Wieżcznie cię za to kochać będzie Karol!

A jeśli Bruno, któregoś uwolnił,

Weźmie w spokoju potrójny dyadem

I na stolicy zasiędzie Piotrowej,

Uzyszczesz sławę w Włoszech, a i czczony

Będiesz na zawsze przez cesarza Niemiec.

*) Scena dziesiąta z wydania z r. 1604 uległa w edycji z r. 1616 znacznym zmianom; podaję zmiany te in extenso.

CESARZ. Zważaj, doktorze Fauście, co ci powiem.

Gdy tak samotny siedzę w swej komnacie,
Wówczas przeróżne nachodzą mnie myśli
Co do honoru moich wielkich przodków,
Którzy zdziałali męstwem takie rzeczy,

FAUST. Łaskawe słowa twe, o królu królów,

Sprawiaj, że biedny Faust z swej całej siły
Młłować będzie niemieckiego władzcę
I u Brunona stóp swe złoży życie:
Na dowód tego, jeśli Wasza Miłść
Zechce pozwolić, doktor przygotuje
Mocą swej sztuki takie czarodziejstwa,
Iż przebiją hebanowe bramy
Wieczystym ogniem płonącego Piekła
I wywołają z jam uporne Furje,
Aby spełniały, cokolwiek rozkażesz.

BENWOLJO (na stronie). Psiakrew! mówi przeraźliwie! Ale mimo to, nie
bardzo mu wierzę. Podobny jest do czarnoksiężnika, jak Papież do ka-
puściarza.

CESARZ. A zatem, Fauście, jakieś nam obiecał,

Chcemy słynnego zobaczyć zdobywcę —
Niech Aleksander Wielki wraz z kochanką
W swoich królewskich zjawia się postaciach,
Abyśmy mogli podziwiać ich świetność.

FAUST. Wasza Cesarska Mość ujrzy ich zaraz. —

Mefistofelu, idź!
Niech się przy dźwięku surm natychmiast zjawia
Oczom Cesarskiej Jego Mości wielki
Król Aleksander wraz z swą miłosnicą.

Takie zdobyli bogactwa i tyle
Przeróżnych królestw ujarzmić umieli,
Ze się obawiam, iż ja, ich następca,
Lub ci, co po mnie tron ten odziedziczą,
Przenigdy takiej nie osiągną sławy.

MEFISTOFEL. Zrobię to, Fauście. (Exit).

BENWOLJO. Dobrze, mości doktorze! Jeżeli djabły twoje nie wrócą natychmiast, zobaczysz, że zasnę. Do pioruna! Mógłbym sam siebie pożreć z gniewu, jeśli pomyślę, jaki ze mnie osioł, żeby tak patrzeć na tego gubernatora djabłów i ostatecznie nic nie zobaczyć!

FAUST (na stronie). Jeżeli mnie sztuka moja nie zawiedzie, poczujesz coś takiego — (głośno):

Muszę uprzedzić, Miłościwy Panie,
Ze, gdy me duchy ukażą królewski
Kształt Aleksandra i jego kochanki,
Nie może pytań zadawać królowi
Wasza Cesarska Mość, lecz ma w milczeniu
Patrzeć, jak przyjdą i jako odejdą.

CESARZ. Czyn, co-c się widzi, my — zadowoleni.

BENWOLJO. Tak, tak, a i ja również jestem zadowolony; jak ty przywiedziesz Aleksandra i jego kochankę przed oblicze cesarza, to ja będę Akteonem i obrócę się w jelenia.

FAUST. A ja zagram rolę Dyany i natychmiast postaram ci się o rogi.
(Muzyka. Jednemi drzwiami wchodzi CESARZ ALEKSANDER, drugimi DARJUSZ. Spotykają się z sobą. DARJUSZ powalony na ziemię; ALEKSANDER go zabija, zabiera mu koronę, a gdy chce wychodzić, zachodzi mu drogę KOCHANKA. Bierze ją w objęcia i wkłada jej na głowę koronę DARJUSZA; odwróciwszy się, kłaniają się CESARZOWI, który opuszcza swe miejsce i chce ich uściskać; FAUST, spostrzegłszy to, wstrzymuje go natychmiast. Milkną surmy i muzyka).

Sród nich jest władzca, Aleksander Wielki,
Potęgi świata najprzedniejszy obraz,
Którego czyny taką lśnią się chwałą,
Że świat zalewa odblask jej promieni;
Słyszając o macie, który on wywołał,

FAUST. Wasza się miłość zapomina, panie,
To cienie tylko, a nie zaś substancje.

CESARZ. Wybacz! Me oczy tak są zachwycone
Widokiem tego słynnego cesarza,
Iżę go chciałem zamknąć w swe objęcia.
Ale, mój Fauście, jeżeli nie mogę
Uczynić zadość mej długiej tęsknicy,
Aby przemówić doń, powiedz mi jedno:
Słyszałem niegdyś, że ta piękna dama
Miała na szyi chrostkę czy brodawkę:
Jak się przekonać o tem, czy to prawda?

FAUST. Niech Wasza Miłość pójdzie i zobaczy.

CESARZ. Widzę to, Fauście.
Większą ten widok sprawił mi zabawę,
Niż gdybym zdobył królewską dzierzawę.

FAUST. Precz! odejdz! (Obraz znika). Niechże Wasza Miłość spojrzeć raczy,
co za zwierz wychyla głowę przez okno!

CESARZ. Przedziwny widok! Spojrzyj, Książę Saski
Na te dwa rogi, dziwnie umieszczone
Na łbie młodego Benwolja!

KSIĄŻĘ SASKI. Co? Śpi czy umarł?

FAUST. Śpi, Wasza Miłość, lecz nie śni o rogach.

Zal czuję w duszy, że go nie widziałem.
Jeżeli zatem sztuki swojej mocą
Umiesz go przyzwać z pod wyniosłych sklepień,
W których spoczywa ten słynny zdobywca,
Jeśli z nim razem wywołasz i jego

CESARZ. Pyszna zabawa! Trzeba go przebudzić —
Hej, hej! Benwoljo!

BENWOLJO. Morówka na was! A dajcież mi drzemać!

CESARZ. Nie mogę ci przyganiać, że śpisz tak długo, tak wielką mający
głowę.

KSIAŻĘ SASKI. Słuchaj, Benwoljo! To cesarz woła!

BENWOLJO. Cesarz? A gdzie on? Do licha! ma głowa!

CESARZ. Jeżeli rogi twoje wytrzymają, o głowę troszczyć się nie potrze-
bujesz; dostatecznie jest uzbrojona.

FAUST. I cóż, mości panie Rycerzu? Powiesiłeś się na rogach! Prawdzi-
wie, to okropność! Fe! fe! Schowaj waść głowę, ze wstydu! Nie pozwól,
aby cię cały świat podziwiał!

BENWOLJO. Mości doktorze! To przez tve łotrostwo!

FAUST. Nie mów waść tego! Doktor nie ma władzy,
Nie ma rozumu na to, nie zna sztuki,
Aby pokazać tych panów, ażeby
Królewskim oczom cesarza pokazać
Mężnego władzcę, króla Aleksandra.
A jeśli umie zrobić to, Akteon
Zaraz się staje jeleniem, mój panie!
Jeśli zezwoli na to Wasza Miłość,
Puszczę na niego sforę psów, tak lotnych,

Piękną kochankę — obojga w ich własnej,
Zywej postaci, w ich stroju, którego
Podczas swojego używali życia,
Wtedy uczynisz zadość mojej żądzy
I dasz mi powód, że cię wielbić będę,
Dopóki tylko pożyję na świecie.

Ze nie dogoni żaden ich naganiał,
By z łap ich krwawych wyrwać jego cielsko. —
Hej-że! Belimoth, Argison, Astaroth!

BENWOLJO. Wstrzymaj się, wstrzymaj! Tam do licha! gotów puścić na
mnie całą sforę djabłów! Miłościwy Panie, racz się wstawić za mną!
Psiakrew! zupełnie nie jestem zdolny do znoszenia takich męczarni!

CESARZ. Więc, mości doktorze,
Pozwól się wstawić za nim: zdejm mu rogi,
Wszak dostatecznej doświadczył już kary.

FAUST. Miłościwy Panie! & jak w wyd. z r. 1604.

BENWOLJO (na stronie). Wyrażać się dobrze o waści?! Psiakrew! Jeżeli
wszyscy uczeni umieją tak przyprawiać rogi porządnym ludziom, to nigdy
już wygolonym policzkom ani wązkim kołnierzom wierzyć nie będę. Ale
jeśli się nie zemszczę na nim, to niech się w dziurawą zamienię ostrygę
i nie piję nic innego, prócz słonej wody! (Exit).

CESARZ. Chodź, Fauście, ze mną! Póki cesarz żyje,
Będiesz, w nagrodę za wielką przysługę,
Mym namiestnikiem w niemieckiej krainie,
Przedrogi sercu możnego Karola.

(Wchodzą BENWOLJO, MARCIN, FRYDERYK i ŻOŁNIERZE).

MARCIN. Luby Benwoljo, zaniechaj zamiaru
Pomszczenia tego na czarnoksiężniku!

FAUST. Miłościwy mój Władzco, gotów jestem wykonać żądanie Waszej Mości, co tylko wiedza i potęga mego Ducha zdziałać wydoła.

RYCERZ (na stronie). Zda mi się, że nic z tego nie będzie.

BENWOLJO. Idź precz! Nie kochasz mnie, jeśli to radzisz.

Mamże ja puścić płazem taką hańbę,
Z której się lada parobek wyśmiewa,
Drwiący bezczelnie w swej pysze wyniosłej:
„Jakież mu rogi na głowie wyrosły!”
Oby się moje nie zamknęły oczy,
Dopóki miecz mój krwi mu nie wytoczy!
Jeśli mi zechcesz dopomódz w tej mierze,
Miej w pogotowiu broń i bądź odważny,
Jeśli nie, odejdz! Niech co chce się dzieje,
Umrę, lecz wprzód się krew Fausta poleje.

FRYDERYK. Nie, nie, ja ciebie opuścić nie mogę,
Ubiję Fausta, gdy mi zajdzie drogę.

BENWOLJO. Więc, Fryderyku, schowaj się w tym gaju,
Rozstaw swe sługi i swoje żołnierze,
W tych oto krzakach, poza temi drzewy.
Wiem, czarnoksiężnik zbliży się niebawem:
Rękę cesarza całował przed chwilą
I potem odszedł, objuczony skarbami.
Walczcie! gdy zginie Faust, za wasze męstwo
Zostaną skarby wam, a nam zwycięstwo.

FRYDERYK. Więc w las! Kto Fausta ubije, ten oto
Zyszcze, żołnierze! miłość mą i złoto!

(Exit FRYDERYK z ŻOŁNIERZAMI).

FAUST. Ale, za pozwoleniem Waszej Miłości, nie leży w mojej mocy przedstawić Waszym oczom prawdziwą substancję ciała obojga zmarłych księstwa, ponieważ dawno obrócili się w popiół.

RYCERZ (na stronie). A, zaiste, doktorze Fauście, jest to znak Łaski w tobie, że tak wyznajesz prawdę.

BENWOLJO. Głowa ma lżejsza, niż była z rogami,
Lecz serce moje cięższe od mej głowy:
Pragnę, by jego skon był już gotowy!

MARCIN. Gdzie nam się samym ustawić, Benwoljo?

BENWOLJO. Tutaj, by pierwszy móżdżek wykonać napad.
Gdybym tu spotkał tego kundla z piekła,
Wrazby i hańba z mej duszy uciekła!

(Wraca FRYDERYK).

FRYDERYK. Bacność! Czarodziej będzie tu za chwilę!
Idźże w swym płaszczu; wielka dla nas plama,
Jeśli od razu nie zwalimy chama!

BENWOLJO. Ten zaszczyt dla mnie! A więc wał, mój mieczu!
On dał mi rogi, ja chcę jego głowy!

MARCIN. Idzie!

(Wchodzi FAUST z fałszywą brodą).

BENWOLJO. Sza! Przeszło jego panowanie:
Dusza do piekła, ciało tu zostanie!

(Uderza FAUSTA).

FAUST (padając). O!

FRYDERYK. Mości doktorze, jęczysz waść?

BENWOLJO.

Niech jęki

Serce mu skruszą! Patrzcie, moi mili,
Ja bolom jego zadam kres w tej chwili!

FAUST. Ale zjawią się przed Waszą Mością duchy, żywo przypominające Aleksandra i jego kochankę i to tak, że oboje żyć będą w swym najbardziej kwitjącym stanie; a to, nie wątpię, wystarczy Waszej Cesarskiej Mości.

CESARZ. Idź, mości doktorze, i pokaż mi je natychmiast.

MARCIN. Wał chętną ręką!

(BENWOLJO uderza FAUSTA w głowę).

Głowa mu odpadła!

BENWOLJO. Czart ten nie żyje! Niech się Furje śmieją!

FRYDERYK. Ten to poważny wzrok, te groźne skronie,
Przed którym władzca zastępów piekielnych
Trząsł się, zmuszony słuchać jego zaklęć?

MARCIN. Więc to jest głowa, co w oczach cesarza
Śmiała Benwolja taką okryć hańbą?

BENWOLJO. Tak, to jest głowa; tutaj leży ciało,
Co taką karę za zbrodnie dostało!

FRYDERYK. Chodźmy obmyśleć, co uczynić jeszcze,
Aby pohańbić to imię złowieszcze.

BENWOLJO. Naprzód, by pomścić mą krzywdę, przygwoźdź
Wielkie mu rogi i zawieszę w oknie,
Gdzie on na drwiny raczył mnie wystawić —
Niech świat ogląda moją słuszną zemstę!

MARCIN. A z jego brodą cóż mamy uczynić?

BENWOLJO. Sprzedamy ją kominiarzowi, wytrzyma ona dziesięć brzezi-
nowych mioteł, zaręczam.

FRYDERYK. A co uczynić z oczami?

RYCERZ. Słyszysz, mości doktorze? Masz przywieść Aleksandra i jego kochankę przed oblicze cesarza.

FAUST. Cóż to ma znaczyć, panie?

RYCERZ. Taka to prawda, jak to, że Djana może mnie zamienić w jelenia.

BENWOLJO. Oczy mu wyłupimy; będą wargom jego służyć za guziki, iżby się język jego nie zaziębił.

MARCIN. Wspaniały pomysł; a teraz, moi panowie, kiedyśmy go tak poćwiartowali, co czynić z jego cielskiem?

(FAUST staje na nogi).

BENWOLJO. Tam do pioruna! Czart ten ożył!

FRYDERYK. Na miłość Boga, zwróć mu jego głowę!

FAUST. Nie, zatrzymajcie! głów i rąk mam dosyć,

Aby serc waszych żądać za śmierć moją.

Nie wiecież, zdrajcy, że mem przeznaczeniem

Zyć na tej ziemi lat dwadzieścia cztery?

Choćbyście moje posiekali ciało

I kości moje na proch pokruszyli,

Duch mój powróciłby w tej samej chwili

I ja, człek zdrowy, stanąlbym przed wami.

Ale dlaczego zwlekam jeszcze z zemstą?

Astaroth, Belímoth, Mefistofelis!

(Wchodzi MEFISTOFEL wraz z innymi DJABLAMI).

Weźcie tych zdrajców na płomienne grzbiety

I hen ku wyżom ponieście niebieskim:

Potem ich strąćcie w piekielne otchłanie.

Nie! świat niech będzie wprzód świadkiem ich nędzy,

FAUST. Nie, panie; ale, gdy umrze Akteon, zostawi ci rogi.
Mefistofelu, odejdz. (Exit MEFISTOFEL).

RYCERZ. Nie; idź do swoich zaklęć, ja się oddalam. (Exit).

FAUST. Spotkamy się z sobą za to, że mi przerywasz! — Oto są, Miłościwy Panie.

(Wraca MEFISTOFEL wraz z DUCHAMI w postaci ALEKSANDRA i jego KOCHANKI).

Potem niech piekło pożre ich coprędzej!
Idź, Belimocie, zabierz tego łotra
I strąć go w jakie błotniste jezioro:
Ty weź drugiego, powlecz go lasami,
Poprzez kolczaste ciernie, ostre głogi,
Ty zaś, drogi mój Mefistofelu,
Nieś tego zdrajcę na turnie przepastne
I strąć go z ściany, by połamał kości,
Tak jak mnie chcieli poćwiartować! W drogę!
Dłużej na zemstę czekać już nie mogę!

FRYDERYK. Daruj nam życie! miej litość nad nami!

FAUST. Precz!

FRYDERYK. Chodźmy! Trudno spierać się z djabłami.

(Exeunt MEFISTOFEL i DJABLI razem z BENWOLJEM, MARCINEM i FRYDERYKIEM).

(Zjawiają się zaczajeni ŻOŁNIERZE).

PIERWSZY ŻOŁNIERZ. Chodźcie, panowie, bądźcie w pogotowiu,
Trzeba coprędzej pomódz tym ichmościom —
Z czarnoksiężnikiem rozmawiali właśnie.

CESARZ. Mości doktorze, że pani ta miała za życia chrostę czy też brodawkę na szyi, jakże ja się o tem przekonam, czy to prawda lub nie?

FAUST. Niech się Wasza Wysokość przybliży i zobaczy.

CESARZ. Niewątpliwie, to nie są duchy, to rzeczywiste, substancjonalne ciała tych dwojga zmarłych księstwa.

(DUCHY znikają).

DRUGI ŻOŁNIERZ. Patrzcie! nadchodzi! Utluc tego draba!

FAUST. Cóż to, zasadzka, by mnie zbawić życia?

Użyj swej sztuki, Fauście! Stać, wy łotry!

Wszystkie się drzewa ruszą na mój rozkaz,

Aby przed waszą obronić mnie zdradą.

Spojrzyjcie tylko, jaka wielka rzesza

Przeciwko waszym zamysłom pospiesza.

(FAUST uderza w bramę; zjawia się DJABEL, bijący w bęben, poza nim inny z sztandarem i kilku zbrojnych. MEFISTOFEL z fajerwerkami w ręku. Rzuca je pomiędzy żołnierzy, ci rozpierzchnięci exeunt).

(Wchodzą, każdy osobnemi drzwiami, BENWOLJO, FRYDERYK i MARCIN, twarze i głowy ociekające krwią, powalane mułem i błotem; wszyscy mają rogi na głowach).

MARCIN. Cóż? hej! Benwoljo!

BENWOLJO. Tutaj! Frydryku, jakżeż tam?

FRYDERYK. Ratujcie, dobrzy druhowie! Gdzie Marcin?

MARCIN. Drogi Frydryku, tutaj,

Mułem i błotem napół powalany —

Tak ci mnie Furje ciągnęły za pięty.

FRYDERYK. Marcinie, patrzaj! On ma znowu rogi!

MARCIN. A to nieszczęście! Co poczniesz, Benwoljo?

FAUST. Niech Wasza Wysokość raczy posłać po tego rycerza, który był tak łaskaw być ze mną tutaj przed chwilą.

CESARZ. Niech jeden z was zawoła go tutaj.

(Exit jeden ze świty).

(RYCERZ wraca z dwoma rogami na głowie).

Cóż to, mości rycerzyku! Myślałem, że jesteś kawalerem, a teraz widzę, że masz żonę, która nie tylko dała ci rogi, ale każe ci je nosić. Pomacaj się po głowie.

BENWOLJO. Nieba! Czyż wiecznie mam być taki biedny?

MARCIN. Nie bój się, człeku! Nam już nie zabijać!

BENWOLJO. Piekielna złości! Zeby tak zesześcić
Moich przyjaciół! Wszyscy macie rogi!

FRYDERYK. W sednoś utrafił,

Myśląc o swoich. Pomacaj się w głowę.

BENWOLJO. Do kroćset! znowu mam rogi!

MARCIN. Nie kłnij, braciszku! my wszyscy je mamy.

BENWOLJO. Cóż to za djabeł służy magikowi,
Ze nasza krzywda jeszcze się podwaja?

FRYDERYK. Coby uczynić, by ukryć tę hańbę?

BENWOLJO. Jeśli go ścigać będziemy swą zemstą,
Gotów tym rogom przydać ośle uszy!

MARCIN. Co robić zatem, drogi mój Benwoljo?

BENWOLJO. Mam ci ja zamek tu stąd niedaleko;

Trzeba nam uciec tam i żyć w ukryciu,

Póki nie zmieni czas naszej postaci.

Gdyśmy doznali takiej czarnej dołi:

Lepiej że śmierć nas z tej hańby wyzwoli. (Exeunt).

RYCERZ. Haniebny łotrze, o ty psie przeklęty,
W jaskini, pośród strasznych skał poczęty,
Żeś taką hańbę zadał szlachcicowi!
Widzę, do czego ci łotrzy gotowi!

FAUST. Powoli, panie, powoli; niema się co spieszyć, ale pamiętasz, bratku, jakieś krzyżował moją rozmowę z cesarzem?

CESARZ. Mój dobry mości doktorze, uwolnij go od tych rogów, proszę cię o to; dosyć już został ukarany.

FAUST. Miłościwy Panie, nie tyle za obelgę, którą mi wyrządził w obecności Twojej, ile raczej dla rozweselenia Ciebie tak godziwie ukarał Faust tego niesfornego rycerzyka; ale, ponieważ stało się wszystko, czegom pragnął, przeto uwolnię go od tych rogów; mości rycerzu, na przyszłość wyrażaj się dobrze o uczonych. Mefistofelu, odmień go coprędzej. (MEFISTOFEL zdejmuje mu rogi). A teraz, Miłościwy Panie, spełniwszy mą powinność, proszę pokornie o pozwolenie odejścia.

CESARZ. Mości doktorze, żegnaj, lecz nim pójdziesz,
Za trud swój godnej oczekuj zapłaty.

SCENA XI.

FAUST. Mefistofelu, droga bez wytchnienia*),
Którą spokojną stopą Czas przebywa,
Skracając dni i nić mojego życia,
Żąda zapłaty moich lat ostatnich:

*) W wydaniu z r. 1616 ustęp ten opuszczono.

Dlatego, drogi mój Mefistofelu,
Do Wertenbergi wracajmy coprędzej.

MEFISTOFEL. Chcesz-li na koniu wracać lub też pieszo?

FAUST. Nie, zanim przebędziemy tę piękną zieloną murawę, chcę
iść pieszo. (Wchodzi HANDLARZ KONI*).

HANDLARZ KONI. Szukałem przez wszystkie te dni mości
pana Fustiana: jest nareszcie! Boże was zbaw, mości panie
doktorze.

FAUST. O, handlarz koni! Witam waści.

HANDLARZ KONI. Słyszysz waszmość? Przyniosłem czterdzie-
ści talarów za waścinego konia.

FAUST. Nie sprzedam go za tę cenę: daj pięćdziesiąt i bierz go.

HANDLARZ KONI. O rety, panie! więcej ja nie mam! — Pro-
szę waści, wstaw się waść za mną.

MEFISTOFEL. Proszę waści, oddaj mu go; ma dużo ciężarów,
choć bez żony i dziecka.

FAUST. Więc dobrze, dawaj pieniądze. (HANDLARZ wręcza Fau-
stowi pieniądze). Chłopiec mój przyprowadzi ci konia; ale zanim
go dostaniesz, powiem ci jedno: nie wjeżdżaj z nim na żaden
sposób do wody.

HANDLARZ KONI. Jakto, panie? Nie z każdej pije wody?

*) W wydaniu z r. 1616 scena ta zmieniona w drobnostkach; zmian
tych nie powtarzam.

FAUST. I owszem, pije z każdej wody; tylko nie wjeżdżaj z nim do wody; pędź z nim przez rowy i płoty, pędź gdziekolwiek zechcesz, tylko nie do wody.

HANDLARZ KONI. I owszem, panie. (na stronie): A teraz postawiłeś mnie na nogi na zawsze. Nie oddam tego konia za dwa razy tyle; choćby był jak szkapa woziwody, to jeszcze zrobię z niego porządne zwierzę; zad ma gładki, jak węgorz; (do FAUSTA): Bóg wam zapłać, panie: ale racz posłuchać waszą miłość: gdyby koń był chory albo narowity, przyniosę waści jego mocz, a waść mi powiesz, co jest.

FAUST *). Precz, chamie! myślisz, że jestem konowałem?

(Exit HANDLARZ KONI).

A więc już skazan jesteś na śmierć, Fauście?

Do kresu czas twój dobiega nieszczęsny;

Rozpacz wprowadza zamęt w moje myśli:

Trzeba uśmierzyć burzę snem spokojnym.

Wszak Chrystus łotra zawołał na krzyżu —

Spocznij więc, Fauście, ukój się tą wiarą.

(Zasypia w swem krześle).

(Wraca HANDLARZ KONI, cały mokry, z krzykiem).

HANDLARZ KONI. O retyl! retyl! Doktorze Fustian, cóż to ma być?! Doktor Lopus**) nigdy nie był takim doktorem! Dał mi środek przeczyszczający, który wypłukał mnie z czterdziestu

*) W wydaniu z r. 1616 ustęp ten opuszczony.

**) Dr. Lopez, lekarz królowej Elżbiety. Powieszono go w r. 1594, ponieważ dał się nająć dworowi hiszpańskiemu do otrucia królowej.

talarów. Już ich nigdy nie zobaczę! Ale dobrze mi tak! Byłem ostatnim osłem! Nie chciałem mu ulegać, jako że mi zakazał wjeżdżać z koniem do wody. Ano, myślę sobie, widać, że koń mój ma jakieś szczególne przymioty, z którymi on nie chciał mnie zaznajomić, więc, jak odważny jaki młodzieniec, wjechałem z koniem do głębokiego stawu za miastem. Nie byłem jeszcze w połowie stawu, kiedy mój koń nagle znikł, a ja znalazłem się na wiązce siana, blizki utonięcia, jak nigdy! Poszukam swego doktora, musi mi oddać czterdzieści talarów, albo koń ten będzie go drogo kosztował! O, tam jest ten rzezimieszek! Słyszysz waść? Słyszysz, włóczykiju, gdzie jest twój pan?

MEFISTOFEL. Czego waść sobie życzysz? Waść nie możesz z nim mówić.

HANDLARZ KONI. Ale ja chcę z nim mówić.

MEFISTOFEL. Śpi teraz; przyjdź waść w innej porze.

HANDLARZ KONI. Teraz chcę z nim mówić, bo jak nie, to mu szyby wytłukę nad uszami!

MEFISTOFEL. Powiadam ci, że nie spał ośm nocy.

HANDLARZ KONI. Choćby nie spał i ośm tygodni, to ja go muszę zbudzić.

MEFISTOFEL. Zobacz, gdzie jest — on śpi.

HANDLARZ KONI. Ady-ć on jest tutaj! Pan Bóg miej was w swojej opiece, mości doktorze, mości doktorze, mości doktorze Fustianie! Czterdzieści talarów, czterdzieści talarów za wiązkę siana!

MEFISTOFEL. Poco tu gadać, widzisz przecie, że nie słyszy!

HANDLARZ KONI (krzyczy Faustowi do uszu): Ho! hoho! hoho!
Nie zbudzisz się waść? Zaraz ja waści obudzę. (Bije Fausta po nodze i odbija mu ją). O rety! nie da się zbudzić! Cóż ja teraz uczynię?!

FAUST. O moja noga! moja noga! Mefistofelu, ratunku! Zawołaj policji! Gdzie moja noga?! moja noga!?

MEFISTOFEL. Chodź, łotrze, na policję.

HANDLARZ KONI. Panie miłościwy, puść mnie, a ja dam ci drugie czterdzieści talarów!

MEFISTOFEL. Gdzie są pieniądze?

HANDLARZ KONI. Nie mam ich przy sobie. Chodź do mojej oberży, a dam ci je natychmiast.

MEFISTOFEL. Ruszaj co tchu!

(HANDLARZ KONI wybiega).

FAUST. Co? poszedł sobie? Szczęśliwej drogi! Faust ma znowu swą nogę, a koniarz wiązkę siana za swe trudy. Tak, sztuka ta będzie kosztowała go drugie czterdzieści talarów.

(Wchodzi WAGNER).

Cóż tam nowego, Wagner?

WAGNER. Książę Anhaltski prosi waszą miłość, abys mu raczył udzielić swego towarzystwa.

FAUST. Książę Anhaltski! Zaczny to pan, nie mogę mu skąpić swej wiedzy! Mefistofelu, chodźmy do niego*).

(Exeunt).

SCENA XII.

Wchodzą: KSIĄŻĘ ANHALTSKI, KSIĘŻNA, FAUST i MEFISTOFEL.

KSIĄŻĘ. Wierzaj, mości doktorze, wielce mnie ucieszyła ta krotchwiła.

*) W wydaniu z r. 1616:

(Wchodzą: BARTEK, KUBA, HANDLARZ KONI i FURMAN).

FURMAN. Chodźcie, waszmoście, zaprowadzę was na najlepsze piwo w Europie. Hej! pani gościnnna! Gdzież one tkwią — te kurwy?

(Wchodzi GOŚCINNA).

GOŚCINNA. Cóż tam? Czemu mogę waści służyć? A to mój stary gość! Witajcie!

BARTEK. A wiesz ty, Kuba, dlaczego ja tak stoję, jak wryty?

KUBA. Nie wiem, Bartek; dlaczego?

BARTEK. Mam ośmdziesiąt groszy na tablicy; ale nic nie mów! zobaczymy, może zapomniała o mnie.

GOŚCINNA. Któż to sterczy w takiej uroczystej pozycyi? Co? mój stary gość!?

BARTEK. O, pani gościnnna! Jak się aspani ma? Mam nadzieję, że dług mój jeszcze stoi.

GOŚCINNA. Juścić, niema wątpliwości; myślę, że waść wcale nie jest taki skory do wymazania.

FAUST. Miłościwy Panie, jestem rad, żem tak zadowolił Waszą Miłość. Ale Miłościwą Panią może to nie ubawiło? Słyszałem, że wysoko położone damy żadne są łakoci i czegoś podobnego. Proszę mi powiedzieć, a zaraz będzie wszystko.

KSIEŻNA. Dziękuję, mój dobry doktorze; a ponieważ widzę, że waszmość masz uprzejmy zamiar sprawienia mi przyjemności,

KUBA. Pani gościnną, przynieście nam piwa.

GOŚCINNA. W te tropy! — A uważajcie tu na izbę.

(Exit. Wnoszą piwo).

KUBA. Mości panowie! Co będziemy robić, dopóki nie wróci moja gościnną?

FURMAN. Opowiem waszmościom piękną historyjkę, jaką miałem z czarnoksiężnikiem. Znać doktora Fausta?

HANDLARZ KONI. A niech go morówka! Jest tu jeden między wami, który się na nim porządnie sparzył! — Czy on i z tobą popełnił jakie czarnoksięstwo?

FURMAN. Opowiem, co mi się z nim przydarzyło. Pewnego razu jadący, wiecie, z furą siana do Witembergi, spotkałem się z nim po drodze, tak on mnie pyta, cobym też chciał za tyle siana, ile onby mógł zjeść. Otóż, powiadam, myślę sobie, nie wiele ci on tego potrzebuje, i mówię, że za trzy grosze dam mu tyle, ile tylko zje; tak on mi w te tropy dał pieniądze i zaczął gryźć; a że, wiadomo, zawsze nieszczęśliwy jestem człowiek, tak on gryzł i gryzł, aż zjadł całą furkę siana.

WSZYSCY. O dziwy! Jakto? zjadł całą furkę siana?

BARTEK. Tak, tak, wszystko być może, bo jaścisł słyszałem o kimś, co zjadł cały sąg drzewa.

HANDLARZ KONI. A teraz ja opowiem waszmościom, jak po łotrowsku postąpił sobie ze mną. Udałem się do niego wczoraj, aby mi sprzedał

przeto taić nie będę, czego pragnie me serce. Gdyby teraz było lato a nie styczeń i martwa zima, poza dojrzałemi winogronami żadnego innego nie żądałabym przysmaku.

konía; tak on powiada, że nie może mi go oddać poniżej czterdziestu talarów. Ano, wiecie, ponieważ było mi wiadome, że jest to koń, który przeskakuje rowy i płoty i bynajmniej się nie męczy, takem mu dał te pieniądze. Ano, co się nie dzieje: kiedyś już miał tego konia w rękach, tak mi doktor Faust, wiecie, powiada, że mogę z nim jeździć noc i dzień i bynajmniej go nie oszczędzać, tylko jednego, powiada, nie rób: na żaden sposób nie wjeżdżaj z nim do wody. Ale ja, wiecie, myślący sobie, że koń ma jakiś przymiot, o którym niby nie chciał mnie powiadomić, pytam się, dlaczego niby nie mam z nim wjechać do wody? Ano i kiedy byłem w samym środku, tak koń mój zniknął, a ja z rozkraczonemi nogami siedziałem na wiązce siana!

WSZYSCY. O, tęgi doktor!

HANDLARZ KONI. Ale ino teraz posłuchajcie, jak tęgo ja mu za to zapłaciłem. Poszedłem do jego domu i zastałem go śpiącego w łóżku. Zacząłem hałasować i wrzeszczeć mu prosto do ucha, ale on się nie obudził. Tak ja, wiecie, pochwyciłem go za nogę, ciągnąłem i ciągnąłem go za nią, aż mi noga została w ręku. Mam ją teraz u siebie w stajni.

BARTEK. No i doktor ma tylko jedną nogę? he? A to zabawne! Bo mnie, wiecie, jeden z jego djabłów tak przemienił, że stałem się podobniuteńki do małpy.

FURMAN. Pani gościnnna! dajcie nam jeszcze piwa!

BARTEK. Słuchajcie! Chodźmy do drugiej izby, popijmy sobie jeszcze trochę, a potem chodźmy szukać doktora.

(Exeunt).

(Wchodzi KSIĄŻĘ ANHALTSKI etc.).

FAUST. Miłościwa Pani! to drobnostka! Mefistofelu, idź! (Exit MEFISTOFEL). Gdyby Wasza Miłość zażądała czegoś znacznie-
szego, aniżeli to, nie omieszkałbym tego dostarczyć, aby Waszą
Miłość zadowolić.

(Wraca Mefistofel z winogronami).

Oto są; skosztuje Wasza Miłość?

KSIEŻNA. Wierżaj, mości doktorze, dziwię się, w jaki sposób
w tym martwym czasie zimy, w tym miesiącu styczniu, przy-
szedłeś waść do tych winogron?

FAUST. Za pozwoleniem Waszej Miłości, rok jest na całym
świecie podzielony na dwa koła, tak że jeśli u nas jest zima,
to w przeciwnym kole jest lato, na ten przykład w Indjach,
w Sabie i w odleglejszych krajach Wschodu; stamtąd też za-
pomocą mego hyżego ducha dostarczyłem tych oto winogron.
Jakżeż Waszej Miłości smakują? Czy dobre?

KSIEŻNA. Proszę mi wierzyć, mości doktorze, najlepsze, jakie
kiedykolwiek kosztowałam w życiu.

FAUST*). Szczęśliwy jestem, żem Waszej miłości sprawił przy-
jemność.

*) W wydaniu z r. 1616 następująca wstawka:

(BŁAŻNI pukają do drzwi, poza sceną).

KSIAŻĘ. Cóż to za podłe hałasniki w bramie?

Idźcie uśmierzyć szal ich, drzwi otwórzcie

I zapytajcie, czego sobie życzą.

KSIAŻĘ. Chodźmy do komnat, pani, wynagrodzimy go za tę wielką sztukę, którą nam pokazał.

FAUST. Dziękuję uniżenie Waszej Miłości.

KSIAŻĘ. Mości doktorze, chodź z nami, weźmij przynależną nagrodę.
(Exeunt).

(Ponowne pukanie: słychać krzyki, domagające się rozmowy z FAUSTEM).

SLUGA. Mości panowie, hej! cóż to za krzyki?

Z jakiej przyczyny przeszkadzacie księciu?

KUBA (za sceną). Z jakiej się nam podoba; książe dla nas tyle wart, co figa!

SLUGA. Podła czeredo, skądże taka śmiałość?

HANDLARZ KONI (poza sceną). Powiem waszeci, że mamy dosyć powodu być śmielszymi, aniżeli się komu podoba.

SLUGA. Widać, że tak jest; ale proszę, śmiałość swoją zachowajcie dla kogo innego i nie molestujcie księcia!

KSIAŻĘ. Czego żądają?

SLUGA. Krzyczą, że mówić chcą z doktorem Faustem.

FURMAN. A juści, chcemy z nim pomówić, chcemy.

KSIAŻĘ. Ej! co za łaska! Wyrzucić tę spółkę!

KUBA (poza sceną). Co? my mamy być spółką? Prędzej on spółkuje z własnym ojcem, niż że my jesteśmy spółką.

FAUST. Niech Wasza miłość pozwoli im wejść tu —
Dobłą z nich będziem mieli krotochwilę.

KSIAŻĘ. Czyń, jak chcesz, Fauście; jać na to zezwalam.

FAUST. Dziękuję Waszej Miłości.

(Wchodzą: BARTEK, KUBA, FURMAN i HANDLARZ KONI).

SCENA XIII.

Wchodzi WAGNER.

WAGNER. Sądzę, że mistrz mój wkrótce umrzeć myśli*),
Albowiem dał mi cały swój majątek.
Lecz gdyby jednak śmierć była tak bliską,

Cóż tam nowego, zacni przyjaciele?
Nazbyt jesteście niesforni, lecz chodźcie:
Książę przebaczył! Miło mi przywitać!

BARTEK. Tak, mości panie, miło nas przywitać za nasze pieniądze; zapłacimy za wszystko, co ino tu spotrzebujemy. Ano, dejże nam pół tuzina piwa, a potem się powieś.

FAUST. A czy wiadomo waściom, gdzie jesteście?

FURMAN. Juści wiadomo: my sąśma pod słońcem.

SLUGA. Lecz w jakim miejscu, wiesz, ty beczelniku?

HANDLARZ KONI. Dom ten w sam raz jest na to, aby się w nim napić. — Do, kroćset! Dajcie nam piwa, bo jak nie, to potrzaskamy wam wszystkie baryły i porozbijamy wam łby własnymi waszemi butelkami!

FAUST. Ej — nie tak ostro! Chodźcie, dam wam piwa. —
Niech Wasza Miłość pozwoli mi chwilkę —
A, na me imię! nie zawiodę księcia.

KSIĄŻĘ. Z całego serca; rób, co chcesz, doktorze!
Dwór nasz i służba na twoje rozkazy.

*) W wyd. z r. 1616 kwestja ta pisana jest prozą.

Nie bankietowałby ze studentami,
Jak teraz czyni, juściłby nie siedział
Przy takiej zacnej pieczeniu, o jakiej
Ani nie marzył Wagner w swoim życiu.
Ale już idą — biesiada skończona!

(Exit).

FAUST. Dzięki pokornie. — Przynieście tu piwa.

HANDLARZ KONI. Ej, no doprawdy! to znaczy doktor! Dałibóg! za
takie słowo wypiję za zdrowie twojej drewnianej nogi!

FAUST. Drewnianej nogi! Cóż to ma oznaczać?

FURMAN. Ha, ha, ha! Słyszysz, Kuba? Zapomniał o swojej nodze.

HANDLARZ KONI. Ej, ej! nie bardzo nawet na niej stoi!

FAUST. Nie bardzo stoję na drewnianej nodze —

Prawda!

FURMAN. Mój dobrodzieju! Że też u waszmości takie słabe krew i ciało!
Nie przypominasz sobie waść handlarza, któremuś sprzedał konia?

FAUST. Tak, wiem; sprzedałem komuś swego konia.

FURMAN. A przypominasz sobie waść, żeś mu zakazał wjeżdżać z nim
do wody?

FAUST. I owszem, przypominam.

FURMAN. A nie przypominasz sobie waść drewnianej nogi!

FAUST. Nie, na prawdę.

FURMAN. W takim razie, proszę, przypomnij sobie waść swoją uprzejmość.

FAUST. Dziękuję waspanu.

FURMAN. Niema za co. Proszę, powiedz mi waść jedno.

FAUST. Cóż takiego?

SCENA XIV.

Wchodzi FAUST z dwoma lub trzema SZKOLARZAMI i MEFISTOFELEM.

PIERWSZY SZKOLARZ. Mości doktorze Fauście, ponieważ rozmowa nasza o nadobnych kobietach, które mianowicie były w świecie najpiękniejsze, skończyła się tem, że Helena grecka

FURMAN. Czy obie nogi waszeczki śpią w nocy zawsze razem?

FAUST. Chcesz waszec zrobić Kolossa ze mnie, że takie zadajesz mi pytania?

FURMAN. Nie, dalebóg! nie chciałem niczego zrobić z waszeczki; ale rad bym to wiedzieć. (Wchodzi GOŚCINNA z piwem).

FAUST. A więc ci powiem, że są zawsze razem.

FURMAN. Dziękuję; zadowolony jestem zupełnie.

FAUST. Ale dlaczegoś się pytał?

FURMAN. Tak sobie; zdaje mi się jednak, że z waścią sypia tylko jedna noga.

HANDLARZ KONI. Słyszysz waćpan? Urwałem przecież waści jedną nogę podczas waścińskiego snu!

FAUST. Ale gdym się obudził, znalazła się znowu u mnie; spojrzij waćpan.

WSZYSCY. Okropność! Więc doktor ma trzy nogi?!

FURMAN. Przypominasz sobie waść, jakieś mnie wywiódł w pole i zjadł furę — — (FAUST odbiera mu mowę).

KUBA. Przypominasz sobie waść, jakieś mnie w małąpę — —

HANDLARZ KONI. Ty parszywy, czarnoksiężki skurwysynu, przypominasz sobie, jakieś mnie wywiódł — — —

była najcudowniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek żyły,
przeto wyświadczyć nam łaskę i pozwól nam zobaczyć tę niepo-
równaną damę grecką, którą cały świat podziwia za jej maje-
stat — będziemy waszmości wielce zobowiązani.

FAUST. Waszmoście,

Ponieważ widzę niekłamana przyjaźń,
A Faust nagrody nigdy nie odmawia
Ludziom, życzącym mu dobrze, więc, owszem,
Ujrzycie grecką niezrównaną damę
I to w tym samym świetnym majestacie,
W jakim imć Parys jechał z nią przez morze,
Wioząc ten łup swój bogatej Dardanji.
A zatem cicho! Słowa niebezpieczne!

(Słychać muzykę, HELENA przechodzi przez scenę).

BARTEK. Zapomniałeś asan o mnie? Myślisz asan, że się nam wykręcisz?
przypominasz sobie asan psia mor — —

(Exeunt BŁAŻNI).

GOŚCINNA. Kto mi zapłaci za piwo? Słuchaj waszmość panie doktor: wy-
pędziłeś mi waść moich gości, teraz proszę waści, kto mi zapłaci za — —

(Exit GOŚCINNA),

KSIEŻNA. Mości książę!

Bardzo nas mąż ten wielki zobowiązał.

KSIAŻĘ. Tak, mościa księżno; godnie też miłością

I czułą naszą przyjaźnią nagrodzimy

Tę jego sztukę, której urok boski

Wszystkie nam z duszy powypędział troski.

(Exeunt).

DRUGI SZKOLARZ *). Zbyt wąły umysł mój, by godnie wielbić
Tę, którą sławi świat za jej majestat.

TRZECI SZKOLARZ. Tak, nie dziwota, że zgniewani Grecy
Dziesięcioletnią chcieli odbić wojną
Taką królowę, której wdzięk niebiański
Urągać może wszelkim porównaniom.

PIERWSZY SZKOLARZ. Żeśmy widzieli tę dumę Przyrody,
Okazałości jedyny paragon,
Przeto odejdzmy; a za czyn ten świetny
Bądź nam szczęśliwy, Fauście, po wsze czasy.

FAUST. Żegnam waszmościów; życzę wam tak samo.

(Exeunt SZKOLARZE).

(Wchodzi STARY CZŁOWIEK).

STARY CZŁOWIEK **). Doktorze Fauście! Obym miał tę władzę,
Iżby twe kroki wwiesić na drogę życia,
Na której mógłbyś dojść do tego kresu,

*) W wyd. z r. 1616 scena ta bardzo drobnym uległa zmianom — nie przytaczam ich.

**) W wydaniu z r. 1616 kwestja ta brzmi:

STARY CZŁOWIEK. Porzuć, o Fauście, tę przekłętą sztukę,
Która twą duszę wtrąci swymi czary
W piekło i wieczne wydrze ci zbawienie.
Chociażes tutaj nagrzeszył, jak człowiek,
Błagam cię, nie trwaj w grzechu swym, jak djabeł;
Ale, wiem o tem, szlachetną masz duszę,

Gdzie na nas czeka niebiański spoczynek!
Poszarp swe serce, krew zmieszaj ze łzami,
Które-ć niech ciekną z pokutnego jarzma
Twojej ohydnej, nikczemnej brudoty,
Co swoim kałem psowa twoją duszę,
W takie ją zbrodnie nurzając i grzechy,
Ze cię ich żadna nie pozbawi litość —
A jednak, Fauście, ufaj swemu Zbawcy,
Gdyż jego krew li zmyje twą przewinę.

FAUST. Kimże ty, Fauście? Coś uczynił, łotrze?
Potępion jesteś! Rozpaczaj! Umieraj!
Piekło swych praw się domaga, straszliwym
Wzywa cię głosem: „chodźże, Fauście, chodźże,
Nadeszła twoja godzina!” I Faustus
Idzie, już idzie, zwraca ci tve prawo!
(MEFISTOFEL podaje mu sztylet).

Jeśli przez nawyk grzech się twój nie stanie
Drugą naturą! Fauście, bacz, by skrucha
Nie przyszła czasem za późno, gdyż wówczas
Pozbawion będziesz niebiosów! Nie zdoła
Nikt ci opisać męczarni piekielnych.
Me upomnienie może być niemiłem
I nazbyt szorstkiem, lecz, szlachetny synu,
Nie zważaj na to, ja nie mówię w złości,
Lub nienawiści ku tobie — nie, miłość
Przemawia ze mnie, lęk o tve męczarnie!
Być może, słowa me dręczą tve ciało,
Lecz, mam nadzieję, poprawią twą duszę.

STARY CZŁOWIEK. Powstrzymaj, Fauście, rozpaczliwe kroki!

Nad twoją głową widzę, zawisł anioł
Z czarą kosztownej łaski, którą pragnie
Przełać w twą duszę! błagaj więc o litość
I precz od siebie odpędź wszelką rozpacz.

FAUST. O przyjacielu, czuję,
Ze słowa twoje krzepią moją duszę.
Pozwól, że naprzód policzę swe grzechy.

STARY CZŁOWIEK. Odchodzę, Fauście, ale z ciężkiem sercem,
Widząc zniszczenie beznadziejnej duszy.

FAUST. Przeklęty Fauście, gdzież jest miłosierdzie?
Uczuwam skruchę, a jednak rozpaczam;
Piekło bój toczy z Łaską w mojej piersi:
Czem-ż się obronię przed siłami śmierci?

MEFISTOFEL. Zdradliwy Fauście, za nieposłuszeństwo
Dla mego władzcy arestuję-ć duszę:
Zawróć, lub ciało rozszarpie-ć na sztuki.

FAUST. Mefistofelu, błagaj swego pana,
Iżby mi raczył wybaczyć ten rokosz.
Krwia swą podpiszę znowu przyrzeczenie,
Lucyferowi dane przed latami.

MEFISTOFEL. Uczyni to zaraz i z niekłamnem sercem,
Iżbyś większego nie doznał tu szwanku.

(FAUST przecina sobie ramię i na pergaminie pisze swą krwią).

FAUST. Dręcz, przyjacielu, dręcz chromego starca,
Co mnie odstręczyć chciał od Lucifera
Najstraszliwszemi dręcz go katuszami.

MEFISTOFEL. Wielką ma wiarę, duszy tknąć nie mogę,
Lecz co do ciała, wszystkiego spróbuję,
Aby je zniszczyć, i tak mało warte.

FAUST. Jeszcze-ć o jedno proszę, dobry sługo,
Aby ugasić tęsknicę mej duszy — :
Niechaj kochanką będzie mi Helena,
Którą widziałem przed chwilą — w jej słodkich
Pragnę uściskach zgasić wszystkie myśli,
Co odwodziły mnie od mej przysięgi,
Pragnę znów wiernym być Luciferowi*).

(Wraca HELENA w otoczeniu dwóch Kupidynów — not. z wyd. 1616).

FAUST. A więc to lice wyгнаło na morze
Tysiąc okrętów**) i spaliło Ilium?
Niech mnie całunek twój unieśmiertelni,

*) W wydaniu z r. 1616:

MEFISTOFEL. To i to wszystko, czego Faust zażąda,
Spełnię natychmiast w jednym oka mgnieniu.

**) Szekspir miał niewątpliwie wiersze te na myśli, pisząc w Troilusie i Kressydzie II, 11, 2: — „Why, She is a pearl whose price hath launched above a thousand ships“. (A więc to jest perła, której cena wyгнаła tysiąc okrętów na morze).
Bullen.

Piękna Heleno! (Całuje ją). Duszę mi wysysa
Jej pocałunek — dusza ma ucieka! —
Wróc mi, Heleno, wróc mi moją duszę!
Tutaj zamieszkać, niebo jest w tych wargach
I wszystko prochem, co nie jest Heleną!
Parysem-ć będę, z miłości ku tobie
Niech, zamiast Troi, spłonie Wertenberga!
Walczyć ja będę z nędznym Menelajem
I barwy twoje nosić na szyszaku;
Tak, Achilleś ja ugodzę w piętę
I potem wrócę do twych pocałunków.
Piękniejsza jesteś od wieczornej pory,
Spowitej w urok mnogich gwiazd, jaśniejsza
Od płomiennego Jowisza, gdy stanął
W swym majestacie przed biedną Semelą:
Wdzięczniejsza jesteś od monarchy niebios
W tych Aretuzy błękitnych objęciach:
Ty jedna tylko będziesz mą kochanką! *). (Exeunt).

*) W wydaniu z r. 1616:

(Grzmot. Wchodzi LUCIFER, BELZEBUB i MEFISTOFEL).

LUCIFER. Z piekieł przyszliśmy tutaj, aby ujrzeć
Naszych poddanych, których grzeszne dusze
Wybiły piętno czarnych synów piekła.
Przedsię pragniemy dziś zobaczyć Fausta,
Już mu ostatnie niosąc potępienie,
Co jego duszę czeka; czas już nadszedł
Jego zraty.

SCENA XV.

Wchodzi STARY CZŁOWIEK *).

STARY CZŁOWIEK. Przeklęty Fauście, ty nędzny człowieku,
Co łaskę niebios wyrzucasz z swej duszy
I precz uciekasz od ich trybunału.

(Wchodzą DJABLI).

Szatan poczyną kusić mnie swą pychą ~
Niech Bóg doświadcza w piecu tym mą wiarę ~
Zatryumfuje wiara ma nad wami,
Dumni szatani! Jak się niebo śmieje
Z waszych zabiegów, jak drwi z waszej złości!
Więc, precz, o piekło! Idę k'memu Bogu!
(Exeunt z jednej strony DJABLI, z drugiej STARY CZŁOWIEK).

MEFISTOFEL. Tak, w tę noc posępną
Przeklęty Faustus będzie w swej komnacie.

BELZEBUB. My zostaniem tutaj,
Aby zobaczyć, jak się też zachowa.

MEFISTOFEL. Strasznie rozpaczać będzie — coś innego?
Biedne stworzenie! Serce mu się krwawi!
Mózg jego biedny wymyśla przeróżne,

*) Dyce przypuszcza, że scena ta (wyrzucona w ed. z r. 1616) odbywa się w domu Starego Człowieka, Bullen natomiast jest zdania, że rzecz dzieje się w domu Fausta, dokąd Stary Człowiek wrócił, iżby Fausta wywać dalej do pokuty.

SCENA XVI.

Wchodzi FAUST z SZKOLARZAMI.

FAUST. A, ichmościowie!

PIERWSZY SZKOLARZ. Cóż to dzieje się z Faustem?

FAUST. A, mój miły współlokatorze, gdybym był żył dalej z tobą, byłbym żył dotychczas. A teraz umieram na wieki! Nie idzie on? — Spójrzysz — czy nie idzie?

DRUGI SZKOLARZ. Co się stało Faustowi?

TRZECI SZKOLARZ. Zdaje mi się, że popadł w jakąś chorobę z powodu ciągłej samotności.

Płone majaki, by zwyciężyć diabła,
Ale daremnie! Tak! żądzą rozkoszy
Trzeba zaprawić męczarnię. Patrzajcie!
Oto nadchodzą obaj, on i Wagner.
Faust swą ostatnią właśnie spisał wolę. —
Są już przed nami. (Wchodzi FAUST i WAGNER).

FAUST. Czytałeś, Wagner, moją ostatnią wolę?
Jak ci się widzi?

WAGNER. Tak mi się podoba,
Tak jest przedziwną, że całe me życie
I me usługi dla waszej miłości.

FAUST. Dzięki ci, Wagner.
(Wchodzą SZKOLARZE etc.).

PIERWSZY SZKOLARZ. Jeżeli to prawda, to już cię są fizykowie, którzy go wyleczą. — To zapewne tylko przepełnienie (żołądka). Człowieku, nie bój się niczego.

FAUST. Przepełnienie śmiertelnymi grzechami — ono to potępiło mi duszę i ciało.

DRUGI SZKOLARZ. Przeto, Fauście, zwróć się ku niebu: pamiętaj, że miłosierdzie boże jest bez kresu.

FAUST. Dla zbrodni Fausta niema przebaczenia: wąż, który kusił Ewę, może być zbawiony, lecz Faust przenigdy! A, wysłuchajcie mnie, panowie, cierpliwie i nie drżycie na me słowa! Chociaż serce mi żywiej bije na wspomnienie tych trzydziestu lat, które przebyłem tu jako student, bodajbym nigdy nie widział Wertenbergi, bodajbym nigdy żadnej nie czytał książki! A jakie cuda zdziałalem, świadkiem tego Niemcy — nie, cały świat! Dla nich stracił Faust i Niemcy i świat, tak, stracił niebo, przybytek Boga, tron błogosławionego, królestwo radości; a teraz musi pozostać na wieki w piekle, a, w piekle, na wieki! Dro-dzy przyjaciele! cóż stanie się z Faustem, siedzącym w piekle — na wieki!?

TRZECI SZKOLARZ. Fauście, wezwij jedynego Boga!

FAUST. Boga, którego mi się wyrzekł? Boga, któremu Faust bluźnił? A, mój Boże! chciałbym płakać, ale szatan łyż mi wysusza. Krew sączyć zamiast łez! Tak, życie i duszę! O, on mi język kielza! Chciałbym ręce wznieść do góry, lecz, patrzcie! oni mi je trzymają, trzymają!

WSZYSCY. Kto, Fauście?

FAUST. Lucifer i Mefistofel! A, panowie, oddałem im duszę za tę moją wiedzę!

WSZYSCY. Bóg się temu sprzeciwia.

FAUST. Tak, Bóg się temu sprzeciwiał, zaiste! Ale Faust to uczynił. Dla złudnych rozkoszy w ciągu tych lat dwudziestu czterech utracił Faust radość i szczęście wieczyste! Własną krwią podpisałem mu cyrograf; termin się skończył, nadchodzi ma chwila, czart mnie zabiera ze sobą!

PIERWSZY SZKOLARZ. Dlaczego nam Faust nie powiedział tego prędej, iżby duchowieństwo mogło się modlić za ciebie?

FAUST. Nieraz chciałem to uczynić. Ale djabeł groził mi poszarpaniem na sztuki, gdybym wezwał imienia Boga; chciał mi zabrać duszę i ciało, gdybym dał posłuch wiedzy bożej; a teraz za późno. — Odejdźcie, panowie, inaczej zginiecie razem ze mną.

DRUGI SZKOLARZ. Cóż nam czynić, aby uratować Fausta?

FAUST. Nie mówcie o mnie, ratujcie siebie i odejdźcie.

TRZECI SZKOLARZ. Bóg mi doda siły. Zostanę z Faustem.

PIERWSZY SZKOLARZ. Nie kuś Boga, miły druhu! chodźmy do sąsiedniej komnaty i tam módlmy się za niego.

FAUST. Tak, módlcie się za mnie, módlcie się za mnie! A jeżeli usłyszycie jakiś hałas, nie wchodźcie, bo nic mnie już nie zbawi!

DRUGI SZKOLARZ. Módl się, i my modlić się będziemy, iżby się Bóg ulitował nad tobą.

FAUST. Zegnajcie, panowie: jeśli dożyję do jutra, przyjdźcie do mnie, jeżeli nie — Faust poszedł już do piekła!

WSZYSCY. Żegnaj, Fauście.

(Exeunt SZKOLARZE. Zegar wybija jedenastą*).

*) W wydaniu z r. 1616 następująca wstawka:

MEFISTOFEL. Straciłeś, Fauście, nadzieję niebiosów,

Przeto rozpaczaj! O piekle jedynie

Myśl, bo przybytek twój jest w tej dziedzinie!

FAUST. Ty czarnoksiężki czarcie! Twe pokusy

Tak mnie wiecznego pozbawiły szczęścia.

MEFISTOFEL. Przyznaję, Fauście, i cieszę się z tego.

Jam ci zagroziłem drogę, kiedyś oczy

Wznosił ku niebu; kiedyś brał do ręki

Pismo, jam tobie przerzucał stronicę

I oczy twoje odwracał.

Dlaczego płaczesz? Żegnaj mi! Człowieka,

Co się na ziemi śmiał, płacz w piekle czeka. (Exit).

(Wchodzą DOBRY ANIOŁ i ZŁY ANIOŁ, każdy osobnymi drzwiami).

DOBRY ANIOŁ. Gdybyś był, Fauście, nakłonił mi uszu,

Nieprzeliczonych doznałbyś rozkoszy,

Ale tyś wołał kochać świat.

ZŁY ANIOŁ. Tyś uszu

Nakłonił ku mnie, znoś więc męki wieczne!

DOBRY ANIOŁ. Na cóż ci dzisiaj przydały się wszystkie

Zbytki, bogactwa, rozkosze!

FAUST. A, Fauście!

Zaledwie jeszcze masz godzinę życia,
A potem będziesz potępion na wieki!
Stańcie, ruchome wieczne sfery niebios!
Czas niechaj stanie, by nie przyszła północ;
Otwórz, Naturo, swe oko nadobne
I dzień wieczysty stwórz! niech ta godzina
W rok mi się zmieni, w miesiąc, w tydzień, w jeden
Dzień, aby skruczą Faust ocalił duszę!

ZŁY ANIOŁ. Kto miał na ziemi tej zbyt kowne mienie,
O, tego w piekle czeka wyrzeczenie.

DOBRY ANIOŁ. Niebiańskie szczęście straciłeś na wieki,
Radość bez końca, rozkosz niewymowną;
Gdybyś był słuchał słodkiej wiedzy bożej,
Pieńko nad tobą nie miałoby władzy!
Gdybyś był poszedł, Fauście, oną drogą,

(Muzyka: spuszcza się tron na ziemię).

Patrzaj, na jakim byłbyś siedział tronie!
W niebiańskiej chwale, wśród jasnych aniołów,
Tryumfujący nad piekłem! Lecz teraz
Straciłeś wszystko; teraz cię opuszcza
Dobry twój anioł! Czułości piekielne
Już się rozwarły, by pochłonać ciebie.

(Exit. Tron podnosi się ku górze).

ZŁY ANIOŁ. Niech się twe oczy, Fauście, z przerażeniem
Wlepią w ten wiecznych katuszy przybytek:

(Pieńko się rozwiera).

Tu na płomiennych rożnach prażą Furje
Tłum potępionych dusz, tu się gotują

O lente, lente currite noctis equi!*)
Zwolna się toczą gwiazdy, czas ucieka,
Zegar uderzy, szatan się pojawi
I Faust potępion! Zwracam się ku Bogu —
Któż mnie odtrąca? Patrz, jak krew Chrystusa
Zalewa cały firmament — kropelka
Zbawi mą duszę — pół kropelki, Chryste!
Do niego wołam — odejdz, Luciferze!
Gdzie on jest teraz? Zniknął? Patrz, jak swoje

Ciała w ołowiu; tu poćwiartowane,
Ale żyjące, pieką się na węglach
Członki; tu na tem płomieniem krześle
Wypoczywają udęczone dusze.
Ci, których karmią tam kęsami ognia,
To są łakomcy, co jedli na ziemi
Same przysmaki, patrząc obojętnie,
Jak umierali u bram ich nędzarze.
Ale to wszystko jeszcze nic nie znaczy:
Oko twe męki straszliwsze zobaczy.

FAUST. Dość widzę tortur tych ku swej rozpaczy!

ZŁY ANIOŁ. Nie! sam ich musisz pokosztować ninie!

Kto kochał rozkosz, ten przez rozkosz ginie.

Teraz cię rzucam — widma piekieł przysły!

Sam tu zostaniesz, opuszczą cię zmysły!

(Exit. Obraz piekła znika. Zegar bije jedenastą).

*) „At si, quem malis, Cephalum completa teneres,
Clamares: lente currite noctis equi“.

Ovid. Amores. I. 13. II. 39—40.

Wyciąga ramię Bóg, jak brew swą marszczy!

Zwalcie się na mnie, wy szczyty i wzgórza,

Zasłońcie Fausta przede gniewem Boga!

Nie! nie!

A więc się rzucę, jak długi, na ziemię —

Rozstąp się, ziemio! — Nie chce mnie pochłonać.

Słuchajcie, gwiazdy, wy, coście władały

Przy narodzinach moich, co swym wpływem

Przeznaczyłyście dla mnie śmierć i piekło,

Jak mgłę, tak Fausta podnieście ku sobie,

Wchłońcie mnie w wnętrze swoich chmur ciężarnych,

Iżby, żygnawszy w przestworach, me kości

Ze swojej czarnej wyrzuciły paszczy,

A iżby k'niebu poszła moja dusza.

(Zegar bije pół do dwunastej).

Już pół godziny minęło! Za chwilę

Minie i druga połowa!

O Boże!

Jeśli się nie chcesz złitować mej duszy,

Na krew Chrystusa, wytoczoną dla mnie,

Racz kres położyć wieczystej męczarni;

Faust niechaj w piekle żyje i lat tysiąc,

Nie, sto tysięcy — ale potem zbaw go!

O niema końca potępieniu duszy!

Czemu nie jesteś stworzeniem bez duszy?

Lub czemu dusza twa jest nieśmiertelną?

Metempsychozo Pytagorasowa!

Jeżeliś prawdą, niechby moja dusza,

Precz mnie rzuciwszy, weszła w jakieś zwierzę!
Wszystkie zwierzęta szczęśliwe, albowiem
Skoro skonają,
Wraz się ich dusza rozplywa w żywiołach
Moja żyć musi, by się dręczyć w piekle!
Przekleństwo ojcom, którzy mnie spłodzili!
Siebie przeklinaj Fauście, Lucifera,
Który z niebiańskich obdarł cię rozkoszy.

(Zegar bije dwunastą).

Bije, już bije! rozplyń się w powietrzu,
To moje ciało, albo cię Lucifer
Zabierze z sobą w te tropy do piekła.

(Grzmot i błyskawica).

Zmień się, o duszo, w drobne krople wody,
Spadnij w ocean, by cię nikt nie znalazł.

(Wchodzą DJABLI).

Boże, mój Boże! Nie patrz-że tak gniewnie!
Zmie i węże, dajcie mi odetchnąć!
Nie ziej tak, piekło! Nie przychodź, szatanie!
Spalę me księgi!... A, Mefistofelu ~ ~ ~

(Exeunt DJABŁOWIE z FAUSTEM *).

(Wchodzi CHÓR).

*) W wyd. z r. 1616 dodano tutaj scenę następującą:

(Wchodzą SZKOLARZE).

PIERWSZY SZKOLARZ. Chodźcie, panowie, odwiedzimy Fausta —
Nigdy tak strasznej nie widziano nocy.
Odkąd stworzono świat ten, nikt nie słyszał

CHÓR. Złamana gałąź, wzniosła, pełna mocy,
Spalon wawrzynny krzew Apolinowy,
Co tak się pełnił w tym uczonym mężu.
Niema już Fausta. Zważ jego upadek,
Niechaj los jego będzie ci nauką,
By w zakazane nie wgłębiać się sprawy,
Wiodące umysł na takie rozdroże,
Na które niebo zgodzić się nie może. (Exit).

Terminat hora diem; terminat auctor opus.

Takich okropnych krzyków i narzekań:
Módlmy się niebu, by zratować Fausta.

DRUGI SZKOLARZ. O nieba! Patrzcie, oto członki Fausta,
Poćwiartowane srogą ręką śmierci.

TRZECI SZKOLARZ. Poćwiartowali tak Fausta szatani,
Którym on służył, albowiem pomiędzy
Godziną pierwszą, zda się, a dwunastą
Słyszałem głośne wołanie o pomoc;
W tym samym czasie dom ten był ni w ogniach,
Czarci go straszną napelnili trwogą.

DRUGI SZKOLARZ. Chociaż, panowie, Faust miał taki koniec,
Że chrześcijańskie serce iza się zlewa,
Wspomniawszy o tem przecież, iż był wielce
Za swą uczoność podziwiany w Niemczech,
Godny wyprawmy pogrzeb jego kościom:
Niechaj szkolarze wszyscy w czarnych szatach
Za tym żałobnym podążą rydwanem. (Exeunt).

(Wchodzi CHÓR j. w.).

Terminat hora diem; terminat auctor opus.

OEDIPUS TYRANNUS

CZYLI

OPUCHŁOŁYDZIEC KRÓL

Gdy Minotaura jońskiego dosiędzie
Małżonka króla i, miast psem zająca,
Króla poszczuje świńmi, w Tebach wrząca
Wojna domowa lub reforma będzie.

PRZEDMOWA.

Tragedja niniejsza pierwszą jest z tryady, czyli systemu trzech widowisk (w ten sposób bowiem zwykli byli Grecy wiązać dramatyczne swe przedstawienia), zajmujących się dziwnymi a strasznymi losami dynastji Opuchłolydźca. Napisał ją widocznie jakiś uczony Tebańczyk, i to, sądząc po charakterystycznej jej ociężałości, w czasie, kiedy beotarchowie nie zniesli jeszcze ceł na sól attycką. Subtelność, z jaką traktuje sprawę świń, dostatecznym jest dowodem, że był to sus Boeotiae, prawdopodobnie Epicuri de grege Porcus, gdyż, jak mówi poeta:

„Współczucie miętkość daje nam przedziwną“.

Tłumacząc znamienity ten zabytek literatury starożytnej, nie pozwalaliśmy sobie na żadną swobodę; w ostatnim tylko akcie trzeba było opuścić buntowniczy i bluźnierczy chór świń i byków. Wyraz Heydipouse — albo właściwiej Oedipus — przełożyliśmy dosłownie na Opuchłolydziec i żadnej nie widzimy potrzeby dociekania, czy Jego Świńska Mość nazwę tę zawdzięcza jakiejś opuchlinie na przedniej, czy na tylnej nodze.

Gdyby odnaleziono dwie inne części tragedji, zatytułowane „Opuchłolydziec w Angarji“ i „Szpital“, tłumacz nie omieszkałby oddać ich w ręce czytającej Publiczności.

SHELLEY.

DRAMATIS PERSONAE.

KRÓL OPUCHŁOŁYDZIEC, władzca Teb.

IONA TAURINA, jego żona.

MAMMON, arcykapłan Głodu.

PURGANAKS,	}	wróżbici, ministrowie Opuchłolydźca.
CZARNYDUCH,		
LAOKTONOS,		

GIEZ.

PIJAWKA.

SZCZUR.

MINOTAUR.

MOJŻESZ, rzeźak.

SALOMON, świniobójca.

ZEFANIASZ, masarz.

CHÓR trzody świńskiej, STRAŻE, SŁUŻBA, KAPŁANI i t. d. i t. d.

Rzecz dzieje się w Tebach.

AKT PIERWSZY.

Wspaniała świątynia z czaszek i piszczeli, nakryta oponami mózgowemi.
Nad ołtarzem zasłonięty posąg Głodu. Trzoda wieprzów, świń i prosiąt,
w wieńcach z ostu, koniczyzny i liści dębowych, siedzi na stopniach ołtarza
lub ciśnie się naokół niego.

Wchodzi OPUCHŁOŁYDZIEC w królewskim ornacie, nie zauważywszy
świń.

OPUCHŁOŁYDZIEC. Wielka bogini, co mocą niebiańską

Piękne me członki naodziewasz pysznym

(przygląda się z lubością swym kształtom)

Płaszczem z purpury i złota; ty, która

Brzuch mój królewski wydęłaś, jak żagiel

Przy sprzyjającym wietrze, a te niższe

Przedgórza moje zamieniasz na błogie

Połcie słoniny; o ty, dzięki której

Beockie lica moje — piramidom

Równe egipskim; nie mniej kosztowały

One zachodu, niż te — podtrzymują

Niezmacone mego mózgu stożek,
Ten szczyt, ten symbol przeszczytnej nicości!
Ty, której śluby składają kryjome
Króle, wawrzynem wieńczone cesarze
I radykałobójce, dyakony
I wyrabiacze banknotów i cała
Ta armja biednych, tłustych męczenników,
Tych ofiar zupy żółwiej i gorzałki
Zdradnych szatanów! Ty plenna Cerero
Tej ich Eleusis, cześć ci!

ŚWINIE.

Kwi! Kwi! Kwi! Kwi!

OPUCHŁOŁYDZIEC. Kto wy, co w Furiom poświęconym liściu
Wokół świętego drepciecie ołtarza?

ŚWINIE. Krzę! Krzę! Krzę! Krzę!

OPUCHŁOŁYDZIEC.

Wyście to, bydlęta,

Które się składa, z nerką i tłustością,
Na jej ołtarzu, z krwią i „solodragiem“,
Ażeby gniew jej przebłagać za czynsze
Niewypłacone?

ŚWINIE.

Kwi! Kwi! Kwi!

OPUCHŁOŁYDZIEC.

Cóż? Wy to

Wygrzebujecie brudnymi ryjami
Czerwone moje kartofle z allańskich
Bagnisk? Co? Wy to pożeracie owies

Mej kawalerji na Hebrydach? Jakto?
Wy się tarzacie w pomyjach ze ścierek,
Z kości, z podeszew, pięknie sporządzanych
Przez moich knechtów dla prosiąt schludniejszych?

ŚWINIE. PÓLCHÓR I. Tak my, choć z wszej zalety
Jedynie dziś — niestety! —
Zostało imię nam.

PÓLCHÓR II. Jeśli twa woła ninie
Chce wybić nas, twe świnie,
Cóż ci w ofierze dam?

OPUCHŁOŁYDZIEC. Kości i skórę i szczeci co nieco.

CHÓR ŚWIŃ. Króle litości znają dreszcz,
Tak twój nadworny nucił wieszcz.
Za twoich przodków możliwych my, prosiaki,
Żyliśmy w szczęściu, ni po gajach ptaki,
Lub świerszcze polne, co, jak wieści niosą,
Umiały śpiewać, ranną żyjąc rosą.
Lecz teraz plód nasz wynędziały, chory!
Parchy i świerzby zniszczyły mu zdrowie,
Twe psy królewskie szarpia nam obory,
Przytułku dzisiaj musim szukać w rowie;
Z dniem twoich rządów nasza radość znikła,
Nie dla nas ziarno, pomyje i ćwikła.

PIERWSZA LOCHA. Prosięta! próżno wam ssać!

DRUGA LOCHA. Własny bym pomiot zżarła!

PIERWSZE PROSIĘ. Ssię, ale mleko nie chce mi się łać!

DRUGIE PROSIĘ. Skóra ci nasza nie wlezie do gardła!

KIERDY. O kawał ścierki drze się nasza brać!

Ach! na pomyjach z głoduby nie zmarła!

PÓLCHÓR. Szczęśliwsze świnię, które już

Śród gadarejskich padły mórz!

Oby z królewskiej piersi, tak upartej,

Wygnała litość te niesforne czarty

I przygarnęła nas, współczuciem tknęta!

Co za nieszczęsny naród te prosięta!...

Jeśli Królewska Mość chcesz naszej szczeni

I krwi na kiszki i smalcu z podbrzuszy,

Niech polityka rozum twój oświeci,

Twoich Solonów rada niech się wzruszy:

Lepsze nam chlewki daj i lepsze jado,

Jak to nam zresztą z naszych praw wypadło.

OPUCHŁOŁYDZIEC. To bunt! bluźnierstwo! Sam tu, moje strażel

(Wchodzi STRAŻ).

STRAŻ. Cóż nam twój boski majestat rozkaże?

OPUCHŁOŁYDZIEC. Niech przyjdą żydy! Świniorezszak Mojżesz

I wieprzobójca Zefaniasz, tudzież

Nadworny masarz, Salomon!

STRAŻ.

Czekają!

(Wchodzą SALOMON, MOJŻESZ, ZEFANIJASZ).

OPUCHŁOŁYDZIEC. Dobądź-że noża, stary Mošku, zarżnij
Wszystkie te świnię, co zapaskudzają
Świat prosiętami... Rżnij!... Przymus moralny
Nic tu nie wskóra, ani prostytutcja,
Ani mój własny przykład, ani tyfus,
Wojna, więzienie!... Środek to jedyny,
Który z urzędu Arcykapłan Głodu
Zalecił wszemu duchowieństwu w Tebach ~
Rżnij, dobry Mošku, ostro a głęboko!

MOJŻESZ. Każ się, o królu, uciszyć tym kierdom!

OPUCHŁOŁYDZIEC. Zefanijaszu! poderżnij-że gardło
Tej tłustej świni! Zbyt mi jest opasła!
Rebeliony! Kwiczą, że nie mają
Ziarna!

ZEFANIJASZ. Królewska Mości! Ma puchlinę!
Wągry znajdziemy w wątrobie; zdrowego
Tłuszczu nie będzie na spróchniałych żebrach
Ani pół cala!

OPUCHŁOŁYDZIEC. Nic to! Będzie dobra,
By zapchać gęby niesforemym żołdakom,
Gdy pohulają wśród tebańskich ulic:
Wiatr im styczniowy po dniu mordowania

Usmakowici to ścierwo! Chcesz, hurtem
Sprzedam ci cały ten chlewnik, mój Szłome!

SALOMON. Nie mógłbym więcej, miłościwy Królu,
Zapłacić za nie ~ ~ ~

OPUCHŁOŁYDZIEC. Wyróżnij je od ręki ~
To dostateczna zapłata! Mam dosyć
Tego krząkania i tych wiecznych kwików!

(Wychodzą, zganiając świnię).

(Wchodzą: MAMMON, arcykapłan, i PURGANAKS, przełożony rady
wróżbitów).

PURGANAKS. Przyszłość posępna jest, jak śmierć; straszliwa,
Jak gniew piekielny, wisi nad nią chmura;
Wojsko się burzy, podatków nie płacą,
Coś się nam psuje, trzęsą się posady
Państwa, najśmielsi nie mają odwagi
Popatrzeć w własne oczy...

MAMMON. Cóż ty pleciesz,
Czcigodny chłopie? Buntuje się wojsko?
Więc zdziesiątkować kilka pułków trzeba!
Niema pieniędzy? A więc dalej ze mną
Do mej mennicy, wytłoczyć papierki,
Aż złoto spadnie w cenie, aż, ze wstydem
Spojrzawszy w swoją żółtaczkę, zbieleje,
Aże w westalskiej białości prześcignie
Tamte!

PURGANAKS. Ach! gdyby koniec było na tem!
Ale wyrocznia?

MAMMON. Jam ją wypowiedział!
Nie pomnę tylko, czy byłem pijany
Czy też natchniony... Prawda! ta wyrocznia!

PURGANAKS. Takie — pamiętam wyroczni tej słowa:
„Gdy Minotaura jońskiego dosiędzie
Małżonka króla i, ni psem zająca,
Króla poszczuje świniami, w Tebach wrząca
Wojna domowa lub reforma będzie!”

MAMMON. Jeśli wyrocznia nie przepowiedziała
Tej konieczności, tak to być musiało
Lub nie musiało, a tak stać się musi,
Jak chce wyrocznia; zasię, czy mnie zmoгло,
Natchnienie boże, czy trunek lesbijski,
Ażebym takie wypowiedział słowa,
Które, jak wszystkie słowa, bądź są fałszem,
Bądź szczerą prawdą, rzecz to obojętna.
Ta sama bowiem stworzyła potęgą
Wyrocznię, wino, ciebie, mnie, nas — wszystko,
Albo niczego — jedna to jest sprawa!...
Gdybyś ty wiedział to, co o wyroczniach
Mnie jest wiadomo — — —

PURGANAKS. Wy, arcykapłani,
W nic nie wierzycie; gdybyście wyśnili

Jakie numery w loteryi liczbowej,
Nie wiem, czybyście na nie stawiać chcieli.

MAMMON. Nie zawsze nasze trafiają numery.

Lecz powiedz, jakie chcesz poczynić kroki?
Proroctwa bowiem, gdy je raz ogłosisz,
Same tak sprawić mogą, że się spełnią.
Tak, jak ten kłamca, który dla swych celów
Mówi czasami prawdę, lub obłudnik,
Który, udając cnotę, postępuje,
Jak człek cnotliwy. Co zaś do Iony —
Znam-ci ja dzieje zacnej Pasiphae,
Żony jednego z najcnotliwszych królów
Krety, wiem także, jak się ta opowieść
Rozpowszechniła; radzi się też szczyłą
Nasi tebańscy głupi świętuchowie,
Że się wywodzą z swywolnej familji
Minotaurowej. Wszak dotychczas lubią
Zwać się bykami, choć tak zwyrodniali;
Wszystko, cokolwiek ma też związek z bykiem,
Powszechnej dotąd czci zażywa w Tebach;
W herbie swym mają na czerwonym polu
Aż siedmiu byków; sądzą też, że cała
Moc ich pochodzi z jedzenia rozbefów — —
Niebezpieczeństwo byłoby niejakię,
Gdyby królowa Iona — — —

PURGANAKS.

Juścić o to

Jam się postarał; nic z tego nie będzie!

Czarnoksiężniczą różgą wysmagałem
Skorupę ziemi: rozwarło się piekło!
Z wnętrza jaskini, pełnej wstrętnych stworów,
Wybrałem sobie gza, pijawkę, szczura.
Gież był tym samym, którego wysłała
Juno, by drażnić Io, a o którym
Mówił Ezechiel, że Pan go z dalekich
Gór etiopskich przywołał, by dręczył
Mezopotamski Babilon... Ten potwór
Grzmiącą ma trąbę, tak jak skarabeusz,
A ogon jego zakończony kolcem,
Co tysiąc może zadać ran, a każda
Nieuleczalna. Kragłemi ślepiami
Piękność dostrzega tam, gdzie jest ohyda,
I trąbą kłam swój rozgłasza po świecie.
Jak wszelki inny owad, żyje łajnem,
Nóg jedenaście ma, a każda noga
Ślady swe płynem znaczy jadowitym;
I to obrzydłe zwierzę wygoniło
Ione z granic tebańskich, od wyspy
Pędząc do wyspy, od miasta do miasta,
Aż do bajecznej Solimy, Ortygji,
Do skał Kalipsy, Melity, do ciemnych
Ziem Garamantu, Fezu, do Eolji
I do Elizjum, do twych, Partenope,
Dzisiaj, niestety, już wolnych wybrzeży,
Poprzez nieszczęsne dzierżawy Saturna,
Aż w mrok Zachodu...

MAMMON.

Co potem, jeżeli

Gież ten przypędzi Ionę tu dotąd?

PURGANAKS. Co za „jeżeli?” Bogowie! Mam przecie

Szczura, co z głodu tak strasznie wycieńczał,

Że w najciaśniejszą wciśnie się szczelinę

I w najsmrodliwszą dziurę; szczur ten chyłkiem

Do garderoby jej wlezie i ~ ~ ~

MAMMON.

Dosyć,

Mój przyjacielu! Gdzieś podział swój dowcip?

Jak gdyby ona nie kładła w pułapkę

Drobiny sera na przynętę! Zasię

Szczury, do tego wycieńczone stopnia,

Że się przez taką precisną szczelinę ~

PURGANAKS. Mam i pijawkę, ssącą krew, pijawkę,

Której ośliżłe kręgi nabrzmiwiają

Tak, że jej ciało ni czerwony balon,

Napompowany hydrogenem, zda się

Nieomal pękać od tej krwi, wyssanej

Z serca ludzkiego ~ zachłanną pijawkę,

Która się wpija i ssie ustawicznie ~

Taką pijawkę końską, że jej brzucha

Nie mógłby nawet wypełnić nasz krwisty

Opuchłolydziec, a której snąć wieków

Trzeba, nim syta odpadnie.

MAMMON.

Królowej

Ionie i mniejby starczyło... Atoli

Wielce się boję świńskiej naszej trzody
I w tej obawie też — —

PURGANAKS.

Cóżeś uczynił?

MAMMON. Wydziedziczyłem najstarszego syna —

Włóczył się bowiem ten-ci mój Chryzaor
Po zgromadzeniach ludowych i bredził
O takich sprawach, jak kredyt państwowy,
Handel, oszczędność, rzetelna moneta
I różne inne ultraradykalne
Tego rodzaju utopje. Musiałem
Zapisać także cały swój majątek,
Który się zowie Rajem Idiotów, —
Wszystkie fundusze w obligacjach, kwitkach,
Wszystką monetę, chwytaną z powietrza,
Zwierzyć musiałem córce Banknotynie,
A zaś ją samą co tchu wydać za męża,
Za imci pana Szubienicę...

PURGANAKS.

Marjaż

Wcale nie tego! —

MAMMON.

Wysokie koneksje,

Panie Purganaks! wysokie! Pan młody
Z starożytnego wywodzi się rodu —
Na Kryminałach pan i Złodziejowie,
Wpływy ma wielkie w obu naszych Izbach!
Jaki to czuły małżonek! zbyt czuły!
Juścić nie wolno świeżym się małżonkom

Pieścić publicznie, prawda, ale oni
Tak się kochają!... A moje wnuczęta,
Szubieniczątka małe! Nigdyś chyba
Obiecujących tak nie widział dzieci!
Młody się bawi w wieszanie, a starszy
Uczy się łapać wszelkich radykałów.
Nie brak im przytem oświaty, katechizm
Znają na pamięć me Szubieniczątka,
Każde też czyta jakiś rozdział z Biblii,
Zanim się pójdzie bawić.

(Słysząc straszny pomruk).

PURGANAKS.

Co ja słyszę?

MAMMON. Gzikowi twemu sprzykrzyło się gżenie.

GIEZ. Gzy! gzy! gzy!

Od alpejskich ja wód, gdzie na szczytach lśni lód,
Jawię się w ziemi tej.

Gzy! gzy! gzy!

Gdzie Marokko i Fez, stamtąd przybył ten giez,

Gdzie się Bizancjum skrzy;

Z palestyńskich ja niw i stąd, gdzie Aten dziw,

Gdzie Rzym oprzędły sny,

Jawię się w ziemi tej

Z swem gza i gzy!

*

Wśród okien i dźwierzy

Widziałem, jak grzech

Na łożu swem leży —
Ze wstydu by zdechł
Kto inny, a on się nie patrzy na żar
Tej lampki, przy której wstyd wszelki już zmarł.
Z brzękiem i szczękiem,
Jak pobrzęk w żelazie,
Przerwałem ja sny tej odrazie —
Gzy! gzy! gzy!

*

W cwał! w cwał! w cwał
Ten ostry kolec mój, ten mych pobrzęków rój
Przed siebie go gnał
W cwał! w cwał! w cwał!
Od włości do włości, bez żadnej litości,
Jak okręt wśród nocy i skał;
Bezdomny stwór biegł nakształt chmur,
Ciszy chciał, wojnę miał —
Ze mną tak biegł ten kał
W cwał, w cwał, w cwał!
Gzy! gzy!

*

Ja go kłułem, krew mu psułem —
Trucizna ma działa!
Na nic sztuka i nauka —
Wasza mądrość cała:
Nie zdechnie on bardziej, jak teraz już zdechł!

O blasku księżycy pędziłem ten grzech,
W dzień i w noc, gzy! gzy! gzy!
Śród mych pobrząków, poszczęków biegł on,
Od miejsca do miejsca, aż znalazł tu skon —
Gzy! gzy! gzy!

PIJAWKA. Krew i brud

To mój miód!
Juścić państwo, jak krwisty jest człek,
Gdzież lepszy, niż we mnie, ma lek?!

SZCZUR. A ja z jego grdyki

Krwi puszcę strumyki!
Pośladek mój tłusty i ogon mój węża
Choćby najciaśniejszą szczelinę zwycięża.

PURGANAKS (do PIJAWKI).

Bezpożyteczny płazie! Precz mi z tobą!
(do GZA).

Wróćże do piekła, robaku leniwy!
Kłuj-że tam duchy babilońskich królów!
Bawołogłową Io!...

ŚWINIE (za sceną). Kwi! kwi! kwi!

O żyj nam Io! Ninie
Chcemy się zmienić, świnię,
W tłuste, rogate byki!

SZCZUR.

Wasza miłość

Wie przecież o tem, że Minotaur — — —

PURGANAKS (z wielkim gniewem).

Milcz-że!

Do piekła z tobą! Bo jak nie, to z kuchni
Wpuszczę tu kota! Piękna to jest sprawa,
Mości Mammonie!

(SZCZUR znika).

MAMMON.

Pójdę i obmyślę,

Coby uczynić, iżby była brzydka.

(Wchodzi OPUCHŁOŁYDZIEC).

OPUCHŁOŁYDZIEC. Już powróciła!... Tauryna jest w Tebach,

Gdy ja, Opuchłółdziec, byłbym wolał
Widzieć ją w piekle! Hymenie, ty, który,
Obleczon w żółtą zazdrość, nad łożami
Żonatych królów potrząsasz niezgody
Płomiennowłosą pochodnią! To twoje
Dzieło, ty święty patronie królowych!
Opuchłółdziec żonaty! Jakkolwiek
Dzieli nas morze, nazwisko małżonki
Prawa posiada małżeńskie. I jej to
Przeklęty obraz jadł, pił, sypiał ze mną,
A w Adipozy uściskach jej pamięć
Brała częstokroć w ręce mężowskiego ~ ~ ~

(Ogromny hałas poza sceną).

GŁOSY (poza sceną). Żyj nam, Iono! Precz z Opuchłółdźcem!

OPUCHŁOŁYDZIEC. Słuchajcie ino, jak te świnię kwiczą

Na cześć Iony Tauryny! Nie ścierpię

Jej obecności dłużej! — Purganaksie,
Sam tu z jej głową!

PURGANAKS. Wprzódzy zwołać muszę
Naradę wieprzów.

OPUCHŁOŁYDZIEC. Przekup ich!

PURGANAKS. O Panie!

Chociażbyś kilku utuczył w oddzielnych,
Panie, chlewikach, dał im czystą słomę,
Łydki kilkoma owiazał wstążkami,
Ich świniom drogich nie szczędził koronek
I pacioreczków szklanych, młode kierdy
W białe gałganki przybrał i czerwone,
W krowie ogonki i piórka srokate,
A starym wieprzom nakładł między uszy
Liści kapusty; chociażby, o panie,
Te nasze śwynie przejęły się wiarą,
Że, dzięki właśnie wewnętrznej potędze
Tego wszystkiego, stały się niejako
Świniami przeważnie cesarskimi — nic-to!
Pomiędzy sobą one wówczas wzajem
Porozpłatają swe kałduny, zamiast
Pomódz nam zniszczyć Ionę!

OPUCHŁOŁYDZIEC. A jednak
Można spróbować... Gdzie jest Laoktonos?

(Wchodzą LAOKTONOS i CZARNYDUCH).

(do LAOKTONA:)

Królewska wola moja, generale,
Chce, byś mi przyniósł i tułów i głowę
Naszej królowej Iony. Najmilej
Byłoby dla mnie, gdybyś mi je przyniósł
Każde z osobna...

LAOKTONOS. Przeczułem twą wolę

I z odważnymi pułkami na czele —
Małp-ci królewskich noszą nazwę dzięki
Swoim mundurom i szczerzeniu zębów —
Szarżę-m wykonał na świnię, co, Ionę
W ciasnym zaułku otoczywszy kołem,
Dzielnie nasz pierwszy wytrzymały atak,
Niby to stado dzikich nosorożców.
Potem się w grzecznym cofnęły porządku
I kły zwrócone mając w nieprzyjaciół
I groźne ryje, w wspaniałym tryumfie
Do radzieckiego zanosły ją chlewu.
Ale co gorsza! Małpim posterunkom
Dały te świnię jabłek i orzechów
Oraz gorzałki i te, ogonami
Wymachujący z radości, poczęły
Wrzeszczeć: Niech żyje Iona! Niech żyje!
Z Opuchłolydźcem precz!... precz!

PURGANAKS.

Posłuchajcie!

ŚWINIE (za sceną). Niech żyje Iona! Precz Opuchłolydziec!

CZARNYDUCH. A ja na wieżę wlażłem świniopasa,

Która panuje nad chlewem, i długą
Do świń zebranych wygłosiłem mowę
— Same-li słowa — o prawie, wdzięczności,
O obyczajach dawnych, o potrzebie
Sprawiedliwego wymiaru, o czystem,
Moralnem życiu, rozwodach, religji,
O wiarołomstwie i o miłosierdziu,
O delikatnych, szlachetnych uczuciach,
O koniecznościach stanu i jak bardzo
Kocham królowę! I potem, wzruszony
Swą elokwencją, w głos się rozpłakałem,
A każda łezka moja wraz się w młyński
Zmieniała kamień, co niejednej świni,
Stojącej z ryjem otwartym, rozmiążdżył
Leb, tak, że — mówię — cały rynek tonął
W kałuży juchy, mózgów i roztartej
Na smalc słoninie. Leciały tak w okrąg
Te młyńskie głązy, wyrrywając bruki
I podrzucając do góry prosięta
Wraz z kamieniami i kurzem.

(Wchodzi MAMMON).

MAMMON.

Zaiste,

Wielce się dziwię, że tak osiwiały,
Jak ty, czarodziej, takie gołowase
Wyspekulował plany. Polityczny
Kazałby rozum odgrodzić Ionę

Od świń! Divide et impera! Ty zaś
Dwa połączyłeś stronnictwa, co władzę
Wezmą nad tobą, gdy ja nie pomogę!
Patrz na ten worek! Worek ten zawiera
Jad zielonego, wielkiego Pająka,
Na którym nasi szpicle owacyjnie
Pełzali sobie ulicami miasta,
Brukowanemi śmiercią. Jad ten dzisiaj
Jeszcze jest bardziej zabójczy — jak potwarz
Bardziej zabójczą od śmierci —, albowiem
Jad gzi, pięćdziesiątkrotnie zdestylowan,
W stosownych tutaj zmieszano proporcjach
Z wymiocinami pijawki i czarną
Trucizną szczurzą, tak że szczur, choć wzorem
Tyrana Pontu żywi się li jadem,
Lęka się tego dotknąć... Na to wszystko
Przyłożył pieczęć swoją Fałsz, co wielkim
Jego Djabelskiej Mości jest kanclerzem,
A władzca piekieł, chrzcząc to, te pobożne
Wyszeptał słowa: Imię twoje będzie
Zielony Worek, a zaś moc i łaska
Twoja jest taka, że najmniejsza kropla
Starczy, by w zbrodnię przemienić niewinność,
Najłagodniejsze oblicze w obrzydłą,
Dziką, szaloną szkaradę. Przez ciebie
Každy, ochrzczony tą piekielną rosą,
Ma się nazywać: pijak, cudzołożnik,
Kłamca i złodziej. Nie dasz mu imienia,

Któreby miłe było ortodoksom,
Któreby kochał Dziennik Urzędowy
I prawomyślne Przeglądy. Obżartuch,
Tyran, kiep, bydlę, błazen i kochanek
Cudzych małżonek — grzech najśmiertelniejszy
Po tej tu stronie Alp — oto przydomki,
Co mają z człeka upiorną uczynić
Karykaturę... Żadna ludzka dusza
Ani bydlęca nie spojrzy bez wstrętu
Na takie larwy. Nie słuchajcie strasznych
Nazw tych uszami, w którychby nie wrzała
Krew oburzenia, gniewu, wstydu! Płyn to
Przeniebezpieczny! Czcigodni panowie,

(OPUCHŁOŁYDZIEC zbliża się do Zielonego worka).

Niech Bóg was broni! żebyście tę pieczęć
Mieli rozerwać i tknąć się tej cieczy — —

PURGANAKS. Daj mnie! Nawykły jestem do wszelkiego
Gatunku trucizn. Jego Przerażliwa
Mość pragnie tylko przyglądać się barwie.

MAMMON. Nie wiele tutaj potrzeba rozumu:
Niszcząc to wszystko, cośmy dotąd byli
Łaskawi zrobić — lecz tak, by się zdało,
Że my to raczej umacniamy —, pełne
Możemy odnieść zwycięstwo. Wyciągnąć
Trzeba królowę z obory i świnię

Przekonać o tem, że treść Zielonego
Worka li cnotę stwierdza, lub też winę,
I że, jeżeli jest winna, zmienioną
Będzie w potworną postać winy, jeśli
Zasię niewinna, tak się przeobrazą,
Wiecie, w Anioła, za jakiego sama
Siebie uważa; że wzleci w powietrze
I swą jasnością zaćmi samo słońce,
Błogosławieństwa sypiąc naokoło
W kształcie cukierków. Mówi to wam Kapłan:
W to właśnie świnię uwierzą! Założyć
Mógłbym się z wami, że wleżą na dachy
Swoich chlewików, by przez zadymione
Szkiełka popatrzeć na wzlot jej podniebny.
Niektóre zasię pochwycą się wzajem
Za uchokłapy, aby mieć w co zbierać
Ów deszcz konfektów. Panie Purganaksie,
Pan jesteś mocny w pysku, więc potrzeba,
Byś ich do tego skłonił uroczystą,
Panie, przemową. Ja tymczasem pójdę
Urządzić święto w cześć bogini Głodu;
Wtedy to celem zwiększenia jej chwały
Będzie się mogła odbyć ceremonia
Zeszkaradzenia królowej.

CZARNYDUCH (do OPUCHŁOŁYDŹCA). Ja sam,
Będący stróżem Twojego świętego,
Panie, sumienia, muszę Twej Królewskiej

Przypomnieć Mości, że wielki Twój urząd
Handlarza wstążek czerwonej Bellony,
Nie może doznać odwłoki...

PURGANAKS.

Idziemy ~

Obyśmy w większem spotkali się szczęściu.

(Exeunt).



AKT DRUGI.

SCENA I.

Chlew radziecki. Walne zebranie kierd.
Wchodzi PURGANAKS.

PURGANAKS. Panowie! Kierdy! Raczcie mi użyczyć
Swej cierpliwości, wy, którzy, cierpliwie
Publiczne znosząc ciężary, jesteście
I macie nadal pozostać podporą
Tej chlewów naszych wiekopomnej, mądrej
Konstytucyi!... Nędzne taksy świńskie
Wzrastają w miarę płodności świńskiego
Plemienia — taksy, ta krynica świństwa,
— Bo czyż właściwszy mogę znaleźć wyraz,
Chcący określić moralność, dobytek,
Waszą religję, wasz pokój, to wszystko,
W czem ta Beocja, jako naród, może
Przodować innym narodom?! — te taksy

Rosną, powiadam, stosownie do wzrostu "
Swinstwa. Niedługo te nasze dochody,
To źródło pensji, dodatków, protekcji,
Na które patrzą zawistną żrenicą
Te na swobodzie urodzone świnię,
Tak będą topnieć, że na końcu cała
Produkcja kraju naszego utonie
W taksach, że spadną do zera... Tak!... Popyt
Obcych targowisk na kiszki, kiełbasy,
Na szczer, salceson i inne wyroby
Zmalał, lecz tylko częściowo. Ze przytem
Ród swiński żywi się słomą i wodą,
Nie pomyjami, to fakt jest — wy wiecie,
Iż to konieczność państwowa —, lecz fakt to,
Który trwać może do czasu... Zaś owym
Bezczelnym wieprzom, co zbyt częstym kwikiem
Ośmieliły się podkopywać twierdzą
Rządów Opuchłolydźca, albo drwinki
Stroić bezbożne z tych pokornych modłów,
Które zarządzić raczył Arcykapłan,
Tak się we znaki dały już harapy,
Ze dziś już kwiczą całkiem prawomyślnie,
Całkiem lojalnie... Kiedy tak szczęśliwie
Wszystko nam poszło, królowa Iona — — —

ŚWINIE. Niewinna! Całkiem niewinna!

PURGANAKS.

A właśnie

Tom chciał powiedzieć wam, panowie świnię!

Będąc niewinną, królowa Iona
Wróciła do nas; tylko tak się dzieje,
Że lichsze świnię, wzięwszy ją w swe koło,
Pragną w nią wmówić, iż my, grubsze świnię,
Żyjące z pomyj, podczas kiedy tamte
Muszą się dzisiaj zadowolić słomą,
Nie chcemy wierzyć w jej cnotę. W ten sposób
Stronnictwo chudych wieprzów chce koniecznie
Wymusić sobie pomyje, będące
Waszem prastarem prawem, a za które
Ja walczyć pragnę do ostatniej kropli — — —

KIERDA (przerywając). O co królowę oskarżają?

PURGANAKS.

Otóż,

Właściwie mówiąc, niema ni jednego
Pozytywnego oskarżenia. — Przecież
Z powodu pewnych poszlak i podejrzeń
Postanowili nadworní wróżbici,
Że będzie dobrze, gdy Jego Królewska
Mość każe zbadać, czy jest w nich co prawdy.
O! nie ze względu na niego — On byłby
Przenajszczęśliwszy gdyby, pozwalając
Swojej małżonce na różne wybryki
I krotchwile, mógł się przypodobać
Świniom; lecz on się obawia, ażeby
Jakiego szwanku nie poniosła przez to
Moralność, zwłaszcza macior, i że taki
Przykład oddziaływać może źle na czystość

Dorastających prosiąt, gdyby miano
Wierzyć, że nasza królowa — —

(Cisza).

PIERWSZY KIERDA. O, dalej!

Pragniemy wiedzieć, w czem tak zawiniła.

PURGANAKS. Coś przebakują o jakowymś byku —

Wiemy to tylko: Byki mlecznobiałe,
Które się pasą nad brzegiem Klitumnu,
Nad kryształami cisalpińskich jezior,
Kapią swe grzywy w woni asfodelów
I w świeżej rosie lotosowych pastwisk,
Ranne powiewy napełniając miłym,
Słodkim zapachem — o bardzo są piękne!...

Nie! ja nie mówię nic, lecz Europa
Na takim właśnie byczku pogoniła
Z Azji do Krety, a wzburzone fale
Zakochanego morza uspokoił
Czar tego zwierza... A i Pasíphae,
Prababka Iony — — lecz ona niewinna!
A tak uwierzcie wy i ja i wszyscy...

PIERWSZY KIERDA. Całkiem niewinna!...

PURGANAKS. Patrzcie na ten worek!

DRUGI KIERDA. Precz z tym zielonym workiem! Słyszysz?!

Zielone oczy ma i skorpiony [Zazdrość

I węże wodne, jaszczurki i grynszpan,

To wszystko, panie, zielone — a także — — —

PURGANAKS. Czcigodne świnię! Zali w duszach świńskich
Może żyć przesąd? Pozwólcie mi, świnię,
Przypomnąć sobie, że i trawa przecież
Także zielona, a mięso jest z trawy,
Czem zaś jest szperka, jeżeli nie mięsem?
Wy zasię z szperki jesteście! Ten Worek,
Ten czarodziejski Worek, co bynajmniej
Nie jest zielony, lecz koloru szperki,
Taką zawiera ciecż, że, gdy nią skropić
Winną kobietę — już wy wiecie, o czem
Tutaj jest mowa —, tak ją zezskaradzi,
Że grzechu tego nigdy nie powtórzy,
Chyba znalazłaby ślepca... A jeśli
Będzie niewinna, zmieni się w Anioła
I spuści na was deszcz błogosławieństwa
W kształcie cukierków. Więć ja proponuję,
Iżby ją zmienić w Anioła — nie wątpię,
Że to się stanie —, skropiwszy jej głowę

(przygląda się workowi)

Mistycznym płynem... Wiem, że jest niewinna,
Chciałbym to tylko pokazać przed światem.

PIERWSZY KIERDA. O sprawiedliwy, zacny Purganaksie!

DRUGI KIERDA. Co to za widok będzie przewspaniały,
Gdy nad naszemi uleci głowami,
Gdy się królewskie rozwieją spódniczki,
Jak — — jak — — —

TRZECI KIERDA.

Takiego coś!

PURGANAKS.

Nie! jako flaga

Admirałskiego statku, albo sztandar
Zwyczajskiej armji, lub jak obłok, zorzą
Podmałowany zachodnią, przez wicher
Białym wydarty górą, jak meteor,
Albo jak grzywa wojennych bachmatów,
Lub jak wodospad, co, lecąc z przepastnej
Skały, na wietrze rozwiewa swe bryzgi ~ ~

PIERWSZY KIERDA. Jak krowi ogon!

DRUGI KIERDA.

Lub też coś takiego,

Jak to uczony zauważył kierda!

PURGANAKS. Panowie kierdy! Ja stawiam tu wniosek,

Byśmy Królewską Mość Jej zaprosili
Na uroczystość Głodu i niewinne,
Białe jej ciało skropili kroplami
Apoteozy z tego worka.

(Wielkie zamieszanie wśród świń za drzwiami, udzielające się zgromadzonym na scenie. — Podczas pierwszej strofy wywalono drzwi Chlewu i do wnętrza wtargnęła wielka ilość niezwykle chudych prosiąt, loch i kierd).

PÓŁCHÓR I. Nie! Tak!

PÓŁCHÓR II. Tak! nie!

PÓŁCHÓR I. Zły znak!

POŁCHÓR II. O, źle!

POŁCHÓR I. Stracić pomyje trzeba już,
Albo się dzielić z resztą świń!

PIERWSZY KIERDA. Sza! Do porządku! Waruj! Służ!
Gdzież taki rumor pośród świń!

STARA LOCHA (wpadając na scenę).
Nie pomnę, mimo tylu burz,
Takiego męstwa w trzodzie świń!

DRUGI KIERDA (uroczyście).
Ma czas królowa zmienić się w anioła!
Wnoszę poprawkę, ażeby Purganaks
Raczył tym płynem posmarować teraz
Swą własną mordę.

PURGANAKS (widać przez kamizelkę, jak bije mu serce).
Co będzie! Bogowie!

PÓŁCHÓR I. Kurzą stopkę, piórka wronie
Ma Purganaks nasz cnotliwy!

PÓŁCHÓR II. Niech na królu i na Ionie
Wyprobują się te dziwy,
Niech magiczna moc tej cieczy
Z płonnych sporów ich wyleczy!

STARY KIERDA (na stronie).
Gorzka jest doła świń, jeśli zgonniki

Za łby się biorą, wrzask wszczynając dziki,
To i ród świński wnet się zapamięta!

STARA LOCHA (na stronie).

Jowisz dał los nam straszny; ród nasz ginie
Z głodu wśród swarów, ci się na słoninie
Tuczą i nasze mordują prosięta!

CHÓR. Już nam pomyje zwędzili;

Gdy w areszt pójdzie królowa,
Będą nas szczuli i bili,

Już się z nas nikt nie uchowa —
Czyńmy, co można w tej chwili,

By wyszła z biedy tej zdrowa.

Z pościów, o pani, wał wzniesiemy srogi,

Z kłów palisadę!... Jeśli tak wypadnie,

Oddamy życie, aby twoje wrogi

Nie uraziły twej Świętości zdradnie!

Kto ciebie kłuje, nas kłuje,

Kto tobie wstrętny, nam wstrętny,

Zbójami dla nas twe zbóje,

Twój bicz i nam jest pamiętny!

Okropny czas się rozpocznie,

Spełnić się muszą wyrocznie:

„Gdy Minotaura jońskiego dosiędzie

Małżonka króla i, ni psem zająca,

Króla poszczuje świńmi, w Tebach wrząca

Wojna domowa lub reforma będzie“.

(Wchodzi IONA TAURYNA).

IONA TAURYNA (podchodząc ku przodowi sceny).

Szlachetni wieprze i czcigodne lochy!
Niema takiego kierdy, coby w swoim
Szlachetnem sercu posadzał królowę
O czyn, niezgodny z przyrodzonym świństwem.
Z ufnością może też ona polegać
Na krzającącem rodzie, może wszystko,
Swoją niewinność, życie, całą siebie
Rzucić w ramiona świńskie, bez obawy,
Iżby tu pewnej nie znalazła schroni
Ta jej nadzieja... Lecz wierście, o wielkie,
Wspaniałe kierdy (a każdy, ktokolwiek
Żył między wami, ma was za takowych),
Że kto niewinny, ten dumny! Przyjęłam
Waszą opiekę jedynie z wdzięczności
Za waszą miłość i troskliwość, nigdy
Z jakiejś potrzeby. Boć najbezpieczniejszą
Bywa niewinność pośród niebezpieczeństw,
Prób i doświadczeń. Niewinne królowe
Po rozżarzonych stapały już bronach;
W rzadkie klejnoty przystrojone damy,
A jeszcze rzadszą świecące urodą,
Podróżowały, jak śpiewa Irinu
Wieszcz *), od Killarney aż do Dróg Olbrzymich,
Śród przemysłników, zbirów, rebeljonów,

*) Tomasz Moore: Melodje irlandzkie.

Pośród uajtbojów szły i orinżbojów*),
Wśród akcyziarzy, ściągaczy dziesięcin
I policyjskich drabów — nieruszone!
Tak i ja! (do PURGANAKSA).
Panie Purganaks! Poruczam się twojej
Straży i jestem gotowa, cokolwiek
Staćby się mogło, poddać się twej próbie.

PURGANAKS. Ta Waszej Świętej Mości wielkoduszność
Musí się świniom podobać. To pewnik,
Że Wasza Miłość zmieni się w Anioła!
Lojalne świnię! Przydymić potrzeba
Szkiełka, inaczej oczy wam oślepi
Taka przemiana!

STARY KIERDA (na stronie). Uważajcie, panie,
By wam kto czasem nie przydymił nosa!

PURGANAKS. W święto bogini Głodu urządzamy
Ekspijacyją —

ŚWINIE. Jesteśmy kontente!

IONA TAURYNA. A ja najbardziej!... Widzą moje oczy,
Ze czerni mych wrogów w własny dół się stoczy!...

(Exeunt omnes).

*) Bandy zbirów.

Przyp. tłumacza.

SCENA II.

Wnętrze kościoła bogini Głodu. Posąg bogini, ubrany w krasę gałganki, siedzi na kupie czaszek i bochenków chleba. Naokoło tłum nadzwyczaj grubych kapłanów z pieszczelami w ręku. Dźwięk surm.

Wchodzą: MAMMON jako Arcykapłan, OPUCHŁOŁYDZIEC, CZARNYDUCH, PURGANAKS, LAOKTONOS. Za nimi IONA TAURYNA pod strażą. Po drugiej stronie ŚWINIE.

CHÓR KAPŁANÓW (przy akompaniamencie nadwornego Rzeźnika na kościach pacierzowych i pieszczelach).

Chuda, zwiędła ty bogini,
Niechaj cześć się twoja czyni!
Zwiesz Cybelą się na Krecie,
My zaś przecie
Głodem zowiemy ciebie!
Ty bóstwo postów i biesiad! Na chlebie
Twoim się tuczają ci, co idą z nami,
Co światem rządzą berłem, banknotami!
Królom, kapłanom dajesz pełne
Wory pszenicy, mięso, wełnę!
Tłusty, kto zjada te wszystkie owoce.
Kto je hoduje, ten ma pustkę w brzuchu...
Spraw, iżby żadne nie ruszyły moce
Posad dzisiejszych! Niech będą bez ruchu —
Przynajmniej dotąd, pokąd stan nasz władzy
Obwieszczać może posty i biesiady.
Opuchłolydźca cna dynastja ninie

Stoi na skale wśród morza: nie zginie
Śród fal huczących, któremi są świnie!

(OPUCHŁOŁYDZIEC i inni siadają w głębi świątyni przy wspaniale nakrytym stole. Lokaje przechodzą przez scenę z kubłami pomyj. Kilka bardzo wychudzonych świń idzie za nimi i zlizuje sączące się z kubłów krople).

MAMMON. Lękam się bardzo, że Wasza Królewska
Mość utraciłes swój zwykły apetyt.
Pozwól mi, Władzco, zarekomendować
Waszej Miłości tę potrawę — prosty
Perskiego twego kucharza wymysłek,
Który się stawia na drugim królewskim
Stole; z pieniędzy, co takie śniadanko,
Panie, kosztuje, mógłby głodomorków
Jakiś tuzinek jedną lub dwie zimy —
Wcale nie więcej — wyżyć jako tako.
Myślę, że chyba-c ta płona potrawka
Zaszkodzić, Władzco, nie może!

OPUCHŁOŁYDZIEC. Po próbie —
Aż sobie pójda wyposzczone świnie —
Czuję pedogrę gdzieś koło żołądka —
Dajcie mi, proszę, maraskina.

PURGANAKS (nalewa sobie szklankę, powstawszy).
Piję za zdrowie świńskiej konstytucji!

WSZYSCY. Toast! Jest toast! Wstańcie — i trzy razy
Po trzy!...

CZARNYDUCH. Przyćmijcie światła!

LAOKTONOS.

Dziwna — klaret *)

Krew mi przywodzi na myśl, krew zaś klaret.

OPUCHŁOŁYDZIEC. Laokton, widzę, żaden komplementu —

Ale wart tego! Więcej-ś wypił wina

I więcej przelał krwi, niżli ktokolwiek

W tych naszych Tebach — —

(do PURGANAKSA).

Proszę cię, na Boga!

Spraw, by te świnię raz krząkać przestały!

PURGANAKS. Nie wolno, Panie, to przywilej głodu!

CHÓR ŚWIŃ. O cześć ci, ty głodu bogini!

Na stolcu ty krwawym usiadłeś w łachmanie,

Przekleństwem żywiący się, kantu **),

Kościółów i worków zielonych szatanie!

Świńskie dziś wielbią cię tłumy —

Ty gasisz wszechmędrców rozumy!

Gdy postać się twoja wynurzy

Śród chlebów i czaszek do góry,

Ten kwik nasz przytłumi głos burzy,

Ten kwik nasz straszliwy, ponury!...

*

*) Wino francuskie, bladoczerwone.

**) Wyraz, znany w dziejach poetyckiej twórczości Byrona i Shelley'a, oznaczający obłudną moralność.

Przyp. tłumacza.

O cześć ci, ty głodu bogini,
Cześć, cesarzowo ty świata,
Z upiorną gdy wstajesz radością,
Urągać bogactwom i włościom,
Gdy jarzmem twa ręka pomiata!
Przez groby, pałace, świątynie
Pójdziemy za tobą my, świnię,
Drogami pójdziemy krwawemi,
Aż wszystko się zrówna na ziemi!

MAMMON. Słyszę ponury chrzęst w olbrzymich kościach
Tego strasznego posągu, a w jamach,
Gdzie były oczy, widzę dwa płomienie —
Wyroczny dziw to, dowodzący jasno,
Że niewidzialne bawi tutaj bóstwo!
Wnet się potężne spełni Przeznaczenie!

OPUCHŁOŁYDZIEC. Ja słyszę tylko buntownicze krzaki
Śród świń wychudłych, nic więcej!

PURGANAKS. Ja myślę,
Byśmy w tej sprawie arcydelikatnej
Kazali zaraz Jej Królewskiej Mości
Poddać się próbie...

MAMMON. Worek mam ze sobą.

PURGANAKS. Z wolim pęcherzem i wodą z rynsztoku
Wypróbowałem już tę całą scenę
Z panią P. Wszystko dobrze nam się uda.

(Bierze worek z rąk Mammona. Do OPUCHŁOŁYDŹCA).

Przy tym paskudnym, królu, interesie,
Najlepiej będzie, gdy staniesz na boku,
Byś się przypadkiem nie obryzgał. Mnie tam
Dwie lub trzy plamki nic już nie zaszkodzą.
A może nawet zetrą krwi te ślady.
Którymi dziwną, czarodziejską mocą
Zielonej Wyspy*) posmutniały geniusz
Naznaczył skroń mą — plama, zdolna skazić
Wszystkie jeziora Irynu, lecz której
Wszystkie jeziora zmyćby nie zdołały...

IONA TAURYN. Jestem gotowa — nie! Z niecierpliwością
Czekam na próbę...

(Piękna postać w napół przejrzystym woalu przechodzi niepostrzeżenie przez wiatyńię; poprzez woal przeblyskuje wyraz: WOLNOŚĆ, jak gdyby płośmiennymi głoskami napisany był na jej skroni. Słowa jej przytłumiają niemal zupełnie straszliwe krzaki świń i przygotowania do próby. Kłeka przed ołtarzem i mówi z początku cicho, a potem coraz to głośniejsze i głośniejsze).

Małżonko Skonu, ty upiorze,
Niszczący wszelkie życie boże!
Na dotknięcia twego siłę,
Na głodową ciźb mogiłę,
Na te posty i biesiady,
Na byt twój własny, ty szkielecie błady,
Ty straszny Głodzie! Jeśli bunt się zbudzi

*) Aluzja do prześladowania Irlandji przez rząd Jerzego IV.

Przyp. tłumacza.

Przez cię, niech rąk swych nie kala krwią ludzi!
Nie dla tych bowiem ziemi łany żyzne,
Co w kielich życia wlewają truciznę,
Lub fanatyczną wokrag zemstę głoszą;
 Poświęceń tylko jaśni głosiciele
Niezamąconą żyć będą rozkoszą,
 Na miejsce bólu gotując wesele.
Powściągnij gniew swój, potężna królowo,
Bądź, czem nie jesteś!... Do ciebie się słowo
Wolności zwraca! Wolność Głód przyzywa,
By miała spokój, choć krótki, ta niwa —
Niechaj się zjawi twoja postać żywa!...

(Podczas tego śpiewu zawołowanej postaci, MAMMON, CZARNYDUCH, LAOKTONOS i OPUCHŁOŁYDZIEC otoczyli IONĘ TAURYNĘ, która z złożonemi na piersiach rękoma i z podniesionym do góry wzrokiem, ufna w swą niewinność, jakby w świętej czekała rezygnacji na wynik próby. — PURGANAKS, z poważną miną odpięczętowawszy Zielony Worek, chce właśnie zawartość jego wylać na jej głowę, gdy wtem wyraz jej postaci i oblicza nagle się zmienia: wyrywa mu Worek z rąk i z tryumfującym śmiechem wylewa płyn na OPUCHŁOŁYDZCA i jego dwór; od razu cała ta zgraja zmienia się w obrzydłe, niechlujne zwierzęta i wybiega z świątyni. Posąg bogini GŁODU z straszliwym podnosi się chrupotem; świnię rzucają się na bochenki chleba, lecz przewalają się o czaszki; jedne chleby zmieniły się w byków i w spokojnym stanęły szeregu poza ołtarzem. Ziemia się rozstępuje i pochłania posąg GŁODU; z wnętrza ziemi podnosi się MINOTAUR.

MINOTAUR. Ioński jestem Minotaur, największy
Z byczego rodu w Europie! Jestem
Ow tradycyjny, stary byk przesławny!

A że z Ionji pochodzą me ojce,
Więc Jon się zowie — Dżon w interpretacji,
To znaczy, w czystym języku tebańskim,
Dżon Byk*). Mam sławę dobrego myśliwca;
Wszystkie też bramy beockie przeskoczę,
Ba! nawet mury królewskiego parku,
A i podwójny rów tej nowej strągi**),
Jeśli Królewska Wasza Mość chce na mnie
Wleźć i stropioną pogonić zwierzynę,
Ja cię nie zrzucę!

IONA TAURYNA (wdziawszy podczas tego buty z ostrogami i na
głowę myśliwski włożywszy kołpak, kokieterjnie spięty z boku, roz-
puszcza sobie włosy i zgrabnie dosiada byka).
Ohej! Hej! Huzia! Hej! Hej! Huzia! Huzia!
Dalej! Zaszczujmy te obrzydłe jaźwce,
Smrodliwe lisy i żarłoczne żmije,
Zające, wilki! Oszczędzajmy ludzi!
Dajcie mi harap! Lojalne me świnię,
Zaostrzcie teraz węch swój nijak wyżyły,
A szybko nogie bądźcie nijak charty!
Wasz kwik niech będzie słodszy i dźwięczniejszy
Od dźwięcznych dzwonów na wieży kościelnej
W słoneczne, jasne święto! Orosiałe

*) Dżon Bull — nazwa dla Anglików. Przyp. tłumacza.

**) Strąga, w języku podhalańskim —, ogrodzenie dla bydła — naj-
odpowiedniejszy, zda mi się, wyraz na angielskie inclosure.

Przyp. tłumacza.

Rozbudźcie lasy swem rozgłośnem graniem!
Żadnych praw dla nich (bo czyż to nie krwawe
Zbójeckie bestje?), prócz tych, które oni
Dla was pisali! Huzia! Hej! Hej! Huzia!
Borem i bagnem, knieją i pustkowiem
Gnać te obrzydłe bestje! Huzia! Huzia!

CHÓR ŚWIŃ razem z IONĄ. Huzia! Hej! Huzia! Hej!
 Śród bagnisk i kniej,
 Śród haszczy i traw,
 Przez wody my wpław —
Deszczu, lej! Wichrze, wiej!

*

Huzia! Hej! Huzia! Hej!
 Od wagę ty miej —
 Płód gonu jest wart!
 Sam szczuje go czart!
Huzia! Hej! Huzia! Hej!

(Wybiegają, straszliwie kwicząc. IONA poganía świnie Zielonym Workiem).

UWAGA TŁOMACZA. Alegoryczny poemat, który w powyższem daję tłumaczeniu, jest satyrą na zatarg króla Jerzego IV z żoną Karoliną. Powstał w r. 1820. Gdy Jerzemu nie udało się unicestwić pretensyj królowej, kanclerz ówczesny, osławiony Castlereagh położył „zielony worek“ na stole, w Izbie niższej, i w imieniu króla zażądał śledztwa w sprawie prywatnego życia Karoliny. Gdy się to działo, Shelley bawił w San Giuliانو. Pewnego dnia, podczas jarmarku, Shelley czytał przyjaciółom swą „Ode

do wolności“; czytaniu towarzyszył kwik świń, spędzonych na targowisko. Poecie nasunęła się analogia z żabami Arystofanesa i w ten sposób zrodziła się myśl poematu, który i dzisiaj, *mutatis mutandis*, nie stracił na znaczeniu. Oczywiście Anglicy, gdy satyra pojawiła się w druku, starali się ją stłumić i wycofać z obiegu.

